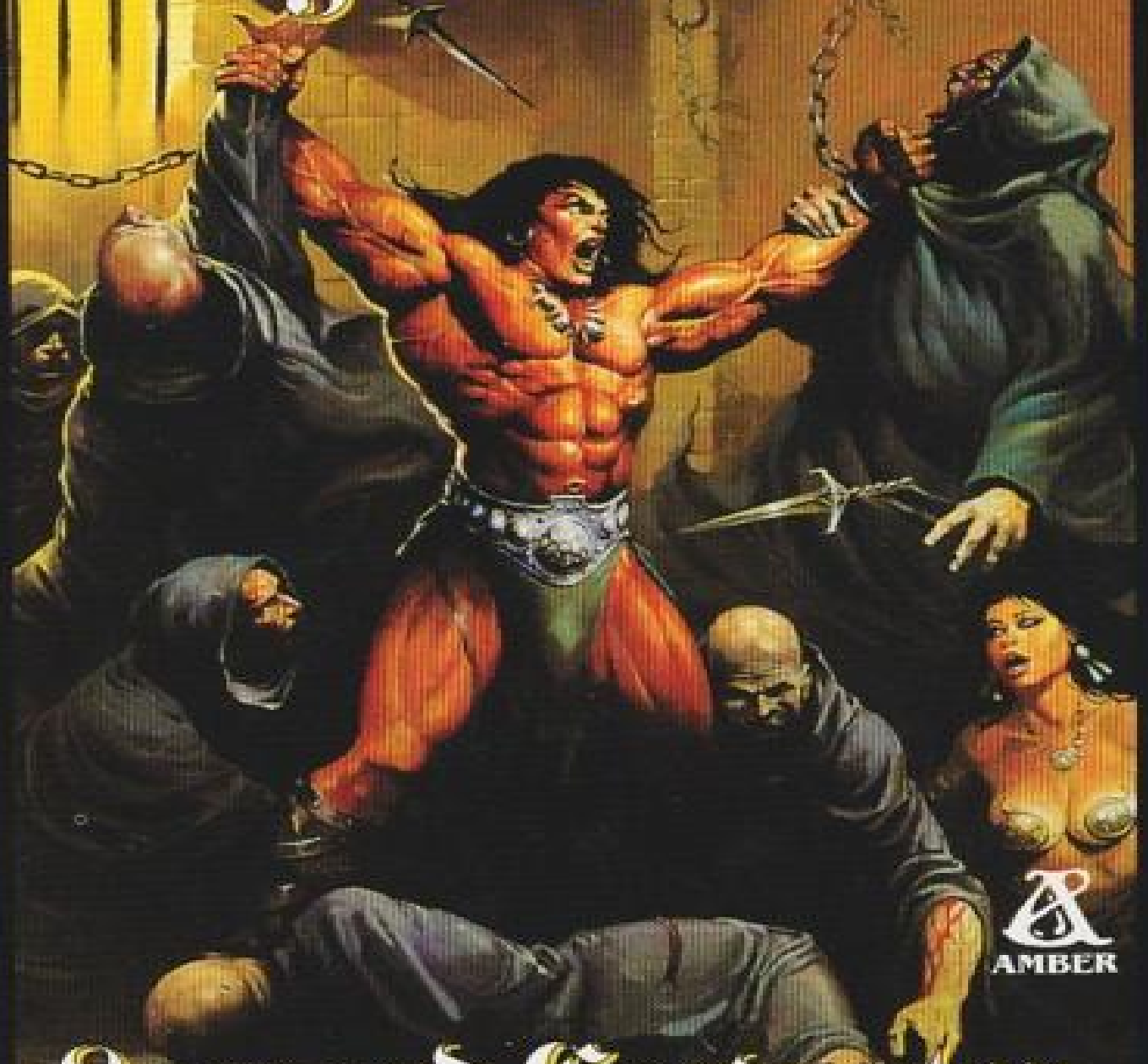


Conan

gladiator



AMBER

Leonard Carpenter

CONAN GLADIATOR

TYTUŁ ORYGINAŁU CONAN THE GLADIATOR

PRZEKŁAD ROBERT LIPSKI

Catherinie i L. Sprague de Camp

I

NOCNE KOTY

Zajazd w Thujarze nie był tonącym w przepychu pałacem. Ściany z suszonego na słońcu błota miały wystarczającą grubość, by wytrzymać napór srogich wiatrów hulających po równinie Shemu, zniechęcać lamparty i tępić ostrza włóczni oraz strzał grasantów. Gonty dachu nie dopuszczały do środka deszczu ani piasku, gdy wokół szalały burze. Rygle u drzwi i okiennic broniły przed złodziejaskami. W gospodzie oferowano jagnięcy gulasz z czerstwym chlebem, cierpkie wino i jablecznik, ani mocniejsze, ani bardziej kwaśne niż napoje podawane w innych wiejskich okręgach. Zajazd ów, w rzeczy samej, niewiele różnił się od setek oberży, które Conan odwiedził w trakcie swych licznych wędrówek. Było tu dość przytulnie, podziękował

więc Cromowi za tych parę miedziaków w sakiewce, dzięki którym mógł spędzić w Thujarze jeszcze kilka nocy. Pochylając się nad długim, służącym za szynkwias drewnianym stołem Cymmerianin przyjrzał się bacznie obecnym w gospodzie kobietom. Twardy orzech do zgryzienia te tutejsze dziewczyny znane z ciętego języka i bystrego oka, jędrne i krągłe gdzie trzeba, o gęstych miedzianych lub czarnych włosach, zmierzwionych i pozlepianych w grube strąki.

Na przykład Ellilia, kucharka, wyglądała nader ponętnie. Podobnie Sudith, dumna córka oberżysty, dziki krokus rozkwitający na wiejskim podwórku. Niestety, większość shemickich kobiet przejawiała zdecydowane zamiłowanie do życia osiadłego i żywiła wrodzoną awersję do tułaczki. Poza tym nie miały za grosz wyobraźni. Odpowiedzią na niewinną zaczepkę bywał cios zadany uzbrojoną w rożen ręką albo chluśnięcie w twarz gorącą zupą.

Dwa wyjątki od tej reguły siedziały na ławie po obu bokach Conana, flirtując radośnie z przystojnym Cymmerianinem. Młodsza z dziewcząt, Tarła, nie liczyła się w tej rozgrywce.

Chuda jak patyk, dopiero stawała się kobietą. Bawiła się sytuacją, choć nie w pełni jeszcze pojmowała, o co w tym wszystkim chodziło. Muskularna, obnażona pierś cudzoziemca, jego długie, kruczoczarne, przycięte tuż nad brwiami włosy i jasnoblękitne oczy oznaczały dla Tarli jedynie dodającą prestiżu, przystojną zdobycz w grze zwanej flirtem. Mimo to Conan tolerował zuchwale eksperymenty. Traktował swą wielbicielekę na poły jak dziecko, na poły jak kobietę, nie próbując wszelako jej uwodzić.

Drugą kobietą była Gruthelda, dziewczka stajenna. Aż nadto dobrze znała się ona na stosunkach między przedstawicielami odmiennych płci, a jej wiedza wynikała poniekąd z obserwacji powierzanych jej pieczy ogierów i klaczy. Miała ochrypy, gardłowy śmiech i mocne zęby, których nie powstydzilby się dobrze odkarmiony muł. Niestety oczy Grutheldy jakoś nie były w stanie patrzeć równocześnie w to samo miejsce, a belkotliwa, urozmaicona jękaniem wymowa mogła być, jak sądził Conan, wynikiem bliższego zetknięcia z końskim kopytem.

Towarzystwo Grutheldy dostarczało niemałych przeżyć. Ta dziewczka była w stanie zadziwić

niejednego mężczyznę.

Conan podzielił się właśnie z dziewczętami porcją mocno przyprawionej owsianki, gdy wtem zza drzwi oberży dobiegł zgiełk przekrzykujących się głosów i piskliwe dźwięki jakiegoś instrumentu.

Daleko było do zmierzchu, więc dębowe wierzeje jeszcze nie zostały zaryglowane. Rozwarły się teraz na oścież, by wpuścić do środka kolejnych spragnionych i złąknionych gości. Do izby wkroczyła gęsiego hałaśliwa trójka o wyglądzie wędrownych artystów.

— Cna gawiedzi, posłuchajcie — zaintonował pierwszy.

— Uszu pilnie nastawiajcie — wtórował mu towarzysz pod muzykę piskliwego fletu.

Serdecznie wszystkich pozdrawiamy, Na występ cyrku zapraszamy

Na plac targowy jutro z rana.

Rzecz się tam zdarzy niesłychana.

Ujrzycie bestie krwi złąknione, Dziewki nadobne zaplonione,

Cuda i dziwy, czarów moc.

Wszystko się stanie, nim przyjdzie noc.

Jeśli nasz występ was zadowoli, Sypnijcie groszem i klaszczcie do woli!

Śpiewając przybysze okrażali izbę. Na samym przodzie maszerował potężny, muskularny mężczyzna, nieomal dorównujący Conanowi wzrostem i znacznie od niego szerszy w klatce piersiowej. Obnażony do pasa, nosił zdobiony lśniącoymi cekinami kilt, sznurowane sandały i szeroki skórzany pas z wypolerowaną do połysku klamrą znamionującą mistrza w zapasach.

Miał czarne kręcone włosy, zmysłowe rysy i pełne wargi. Szczeciniasty wąsik dodawał jego ustom pogardliwego wyrazu. Olbrzym, nie zwalniając kroku, otaksował wrogim spojrzeniem przyglądającego mu się krytycznie Cymmerianina, zjeżył się i ruszył na spotkanie nie rzuconemu, lecz wyczuwalnemu wyzwaniu.

Conan na widok silacza poczuł przyływ sceptycyzmu, ale i irytacji, wywołanej buńczucznym zachowaniem obcego. W mgnieniu oka jednak skupił uwagę na drugiej z nowo przybyłych osób. Była to kobieta w ciasno opiętym kostiumie, który podkreślał kształty silnej, zgrabnej sylwetki. Zdawało się, że kosztowne jedwabie zostały zszyte bezpośrednio na jej ciele. Wymogom skromności sprostać próbowała kusa, nie sięgająca nawet połowy ud spódniczka. Lśniąco przyodziewek szczególnie podkreślał piersi pełne i krągłe, lecz skrępowane materiałem, zapewne by nie kołysały się podczas gimnastycznych wyczynów.

Kasztanowe włosy nieokreślonej długości spięte zostały w zgrabny kok. Dłonie i ramiona kobiety były silne i zadbane, nie ozdobione bransoletami ani pierścieniami, które mogłyby przeszkadzać w wykonywaniu skomplikowanych ewolucji.

Widok akrobatki, tak różniącej się od miejscowych dziewczyn, ożywił w duszy Conana dawne pragnienia. Cymmerianin znalazł już wcześniej dzielne wojowniczkę, nieugięte piratki i pełne gracji tancerki z wielkich miast. Właśnie te ostatnie najbardziej odpowiadały jego gustom. Byłaby to w każdym razie przyjemna odmiana, pomyślał. Zapominając o swoich dwóch adoratorkach, podźwignął się z ławy i wyciągnął rękę. Pragnął zwrócić na siebie uwagę kobiety i zaoferować jej poczęstunek lub przynajmniej zaproponować chwilę miłej rozmowy.

— Precz z łapami, ty przerośnięta beko sadła! Nie dotykaj!

Cofnąwszy dłoń, po której został boleśnie zdzielony, Conan odwrócił się i ujrzał trzeciego członka trupy. Był to krępy, okrągłolicy karzeł, okutany w szarą, workowatą opończę z naciągniętym mocno na czoło spiczastym kapturem. Niziołek z niewiarygodną szybkością uderzył Conana końcem srebrnego fletu, którego dźwięki wyznaczały marszowy rytm śpiewanej zapowiedzi występów. Minąwszy Cymmerianina, karzeł obrzucił go czujnym, przenikliwym spojrzeniem. Conan zdał sobie sprawę, że twarz kaleki, mimo ostrych rysów, nie jest wcale odrażająca.

— Zaczekaj, panie, tak się nie godzi. To afront — zaprotestował próbując jednocześnie uwolnić się od Tarli i Grutheldy. — Chciałem tylko zapytać, czy ta dama nie dotrzymałaby mi przez chwilę towarzystwa, gdyż chętnie zabawiłbym ją rozmową i poczęstował kubkiem dobrego jablecznika. Pragnęłam pochwalić wasz kunszt i przepiękne kostiumy. Zwłaszcza zaś szaty pięknej pani, która...

— Zamilcz, dzikusie! — dobiegł go donośny głos. Silacz przystanął i odwrócił się. — Nie przyszliśmy tu dla zabawy.

— W rzeczy samej — dorzuciła urodziwa akrobatka, a jej czarne jak węgle oczy zerknęły na Conana z zaciekawieniem. — Musimy obwieścić nasze przybycie w całej osadzie i przygotować się do występu na jutrzejszym festynie.

— To prawda. Huk roboty przed nami — włączył się znów muskularny przywódca. — Nie mamy czasu, by siedzieć w tej ciasnej norze i w towarzystwie jakiegoś wiejskiego osiłka rozgrzewać się cienkim jak końskie szczyny paskudztwem, które zowią tu jablecznikiem.

Zmarszczył nos, powąchawszy zawartość kubka Conana, po czym stanął naprzeciw Cymmerianina i wypiął pierś. Wyglądało na to, że arogancja przybysza jest nie tylko pozą.

Olbrzym zdradził swe prawdziwe uczucia. W jego zachowaniu wyczuwało się osobistą urazę i pogardę.

— A co, jeśli wyrzucę cię za drzwi, ty tłusty, zuchwały obwiesiu? — rzucił zaczepnie

Cymmerianin. — Czy wtedy w tym zajeździe znajdzie się dość miejsca, by piękna dama mogła odpocząć i przeplukać gardło w towarzystwie jednego ze swych wielbicieli? — Mrugnął ponad łśniącym od oliwy ramieniem zapaśnika do nieufnie zerkającej kobiety. — Jeśli zaś ty i twoi przyjaciele potraktujecie mnie z należyтым szacunkiem, kto wie, może pójdę z wami i pomogę w przygotowaniach do jutrzejszych występów...

— Przystań mleć ozorem, bezczelny przybłodo! — warknął osilek. Ruszył naprzód i pchnął

Conana w pierś otwartą dłonią. Cymmerianin zatoczył się w tył, oblewając winem suknię Grutheldy. — Siadaj na ławie i milcz, cudzoziemcze, zanim powiążę ci ręce i nogi na supły, byś nie ruszał się z miejsca, gdy cię o to nie proszą.

— A zatem nie obejdzie się bez walki.

Conan podał kubek Grutheldzie i nie spuszczać oczu z wroga, zaczerpnął kilka głębokich oddechów, rozłożył szeroko ręce i zakolysał się na palcach.

— Co to ma być? Knajpiana burda? Dobrze, ja, Roganthus Mocarny, przyjmuję wyzwanie!

Cyrkowiec zastygł w postawie doświadczonego zapaśnika. Po chwili jednak uniósł do góry prawą dłoń.

— Najpierw odepnij ten nożyk do szlachtowania świń, byś nie przebił się nim jak rożnem, gdy wylądujesz na klepisku. — Wskazał na sztylet u pasa barbarzyńcy. Ostrze, przeznaczone głównie do parowania ciosów, nie miało więcej niż grubość dłoni.

— Ach, to. Jak sobie życzysz.

Odpiąwszy broń, Conan odwrócił się ku rozchichotanym, sekundującym mu dziewczętom.

Podał sztylet Tarli, która, jak uznał, byłaby mniej skora do użycia go w chwili wyjątkowego podniecenia.

Ponownie stanął naprzeciw olbrzyma. Po chwili poczuł, jak wokół szyi zaciskają mu się stalowe palce, ściągające go bezlitośnie ku dołowi. Zatoczył się do przodu. Jedną ręką próbował jeszcze na oślep schwycić napastnika, lecz osilek jak piskorz wywinął się z jego uchwytu. Straciwszy równowagę, popchnięty brutalnie, Conan wyrznął głową w blat długiego stołu, przetoczył się po nim i wylądował ciężko na klepisku.

— Rzut! Uwaga, szlachetni widzowie!

Conan jak przez mgłę słyszał donośne okrzyki karła:

— Pierwszy upadek z trzech, chyba że śmiałek sam się podda! Obstawiajcie, nie żałujcie grosza! Ja, Bardolph, gwarantuję wam, że jeżeli wygracie, otrzymacie swoje pieniądze co do

miedziaka!

Niski mężczyzna krążył po izbie, przyjmując zakłady i zapisując wysokość pobieranych kwot na woskowej tabliczce.

— Pamiętajcie, przyjaciele, Roganthusa nikt dotąd nie pokonał! Conan poderwał się na nogi i ruszył gniewnie ku puszącemu się jak paw cyrkowcowi.

— Łajdaku, to nie był uczciwy chwyt! — zagrział. — Tym razem mnie nie zaskoczysz!

Jego słowom towarzyszyły gromkie okrzyki, zarówno drwiące, jak i pełne zachęty. Goście podnieśli się z ław i zydli i zbili w krąg wokół walczących. Wciąż dochodzili nowi, bez wątplenia przywabieni hałasem i krzykami. Zapasy były w Thujarze nieczęstą gratką, a Conan jako cudzoziemiec nie wzbudzał sympatii tubylców, którzy łaknęli teraz jego krwi.

— Podejdz, człowieku z Północy — odezwał się znów Roganthus — chyba że masz już dość całowania ziemi! Jeszcze dwa upadki i odzyskasz honor. Nie lękaj się, potraktuję cię łagodnie!

Nie skończył jeszcze drwić i naigrawać się, gdy Conan rzucił się na niego. Zaatakował

błyskawicznie, zamykając gruby kark osiłka w potężnym, morderczym uścisku. Palce Cymmerianina ześlizgnęły się jednak po naoliwionej skórze. Cyrkowiec schylił się i barkiem wyrznął Conana w żołądek. Uderzenie odrzuciło barbarzyńcę do tyłu. Potknąwszy się o coś, stracił równowagę i ponownie wylądował na plecach.

Potrząsając głową, by pozbyć się wirujących mu przed oczami gwiazd, Conan z wściekłością uświadomił sobie, że sprawcą jego haniebnego upadku musiał być Bardolph, paskudny karzeł, który tymczasem odbywał kolejne okrażenie po izbie, zbierając pieniądze i przyjmując dalsze zakłady od rozentuzjasmowanych pojedynkiem widzów. Karzeł nie przypadkiem znalazł się za jego plecami, uznał Cymmerianin.

— Kolejny upadek, człowieku z Północy. Coś takiego, tak szybko? — wykrzyknął z udawanym zdziwieniem Roganthus, budząc entuzjazm wśród gawiedzi. — Nieszczęśniku, chyba musisz się nauczyć omijać niewinnych gapiów. Nie powinieneś się o nich potykać!

Conan odwrócił się ku niemu, nie podnosząc nawet z ziemi. Na czworakach jak pantera skoczył naprzód. Jedną ręką oplótł grube kolano cyrkowca, po czym uniósł je w górę i wykręcił.

Olbrzym stracił równowagę i zgiął się wpół. Conan przyjął na siebie ciężar jego ciała.

Dźwignął napastnika w powietrze. Obrócił się w miejscu i z całej siły cisnął go na klepisko.

Roganthus stęknął głucho, uderzając w twardą ziemię, a tłum w okamgnieniu zamilkł.

— Dobra robota, Conanie! — zawołała wierna Gruthelda. — Powaliłeś go! Nie pozwól mu się

podnieść!

Kiedy jednak Conan przykląkł, by unieruchomić cyrkowca, ten zwinny jak wąż wyślizgnął się i, opasawszy ramionami barbarzyńcę, usiłował przewrócić go na wznak. Conan podbił mu kolano i pchnął przeciwnika na ławę, która runęła z hukiem.

Roganthus w mig się pozbierał i zaatakował niczym raniony pyton. Walczący tarzali się teraz po klepisku spleceni brutalnym uściskiem, roztrącając widzów i przewracając meble. Na czworakach i na klęczkach, w pyle i błocie, każdy z nich próbował uchwycić drugiego w sposób, który zapewniłby mu zwycięstwo. Wreszcie Conan zdołał opleść ramieniem szyję siłacza i z całym impetem obalił go na wznak na jedną z ław. Olbrzym wydał długi, przejmujący jęk.

Podejrzewając podstęp, Conan lekko tylko rozluźnił uścisk i spojrzał Rogantusowi prosto w twarz. Siłacz nie użył jednak pięści ani nie próbował strącić z siebie przeciwnika. Wywrócił tylko oczami i wybełkotał żałośnie:

— Na Seta, nie powinieneś był przeginać mnie przez tę ławę! To było nieczyste zagranie!

Chyba złamałeś mi obojczyk.

— Zatem pojedynek skończony? — zapytał Conan na tyle głośno, by mogli dosłyszeć go wszyscy zebrani. — Przyznajesz, że jestem lepszym od ciebie zapaśnikiem?

— Ależ skąd! — wtrącił się natychmiast flecista Bardolph. — Bynajmniej. — Karzeł rzucił

Conanowi mordercze spojrzenie. — Pojedynek zostaje przerwany z uwagi na nieczystą grę.

Zakłady tracą ważność, choć, prawdę powiedziawszy, powinieneś zostać zdyskwalifikowany.

— Bzdura! — zaoponował Conan, dźwigając się z kolan. — Pokonałem go uczciwie.

— Jak możesz mówić takie niedorzeczności! Nie widzisz, że on wije się z bólu? — Piękna akrobatka uklękła obok Roganthusa. Przeczesawszy palcami zmierzwione, ubłocone włosy leżącego, pocałowała go w brudne czoło. — Biedaku, możesz wstać?

— Chyba tak. — Roganthus pozwolił, by muskularna kobieta pomogła mu się podnieść, podczas gdy Conan gorliwie podpierał go z drugiej strony. — Aj! Chyba mam też zwichnięte kolano! — Próbując się wyprostować, stracił równowagę i wsparł ciężko na ramieniu swej towarzyszki. — Chyba będziesz musiała mi pomóc. Sam nie dojdę do obozu.

— Pozwól, że ja ci pomogę — zaproponował Conan. Zerknął akrobatce prosto w oczy. —

Walka była uczciwa i nie żywię do niego urazy.

— Dobrze — mruknęła, odwzajemniając jego spojrzenie. — Jeśli chcesz spróbować wszystko naprawić...

— Nie, nigdy! — zaprotestował gniewnie Roganthus. — Nie pozwoliłbym temu tępemu osłu nieść nawet worka cuchnących, suchych krowich placków!

— Rozumiesz chyba, ty wielki, popędliwy osilku, że ja cię tam nie zataszczę — zauważył karzeł. — A skoro ten dziki barbarzyńca pokonał cię nieuczciwie i haniebnie okaleczył, nie widzę, czemu nie mógłby ci teraz pomóc.

Mówiąc to zmuszał już gapiów, by się rozstąpili i w ten bezceremonialny sposób torował sobie i pozostałym drogę ku drzwiom.

Conan ucałował na dobranoc znajome dziewczyny, po czym podał ramię silaczowi, który jeszcze się wzbraniał, mimo zwichniętego kolana. Tymczasem akrobatka mocniej objęła Rogantheta, starając się nie urazić uszkodzonego ramienia. W chwilę później cała grupa ruszyła wolno ku drzwiom, już bez takiej pompy, z jaką tu przybyła, lecz ciesząc się równym zainteresowaniem ze strony mieszkańców wioski.

Nad polami i łąkami równiny Shemu zapadał różowo — złocisty zmierzch. Niemal wlokąc rannego silacza, wyszli pomiędzy drzew i chat i skierowali się ku zachodowi.

Po drodze Conan dowiedział się, że Bardolph i Roganthus byli Kothyjczykami. Zgrabna akrobatka o kocich, typowo stygijskich rysach twarzy nazywała się Sathilda i pochodziła z Shemu. Ich trupa składała się z kilkunastu cyrkowców różnych nacji.

Niebawem oczom całej czwórki ukazał się obóz, rozbity tuż przy trakcie nad brzegiem okolonego drzewami strumienia. W blasku ogniska widać było dwa jaskrawo pomalowane cyrkowe wozy, niskie namioty i ciemne sylwetki bestii o lśniących w mroku ślepiach. Krzątali się tu zwinni, muskularni mężczyźni w krzykliwych, ciężkich od cekinów strojach. Obleczone w jedwabie kobiety właśnie przygotowywały posiłek oraz posłania.

— Ooch, mój bark! — Głośnym zawodzeniem Roganthus obwieścił swoje przybycie. —

Obchodź się ze mną delikatnie, gruboskórny ośle, bo uszkodzisz mnie jeszcze bardziej! Dajcie mi pić, i to dużo! Niechaj trunek ukoi mój ból!

Roganthus sarkał i pieklił się, gdy Conan wraz z Sathilda układali go na poduszkach przy ognisku. Zjawili się i inni, by sprawdzić, co się stało. Jęki i narzekania rannego nieuchronnie kierowały ich spojrzenia ku Cymmerianinowi. Conan zastanawiał się, czy przypadkiem nie spróbują poszatkować go na kawałki lub może ukamienować. Nie ruszył się jednak z miejsca i próbował wyglądać najzuchwalej, jak tylko potrafił.

— Cóż, skoro okaleczyłeś naszego silacza, musisz przejąć część jego obowiązków —

oświadczył szczupły, siwobrody mężczyzna o charakterystycznych bossońskich rysach twarzy.

Cyrkowcy zwracali się do niego z wielkim szacunkiem, tytułując mistrzem Luddhew.

Zmierzywszy Conana wzrokiem od stóp do głów, mężczyzna machnął kościstą dłonią w kierunku otwartej skrzyni zawierającej metalowe kolki i ciężki żelazny młotek. — Sathilda pokaże ci, co i jak masz zrobić.

Dumnie wyprostowana akrobatka wzięła pochodnię i poprowadziła Conana na łąkę, gdzie w trawie leżały już drewniane kłody i grube zwoje sznura.

— Te wsporniki trzeba solidnie umocować — wyjaśniła. — Jedna obłuzowana lina położy kres memu występowi. Taki wypadek może kosztować mnie nawet życie.

Pod nadzorem Sathildy Conan wbił mocno zaostrome żelazne kolki w twardą ziemię, obwiązał je linami i podźwignął do pionu jaskrawo pomalowane drewniane pale. Pomiedzy nimi rozciągała się naprężona lina wraz z drabinkami sznurowymi i trapezami. Sathilda sprawdzała każde wiązanie, od czasu do czasu zaciągając mocniej któryś węzeł lub nakazując Cymmerianinowi wbić dodatkowo jakieś kolki.

Gdy skończył, podała mu pochodnię i, zrzuciwszy pantofle, wspięła się na linę.

Znieruchomiała na chwilę, po czym wykonała serię zapierających dech w piersiach ewolucji na trapezach, by ostatecznie miękko, z gracją wylądować na ziemi.

— Na razie wystarczy — rzekła do Conana z uśmiechem. — Jeżeli chcesz, możesz zjeść teraz z nami wieczerzę.

Tymczasem do obozu zaczęły już nadciągać małe grupki miejscowej ludności. Cyrkowcy nie marnowali więc czasu i okazji. Przy największym ognisku rozłożono derki i przybysze jęli prezentować swe rozliczne talenty. Wróżka imieniem Jocasta, ubrana w turban i chłopską suknię, rozkładała karty przepowiadając przyszłość spragnionym tej wiedzy wieśniakom.

Na innym kocu trwała zażarta gra hazardowa, której towarzyszył brzęk miedziaków i grzechot kości w kubku. Nieco dalej w kręgu zaaferyowanych mężczyzn wila się i przeżyła pulchna tancerka przy — odziana w skąpy, zdobiony cekinami strój i muślinową woalkę.

Przygrywał jej na flecie Bardolph. Kobieta, unosząc ramiona ciężkie od bransolet, płynnie kołysała biodrami, a wreszcie z wdziękiem przegiąwszy się ku tyłowi, jęła zębami zbierać rzucane jej monety.

Conan przystanął na chwilę, by przyjrzeć się popisom. W końcu odwrócił się i podążył za Sathilda ku mniejszemu ognisku, rozpalonemu za wozami. Wyminąwszy odpoczywających

cyrkowców, dziewczyna pochyliła się nad kociołkiem i napełniła dwie drewniane misy, dla siebie i Conana.

Obserwowany przez pozostałych, a najzjadliwiej przez Roganthusa, który do tej pory zdążył już wysączyć dość wina, by popaść w stan półsennego odrętwienia, Cymmerianin przysiadł obok swej nowej znajomej i zabrał się do jedzenia. Pragnął rozpocząć rozmowę, czuł bowiem, że teraz Sathilda jest gotowa otwarcie opowiedzieć mu o swoim życiu z cyrkową trupą.

Oparzywszy wargi gorącym gulaszem, czekał jednak cierpliwie. Tymczasem kobieta napełniała drewniane kubki z zaopatrzonej w kurek beczulki.

Trunek okazał się tak mocny, że od razu uderzył mu do głowy. Conan niemal się zachwiał, gdy w parę chwil potem podnosił się z ziemi. Sathilda poprowadziła go na tyły obozu, w głęboki cień cyrkowych wozów. Na trawie rozłożone było tam wąskie posłanie. Cymmerianin ujrzał, jak dziewczyna przykłęka, wygładzając je i poprawiając. Gdy tak czekał wśród mroku, poczuł znajomy ostry odór, od którego zjeżyły mu się włoski na karku. Usłyszał ciche pobrząkiwanie i gardłowy, głęboki zwierzęcy charkot.

Cokolwiek to było, było czarne. Czarne jak noc. W ciemności bestia pozostawała niemal niewidoczna. Sądząc jednak po rozmiarach i szerokości rozstawu lśniących, żółtych ślepi, nie mógł to być zwykły lampart. Conan miał przed sobą ogromną czarną panterę.

Sathilda delikatnie objęła Cymmerianina za szyję. Zaskoczyła go tak, że drgnął mimowolnie.

— Dzikie bestie się przydają — szepnęła mu do ucha. — Odstraszają inne zwierzęta i wścibskich wieśniaków.

Pociągnęła go na posłanie. Jej uścisk był silny, a ciało gorące. Nie zważając na mięśnie znużone niedawną walką i wieczorną zmudną pracą, Conan oddał się miłosnym zmaganiom aż do zupełnego wycieńczenia.

Odpoczywając po pierwszym z długich, wyciskających pot pojedynków, zaczął się zastanawiać, czy i teraz zastępował nieszczęsnego Roganthusa. Nie zapytał jednak o to otwarcie. Był zbyt trzeźwy, aby zadać równie niebezpieczne pytanie, i zbyt pijany, by odpowiedź mogła mu uczynić jakąkolwiek różnicę.

POTOMEK TYTANÓW

Jarmark w Sendaj zmienił zasną nadrzeczną osadę w tętniące życiem skupisko namiotów, straganów i stoisk, wśród których uwijały się tłumy ludzi. Od bladego świtu poczęli się zjeżdżać wieśniacy na osiołkach i wozach ciągnionych przez woły, zwożąc produkty z bardziej lub mniej odległych farm. Niebawem wiejskie uliczki zaroily się od shemickich chłopów i pasterzy w baranicach i haftowanych kaftanach. Na skraju targowiska ściaęał uwagę widok barwnych namiotów i wozów cyrkowych.

— Przybywajcie — wołał Mistrz Luddhew z wysokości ustawionej przy drodze beczki — by ujrzeć najosobliwsze cuda tego świata. Zobaczycie piękną Sathildę i sławną trupę Cesarskich Akrobatów z Kordavy, stolicy pięknej Zingary! Przeżyjecie chwilę emocji w towarzystwie Bardolpha i Jocasty, słynnych jasnowidzów, których prastara magia zrodziła się w grobowcach i świątyniach odległego Turanu, krainy Wschodzącego Słońca! A tu oto stoi przed wami Conan Potężny, znany także jako Najsilniejszy Człowiek w Nemedii. Pragnie ukazać wam zręczność i moc niepokonanej rasy gigantów Północy! Przyjrzyjcie mu się bacznie, a niechybnie dostrzeżecie przeblysk boskiej siły i męstwa!

Luddhew, balansując wprawnie na beczce, odwrócił się i z wdziękiem zamiótl aksamitną peleryną. Wówczas zza kurtyny rozwieszanej przy jednym z wozów wyłonił się Conan.

Odziany był w ten sam kilt i sandały, które nosił w Thujarze Roganthus. Pas zdočila mu szeroka, polerowana klamra. Gęstą, czarną czuprynę miał teraz Cymmerianin starannie przyciętą, uczesaną i ozdobioną metalowym diademem, błyszczącym złościę na czole, które pomiędzy występami musiał starannie wycierać z zielonych plam, jakie pozostawiała wewnętrzna strona opaski. Unosząc ręce nad głową typowym dla zapaśników gestem, napręzał mięskuly, by w pełni zaprezentować widzom swą krzepę.

— Oto przed wami półczłowiek, półtytan! — oznajmił gromko Luddhew. — Spójrzcie, jaką siłę mają te mięśnie. Cóż za okaz potężnego, nieokiełzanego olbrzyma! By zobaczyć jego boską moc i przekonać się, czy jakichkolwiek dwóch mężczyzn spośród tutejszych widzów będzie w stanie pokonać go w pojedynku zapaśniczym, musicie wysupłać z kiesy jedynie parę miedziaków i wręczyć je stojącemu u wejścia strażnikowi. Demonstracja siły Conana Potężnego stanowi tylko drobną część naszego Wielkiego Widowiska, które rozpoczniemy z chwilą, gdy plac wypełni się do ostatniego miejsca. Przybywajcie, bo kto pierwszy ten lepszy i zdobędzie lepsze miejsca, by móc ujrzeć wszystkie zapierające dech w piersiach popisy mistrzów!

Mówił jeszcze, gdy wieśniacy dwójkami i trójkami jęli przeciskać się na plac, wyluskując z ukrytych sakiewek niezbędną ilość drobnych monet. Podawali je Roganthusowi, który siedział

na koźle wozu i kwaśno popatrywał z góry na tłum. Workowata tunika i przepity wygląd nie pozwalały rozpoznać w tym człowieku dawnego siłacza.

Ci, którzy zapłacili za wstęp, przechodzili na mały placyk pod dyszlem wozu, unoszonym za pomocy sznura. Zwykle wpuszczaniem widowni zajmował się strażnik pilnujący wejścia, lecz z uwagi na niedyspozycję Roganthisa, jego obowiązki przejął Bar — dolph.

Nieporadnie unosił dyszel na tyle tylko, by przepuścić wchodzących, a najwyżsi z nich i tak musieli się pochylać.

— Dość, więcej już się nie pomieści — oznajmił Mistrz Luddhew, gdy Bardolph dał mu szybki, ukradkowy znak ręką. — Nikt już nie wejdzie. Możecie wrócić na późniejszy spektakl.

A pamiętajcie, by opowiedzieć o wszystkich cudownościach rodzinie oraz znajomym i przyprowadzić ich tutaj.

To rzekłszy, Luddhew zszedł ze swego podwyższenia i skierował się ku starej, połatanej kurtynie.

Na placyku wznosiły się już drewniane rusztowania z linami, trapezami i drabinkami sznurowymi. Drugi jaskrawo malowany wóz stał przed kręgiem namiotów pełniąc rolę sceny.

Przestrzeń przed nim była pusta, żaden widz nie podszedł bliżej. Do przedniego i tylnego koła przykuto bowiem łańcuchami niedźwiedzia i czarną panterę. Drapieżniki krążyły niespokojnie, wypuszczając się tak daleko jak pozwoliły im na to okowy i popatrując czujnie na wieśniaków. Zdawało się, że tylko czekają, by ktoś posunął się o jeden krok za daleko.

Przeszedłszy odważnie pomiędzy zwierzętami, Mistrz Luddhew odwrócił się zamaszystym ruchem w stronę tłumu.

— Oto przed wami dzika bestia, pojmana w południowych ostępach i przywieziona tu, ku waszej uciechu. Burudu, straszliwy bagienny niedźwiedź z nizin Kush, złowrogi ludojad, którego oblaskawić można jedynie za pomocą tego oto magicznego przedmiotu.

Wyjąwszy zza pasa buńczuk z trzema błyszczącymi gwiazdkami przytroczonymi na rzemieniach do metalowego trzonka, machnął nim przed pyskiem zwierzęcia.

— Burudu, wstań!

Niedźwiedź dźwignął się majestatycznie na tylne łapy, jakby buńczyk miał nad nim rzeczywistą władzę. Sierść zwierzęcia była cętkowana, złocistobrazowa, pysk długi, stożkowaty, łapy o zakrzywionych pazurach szerokie i potężne. Stojąc Burudu przewyższał

znacznie wzrostem swego pogromcę, toteż na widok bestii tłum wydał pełne zgrozy westchnienie. Luddhew, wspiąwszy się na platformę wozu, znów skinął buńczukiem przed

czarnym nosem i niedźwiedź opadł na cztery łapy.

— A oto jeszcze bardziej niebezpieczna bestia. Qwamba, królowa zwierząt, budząca trwogę czarna pantera jaskiniowa z gór Puntu! Nie ma szybszej ani cichszej odeń śmierci, gdy ściga nieszczęsną ofiarę wśród jaskiń i skał swego dzikiego królestwa! Mimo to Qwamba jest również posłuszna mocy magicznego harapa.

Smolista bestia oglądana w porannym słońcu miała futro w odcieniu srebrzysto — czarnym i słabo widoczne cętki typowe raczej dla pospolitych lampartów. Gdy krążyła przed okutym mosiądzem kołem, jej lśniąca sierść migotała, wywołując osobliwe wrażenie falowania światła i ciemności. Nagle na energiczny ruch uzbrojonej w buńczuk dłoni mistrza bestia gładko, bezszelestnie wskoczyła na wóz. Przywarła do ziemi u stóp Luddhew, a jej długi, giętki ogon drgał niespokojnie.

— Boi się, jest teraz w mocy czaru — oznajmił pogromca. — Gdyby nie magiczna siła tego przedmiotu, to zwierzę szalałoby na wolności, drwiąc sobie z ludzi i ich broni, pustosząc farmy. Dość... Qwamba, leżeć!

Potrząsnął buńczukiem, a pantera odskoczyła i gładko jak fala czerni zsunęła się na zdeptaną trawę przy wozie.

— A teraz, szlachetni mieszkańcy Sendaj, jeszcze jeden cud natury, równie rzadki i osobliwy.

Conan z Nemedii, ostatni pozostały przy życiu potomek tytanów! Oto człowiek góra, potężniejszy i bardziej muskularny niż jakikolwiek śmiertelnik, brutalny, niepokonany w boju, a jednak zdolny do naśladowania ludzkich obyczajów i życia wśród ludów cywilizowanych. Przyjrzyjcie mu się uważnie... ale nie podchodźcie za blisko. Conan jest równie dziki i niebezpieczny jak owe bestie z dżungli!

Cymmerianin jednym susem wskoczył na wóz i dumnie wyprostowany ruszył naprzód, naprężając mięśnie i prezentując je tłumowi. Swe wypowiedzi ograniczył — jak to zostało wcześniej uzgodnione — do groźnych mruknięć i zwierzęcego powarkiwania. Jego występ nie przeszedł bez echa. Muskule barbarzyńcy wywołały lawinę komentarzy, których widzowie poskąpili niedźwiedziowi i panterze. Bądź co bądź, byli to wieśniacy nawykli do oglądania zwierząt, zarówno domowych, jak dzikich. Patrzyli w milczeniu jak osłupiali na Conana, gdy ten podnosił wielkie glazy i balansował nimi, trzymając je na jednym ręku nad głową, wyginał w dłoniach gruby spiżowy pręt i zrywał łańcuch, który Luddhew zapiął klódką na jego piersi.

Na zakończenie popisów barbarzyńca przeszedł na rękach przez całą scenę. Rozległy się gromkie brawa.

Niektórzy z widzów byli, nie da się ukryć, potężniejsi od Conana, przewyższali go masą, szerokością klatki piersiowej czy wzrostem. Jednak Cymmerianin o naoliwionej, zbrązowiałej od słońca skórze i napiętych jak postronki mięśniach wywarł na nich piorunujące wrażenie.

Głosy tłumu przepelnione były lękiem i niepewnością.

— Czy będzie walczył z panterą i niedźwiedziem? — pytał mały chłopiec siedzący na ramionach ojca. — Powinien mocować się z nimi po kolei.

— Czy i na niego używasz buńczuka? — zawołał ktoś z gromady.

— Każ mu służyć i dać głos!

— Zamilczcie wszyscy! Dziękujemy za uznanie. — Mistrz Luddhew spokojnie, acz zdecydowanie uciszył rozentuzjasmowanych widzów. — Oto przed wami prawdziwy sprawdzian siły i odwagi. Potomek tytanów będzie walczył ze śmiałkami z waszego grona. Z

dwoma naraz, do pierwszego powalenia na deski. Każdy chętny wpłaca srebrną szeklę. Jeżeli któraś drużyna powali Conana, otrzyma w nagrodę sześć szekli.

Na te słowa przez tłum przebiegł szmer i zrobiło się lekkie zamieszanie. Większość widzów wycofała się nieco dalej od sceny lub zaczęła obstawiać zakłady. W końcu po jednej stronie zebrała się gromadka młodych ochotników. Szeptali między sobą, łypiąc złowrogo na Conana i wręczając srebrne monety Luddhew.

— Oto pierwsza drużyna. Zawodnicy mają czas, by się przygotować.

Na te słowa Conan zeskoczył z wozu i przeszedł wolnym, obojętnym krokiem pomiędzy panterą i niedźwiedziem. Luddhew wybrał tymczasem dwóch młodzieńców, z wyglądu skorych do bitki nicponiów. Kiedy Conan się zbliżył, Bossończyk upomniał oficjalnie.

— Pamiętajcie, tylko dozwolone chwyt. Nie wolno używać broni. Jak to zwykle bywało podczas walki z dwoma przeciwnikami, jeden z nich okazał się bardziej zadziorny i odrobinę szybszy. Na nim właśnie skoncentrował uwagę Conan. Wykonawszy prostą zmyłkę w lewo, wbił wzrok w oczy bardziej ostrożnego z zawodników, po czym nagle dał susa w prawo i schwycił drugiego mężczyznę za przegub. Jednocześnie wykonał dźwignię na bark młodzieńca. Kiedy poczuł, że kolano przeciwnika dotknęło ziemi, odepchnął go od siebie.

— Pierwszy zawodnik odpadł — oznajmił Luddhew. — Rozpoczyna się walka jeden na jednego.

— Ale przecież nie zostałem powalony — zaprotestował wiejski osilek. Odwrócił się, by ponownie zaatakować, ale Luddhew ucapił go za kołnierz.

— Dotknięcie kolaniem ziemi zgodnie z regułami Khorshemish eliminuje z walki — wyjaśnił.

— Wszak klękasz przed królem, czyż nie? Podobnie oddajesz cześć temu, kto cię pokonał. —

Wskazał na świeżą plamę z błota i trawy na nogawce płóciennych spodni wieśniaka. — Jeśli

masz chęć na kolejne starcie, zaczekaj na swoją kolej i wyduś z sakwy jeszcze jedną szklę.

Póki co, czekaj i patrz.

Gdy się spierali, drugi śmiałek, zniechęcony sukcesem Conana, jął się wycofywać.

Perspektywa walki z potomkiem śmiertelniczki i tytana odebrała mu resztki męstwa. Conan skoczył miękko jak kot, by pochwycić przeciwnika, na twarzy nieszczęsnego pojawił się grymas paniki. Conan na moment zwolnił uchwyt, po czym wymierzył błyskawiczny cios nogą, trafiając wiejskiego osilka pod kolana.

Młodzieniec runął na ziemię. Cymmerianin pochylił się i pomógł mu wstać, belkocząc pod nosem ciche przeprosiny i dziękując za uczciwą walkę. Mężczyzna z przerażeniem malującym się na twarzy pierzchnął z placyku i zniknął w tłumie.

Następny pojedynek zaczął się podobnie jak poprzedni. Luddhew, witając przed rozpoczęciem walki, pohamował jednego z nich o ułamek sekundy. W tym czasie Conan zwał

się z pierwszym zawodnikiem i wyeliminował go z walki szybkim energicznym przerzutem przez biodro. Drugi mężczyzna był twardszy, silniej zbudowany i dorównywał wzrostem Conanowi. Cymmerianin bez powodzenia próbował zastosować kilka zapaśniczych chwytów, by wyslizgnąć się z objęć przeciwnika. Jednocześnie przez cały czas spychał młodzieńca w stronę wozu strzeżonego przez budzące postrach drapieżniki.

Kiedy osilek obejrzał się przez ramię, chcąc sprawdzić, czy bestie nie zamierzają się na niego rzucić, Conan skoczył naprzód. Zacisnął rękę na karku wroga i, pomagając sobie nogą, pchnął z całej siły ku przodowi. Wiejski zabijaka runął z łomotem, ale w okamgnieniu pozbiierał się i kuśtykając oddalił w niesławie.

— Była to już ostatnia drużyna śmiałków — oznajmił Luddhew zgodne z prawdą, albowiem na placu boju pozostał tylko powalony w pierwszym starciu osilek, któremu jednak nie udało się znaleźć zawodnika do pary. — Nasz olbrzym z Północy, Conan Potężny, nie został

pokonany. A teraz cud znad Oceanu Zachodniego. Sathilda, latająca piękność, i jej Cesarscy Akrobaci igrający ze śmiercią w powietrzu, nad waszymi głowami!

Przyodziana w jedwabie kobieta zaczęła zwinnie wspinać się po linie zwisającej z jednego z drewnianych pali, między którymi naprężony był sznur. Po chwili dwaj szczupli młodzi mężczyźni w rajtuzach i kamizelkach poszli w ślady Sathildy. Conan tymczasem bez trudu precyzyjnie przesunął się przez tłum, ujął koniec liny i naciągnął ją, by ułatwić kobiecie wspinaczkę.

Kiedy zaczęły śmigać trapezy, tłum nieznacznie się cofnął, aby móc lepiej przyglądać się widowisku i jednocześnie w razie wypadku znaleźć się poza zasięgiem zagrożenia.

Śmiałkowie występowali bowiem bez siatki zabezpieczającej i materacy. Sathilda wykonała w

powietrzu kilka zwinnych salt, skrętów i obrotów, a zaaferowani widzowie mogli dosłyszeć kłaśnięcie dłoni w drewniany drążek lub naprężone ramię partnera dziewczyny. Czuli zapach jej potu, gdy przelatowała tuż nad ich głowami, a drobne jego kropelki rosły im uniesione twarze. Dwaj akrobaci odgrywali przede wszystkim rolę pomocników. Popychali trapez Sathildy, nadając mu rozpęd, lub ustawiali się tak, by ją samą pochwycić i ściągnąć z powrotem na platformę.

Wreszcie dziewczyna wskoczyła na naprężoną między palami linę — Z gracją wykonała kilka piruetów i salt. Dwukrotnie omsknęła się jej noga, lecz, czy stało się to przypadkowo, czy stanowiło element spektaklu, zawsze udało się spadającej pochwycić linę i podciągnąć z powrotem na górę. Zręczność i uroda Sathildy, podkreślona przez obcisły zielony kostium, do reszty podbiły serca widzów. Ciszę przerywał jedynie rytmiczny łoskot bębena wzmagający napięcie podczas wyjątkowo niebezpiecznych popisów oraz dźwięki fletu Bardolpha. Na koniec akrobatka wróciła na trapez. Luddhew zapowiedział ostatnią zagrażającą życiu, podniebną ewolucję.

Sathilda zaczęła kołysać się na trapezie, wykonując kilka wstępnych zeskoków z platformy, by bez reszty przykuć uwagę obserwujących ją ludzi i zestroić się ze swymi partnerami.

Wreszcie puściła drążek trapezu i zgrabnym łukiem wyprysnęła w górę, wijąc się w powietrzu niczym srebrzystozielona rybka polująca na ważkę. Dokonawszy obrotu, opadła zwinnie, próbując zacisnąć dłonie na przedramionach swego partnera. Może jednak szybkość spadania była zbyt duża albo też skóra mężczyzny zbyt śliska od potu. Tak czy inaczej, akrobata nie zdołał utrzymać Sathildy. Ich ręce rozłączyły się. Dziewczyna runęła w dół... wprost w ramiona Conana, który nie wiadomo kiedy zjawiał się pod trapezem i pochwycił spadającą, zanim zdążyła dotknąć ziemi.

Rozległy się gromkie, radosne okrzyki. Tłum ruszył naprzód, pragnąc pogratulować silaczowi i akrobatce, Conan szybko podsadził Sathildę na platformę wozu i wskoczył za dziewczyną, by po raz ostatni pokłonić się publiczności. Luddhew ogłosił zakończenie pokazów akrobatycznych. Widzowie skoncentrowali się na kolejnym punkcie programu. Sztuki magiczne prezentował im odziany w szaty czarnoksiężnika Bardolph.

— Wspaniały występ, jak zwykle — pochwalił Sathildę mistrz Luddhew, gdy znaleźli się za kurtyną. — Twój ostatni upadek był wręcz doskonały. Krzyk tych kmiotków powinien napędzić nam pełen plac widzów na popołudniowe przedstawienie. Nie ma lepszej reklamy.

— Conan był jak zwykle na swoim miejscu — dodała czule Sathilda i wycisnęła pocałunek na policzku swego wybawcy.

— Tak, wspaniale — mruknął Luddhew, kiwając głową do Conana. — Trzy przedstawienia i wciąż doskonale się spisujesz w roli, którą dotąd odgrywał Roganthus.

— Nie zapominaj, że to tylko tymczasowe zastępstwo, póki nie odzyska sił — rzekł Conan.

Spojrzał na siłacza, który rozciągnięty na stercie desek pociągał smętnie z glinianej flaszki. Nie sposób było stwierdzić, czy Roganthus usłyszał nieostrożną uwagę mistrza. Conan miał

nadzieję, że nie. Niebawem Luddhew został odwołany na bok. Pragnął z nim rozmawiać jakiś nieznajomy, mężczyzna niskiego wzrostu, odziany strojnie w jedwabny fez, podbity futrem płaszcz, bufiaste pantalony i modne pantofle z wywiniętymi noskami.

— Nie leży w mojej naturze — Conan zwrócił się do Sathildy — paradować przed widownią, puszczając się i prezentując muskuły. Nie lubię też oszukiwać pospólstwa i narażać się na drwiny z ich strony. Zrobię jednak wszystko, co będę musiał, aby tylko móc dalej z tobą wędrować.

— Jesteś godny podziwu — zamruczała Sathilda. — Spisujesz się lepiej niż ktokolwiek inny przed tobą. — Stając na palcach, cmoknęła go w szyję. — Co się zaś tyczy maskarady... mimo iż może ci się wydać osobliwa i obca, powinieneś starać się dobrze bawić i nadal doskonalić swoje umiejętności. Może będziesz miał z nią jeszcze długo do czynienia — wskazała głową Roganthusa.

Kiedy pokazy sztuk czarodziejskich dobiegł końca, a widzów wyproszono z placu, artyści zasiedli na platformie wozu, który służył za scenę. Nie wszyscy jeszcze się zeszli. W namiotach i kramach przy trakcie co poniektórzy nadal nabijali kabzy za pomocą gładkich słówek i najróżniejszych szulerskich sztuczek. Ponieważ jednak cyrkowcy byliby na placu targowym nieustannie nękani przez tłum, postanowili spożyć posiłek ukryci za wozami, w ciszy i spokoju. Pojadając chleb, ser, owoce i kielbasę, których kęsy przepłukiwali solidnymi łykami cienkiego miejscowego wina, siedzieli rozmawiając o interesach.

— Z przyjemnością poszerzyłbym moje umiejętności — mówił Bardolph. — Dlaczego nie miałbym władać prawdziwą magią, zamiast posługiwać się byle sztuczkami? Krążą plotki, że w wielkich miastach można spotkać magów zdolnych do rzucania wszelkiego rodzaju zaklęć i czarów, znających tajniki przemiany i lewitacji przedmiotów, umiejących przepowiadać przyszłe zdarzenia. Dlaczego więc każdy wędrowny mag jest hochsztaplerem, oszukującym widzów tanimi sztuczkami?

Conan uniósł wzrok.

— Z tego co widziałem, czarnoksiężnicy, którzy dysponują podobnymi talentami, niezbyt się palą, by używać ich ku uciesze gawiedzi. Płacą słoną cenę za zdobycie wiedzy, potem więc używają jej w sekretny sposób. Posiadają władzę, a cele, którym służą, są niezbadanej natury, niemożliwe do pojęcia przez prostaczków.

Posilając się, Cymmerianin jednocześnie delikatnie i starannie zaklepał lekkim młotkiem wygięty fragment przepiłowanego ogniwa łańcucha, który „rozrywał” podczas swoich występów.

— To, szczerze mówiąc, niezbyt przyjemne towarzystwo. Kontaktując się ze złem, można zatracić część swego człowieczeństwa i stać się na poły diabłem...

— Wiem, wiem — rzekł mały człowieczek — ale tak czy inaczej, niektóre z czarnoksiężskich sztuczek mogłyby się nam przydać w cyrku. Prawdziwa magia przyciągnęłaby tłumy, a ja zyskałbym olbrzymią sławę... Oplaciliby się to w dwójnasób przy prowadzonych przeze mnie grach hazardowych.

— Na twoim miejscu nie ryzykowałbym — ostrzegł go Conan, sprawdzając wytrzymałość łańcucha. — A poza tym, po co ci to? Jesteś dobry w tym, co robisz, a w cyrku i tak miejsce masz zapewnione. Karzeł jest zawsze potrzebny.

Bardolph w okamgnieniu znalazł się obok Conana. Potrząsnął pięścią tuż przed nosem barbarzyńcy.

— Nie waż się, cudzoziemcze, nazywać mnie karłem! Nie dlatego tu się tu znalazłem! Jestem muzykiem, prestidigitatorem, mistrzem gier hazardowych i uzdrowicielem, nie byle dziwołagiem, którego pokazuje się w przyćmionym świetle wnętrza namiotu. Tak się składa, że nie dorównuję ci posturą, lecz pamiętaj, że mój wzrost daje również pewną przewagę w walce. — Poklepał nóż spoczywający w pochwie u pasa. — Jeśli cię zatnę, długo mnie nie zapomnisz. Dobrze się więc zastanów, zanim znowu mnie sprowokujesz, barbarzyńco z Północy.

— Wystarczy, Bardolph. Nasz tytan nie zamierzał cię obrazić. — Jocasta podeszła do kaleki i kojącym gestem położyła dłoń na jego ramieniu. — Cudzoziemiec jest tutaj nowy i nie do końca wie, jak się zachować. Daj mu spokój.

Łagodny, uspokajający ton głosu świadczył, iż wróżka uznała, że Conan znalazł się naprawdę w poważnym niebezpieczeństwie.

Cymmerianin ze swej strony przyjął słowa Bardolpha milczeniem. Gdy karzeł łypnął nań gniewnie, a potem pogardliwie odwrócił się i odszedł, nie próbował go przeproszać ani się usprawiedliwiać.

Wkrótce załagodzona sytuację i podjęto przerwana rozmowę.

— Co do mnie, nie tęsknię za poznaniem sekretów słynnych wrózek czy prorokiń z wielkich miast — rzekła Jocasta. — Ich przepowiednie zawsze są niejasne i pełne dwuznaczności. Cieszę się z daru „drugiego wzroku”, który posiadam za sprawą bogów. Wolę przepowiedzieć komuś miłość czy odnalezienie zagubionego drobiazgu, coś prostego, namacalnego i konkretnego, niż wikłać się w proroctwa o losach armii i narodów.

— Daj spokój — zawołał na wpół pijany Roganthus leżący w kącie na stercie worków. — Jeśli naprawdę wierzysz w swój wieszczy dar, jesteś równie głupia jak ci tępi wieśniacy. Wszyscy widzieliśmy, jakich sztuczek używasz, by wywołać te swoje „wizje”.

— Mówisz o zewnętrznych formach mojej sztuki, które są dla niej tym, czym oprawa dla klejnotu — odparła niewzruszenie Jocasta. — Ale jądro przepowiedni ma w sobie coś mistycznego, coś, o czym wiem, że jest prawdziwe. Naprawdę czuję, że zostałam naznaczona

przez bogów.

— No jasne, oczywiście, że tak! — rzucił kpiąco Roganthus, unosząc glinianą flaszkę wyżej, by wysączyć ją do dna. — Ja także wierzyłem, że jestem niepokonanym wybrańcem losu...

dopóki jakiś dziki brutal z Północy nie popchnął mnie na tę przeklętą ławę! — Ze zboląłą miną potarł uszkodzony bark. — A teraz siedzę, patrząc jak upływa życie i czekając, aż bogowie przestaną mnie wreszcie dręczyć i zakończą swą bezlitosną grę. Moja sława, moje umiejętności przepadły... Naturalnie będę się starał nadal występować na tyle, na ile zdołam. Ale możliwe, że nigdy już nie będzie tak jak kiedyś...

Belkotliwy pijacki lament przerwały dźwięki, które w mig postawiły na nogi wszystkich cyrkowców. Od strony targowiska dobiegał gwar ochrypłych, podniesionych głosów.

Bardolph i Sathilda poderwali się natychmiast i wyszli przed kurtynę. Conan i Jocasta podążyli za nimi, pozostawiając Roganthesa, który sprawiał wrażenie, jakby usiłował się podnieść ze sterty derek. Jednak ból oraz wypity alkohol udaremniły jego wysiłki.

Nieopodal sceny, na placu zebrała się spora gromadka gapiów. Tłoczyli się przy ogrodzeniu otaczającym teren jednej z licznych gier zręcznościowych. Wyglądało, że toczy się tam jakiś spór, bo zebrani reagowali gromkim śmiechem i radosnymi okrzykami zachęty.

— Co ty sobie wyobrażasz? Jak śmiesz niszczyć mój sprzęt? — wołał właściciel straganu, najwyraźniej próbując ściągnąć krzykiem uwagę obsługujących sąsiednie stoiska i kramy. —

Tu się rzuca nożami, nie siekierami! Spójrz, zniszczyłeś tarczę. — Mężczyzna uniósł do góry malowany drewniany dysk, aby pokazać go wszystkim. Deska była wgięta i pośrodku rozszczepiona, poznaczona małymi otworami, wgłębieniami i odpryskami drewna.

— Owszem — odparł ze spokojem sprawca awantury. — Ale to był czysty rzut, prawda? —

Szczupły, o aroganckim wyrazie twarzy młodzian obejrzał się na stojących tuż za nim kompanów. — Noże czy topory, miałbym miotać do ruchomego czy nieruchomego celu, jestem w stanie pokonać ciebie i każdego z tej twojej oszukańczej hałastry.

— W rzeczy samej, Dath! — rozległy się okrzyki z tłumu. — Wiemy, że to prawda! Pokaż tym kuglarzom, co potrafisz!

Młodzieniec był najwyraźniej miejscowym zawadiaką. Wyróżniał się wytwornym strojem, znacznie elegantszym niż chłopskie odzienie. Wyglądał na stałego bywalca oberży i rozstajów dróg, innymi słowy na osobnika, który nie zhańbił się nigdy uczciwą pracą, a mimo to nie narzeka na życiowe niedostatki. U pasa zwisały mu wypolerowane do połysku topory. Dwóch bojowo nastawionych i skorych do wszczęcia burdy obiboków w towarzystwie swoich dziewczyn tłoczyło się za plecami aroganckiego zabijaki. Cała ta gromadka uśmiechała się drwiąco, lypiąc jednocześnie na cyrkowców i wymieniając pogardliwe uwagi.

Rywal Datha okazał się młody Phatuphar, akrobata z drużyny Sathildy, do umiejętności którego należało również miotanie nożami. Gra polegała na tym, że cyrkowiec zapraszał wybranego z tłumu gapiów mężczyznę, by ten w dwóch lub trzech rzutach trafił w środek drewnianej tarczy. Noże wyjmował Phatuphar ze skórzanej sakwy wiszącej na drewnianej barierce. Cel był zwykle umieszczony na słupie na końcu ogrodzonego terenu. Za słupem rozciągano grubą płachtę, która miała wychwytywać chybione rzuty.

Zaledwie przed chwilą Phatuphar udał się, by pozbiierać noże, gdy do bariery podszedł Dath i, cisnąwszy toporkiem tuż nad głową młodego akrobata, trafił w sam środek tarczy, rozszczepiając ją na dwoje.

Sprzeczką nie przerodziła się jak dotąd w otwartą burdę i cyrkowcy, którzy zbiegli się z całego obozu, stali spokojnie przy ogrodzeniu — wszyscy z wyjątkiem Luddhew. Ten w towarzystwie swego wytwornego gościa w jedwabnym fezie podszedł do Phatuphara.

Akrobata żądał rozstrzygnięcia sporu z Dathem w uczciwych zawodach i mistrz uznał, że nadarza się świetna okazja.

— Nie wahaj się ani chwili — mówił Phatuphar. — Ta sakiewka powiada, że pobiję każdy twój wynik. Moje rzuty zawsze będą celniejsze od twoich. Stawiam pięć srebrnych szekli.

Mniemam, że stać cię, by wyłożyć tyle samo!

— To nie powinno być trudne — odparł Dath.

Sakiewka u pasa młodego zabijaki wyglądała na wiotką i pustą. Kiedy jednak Dath odwrócił się w stronę tłumu, uniosło się w górę pół tuzina dłoni. Miejscowi byli gotowi pożyczyć dla dobra sprawy kilka srebrnych szekli.

— Dalej, Dath! Pokaż mu gdzie raki zimują! — zagrzmiały okrzyki.

— Pięć miedziaków na Sendajanina! — zawołał jakiś zagorzały zwolennik zakładów.

— Niezłe z niego ziółko, ale miotać toporem potrafi jak nikt!

Stawka niezbędna do rozpoczęcia walki została wkrótce zebrana. Luddhew przyjmował zakłady. Przyjazne stosunki z mężczyzną w fezie, człowiekiem wyraźnie cieszącym się dużym szacunkiem, gwarantowały uczciwość przedsięwzięcia. Cyrkowcy, znający dobrze Phatuphara, również obstawiali wyniki pojedynku. Tymczasem obydwaj zawodnicy omawiali szczegóły walki.

— Wybierz, jaki chcesz, cel — rzucił wyzwanie Phatuphar. — Dorównam ci lub pokonam, rzucając moimi nożami. Dwa do jednego!

— Ty będziesz rzucał pierwszy, a ja dorównam twojemu wynikowi, miotając moimi toporami. Jeden za jeden — targował się Dath. — Ale, ale, ożywmy trochę ten turniej.

Potrzebna nam jakaś dziewczka. — Powiódl wzrokiem dokoła. — Ty, Jano — powiedział. —

Wiesz, że nie mógłbym cię skrzywdzić.

Dziewczyna, która dotąd kryła się za jego plecami, była szczupłą, drobna i miała długie, natarte oliwą loki. Na świąteczny festyn włożyła białą bawelnianą bluzkę, we włosy wpięła klamry z szylkretu, nadgarstki i kostki zaś ozdobiła miedzianymi bransoletami, podkreślającymi szczupłość jej opalonego na brąz ciała.

Spojrzała beztrosko na Datha i jego kompanów, nie okazując ani cienia wątpliwości, po czym podeszła do młodzieńca.

Objąwszy Janę poufale w pasie, Dath przeprowadził ją przez sznury odgradzające teren rzutów.

— Chodź tu, kuglarzu — rzucił przez ramię do Phatuphara. — Przynieś swą tarczę, a we troje pokażemy im turniej, którego długo nie zapomną.

Phatuphar przymocował tarczę do metalowego haka. Wówczas Dath podprowadził do słupa Janę, oplótł jej nadgarstki rzemieniem i przywiązał tak, że dziewczyna stała na palcach z rękami w górze, zwrócona twarzą do widzów.

Drewniany dysk miał namalowanych pięć kręgów: biały, w samym środku, i cztery czerwone, rozmieszczone u góry, u dołu i po bokach. Jako że dziewczyna została przywiązana pod tarczą, widoczne były teraz tylko czerwone kręgi po obu stronach jej wzniesionych rąk.

— To dobre cele — oznajmił Dath, przymierzając się do rzutu. — Nie ruszaj się — rzekł do spętanej dziewczyny. — Zaufaj mi.

Objął ją raz jeszcze, bez większego entuzjazmu pocałował i wrócił na stanowisko rzutów.

— W rzeczy samej jest to dość łatwy cel — zwrócił się do Phatuphara, wskazując na dwa czerwone kręgi. — Nie pozwól, by lęk przed zranieniem Jany osłabił twą celność — dodał nonszalancko. — Toż to za ledwie wiejska dziewczka.

Tłum na placu stawał się coraz bardziej podekscytowany, poruszony. Rósł entuzjazm, stawiano zakłady na czarnego konia — Datha. Najwidoczniej nikogo z rodziny Jany, jeśli takową w ogóle miała, nie było akurat w pobliżu. Nikt więc nie zaprotestował. Ze spokojem przyglądano się przygotowaniom czynionym przez Phatuphara. Niemniej Conan nie wątpił, że gdyby któreś z ostrzy akrobaty choć musnęło dziewczynę, cyrkowcy napytaliby sobie biedy.

Przez chwilę chciał nawet interweniować, lecz znał umiejętności towarzysza Sathildy i ufał mu.

Uznał też, że Dathowi warto przytrzeć nosa.

Odległość była niemała, dziesięć kroków z okładem. Phatuphar zasepił się, pogrążając w głębokim skupieniu. Wolno odchylił umięśnione ramię i energicznym wyrzutem z barku cisnął

metalowe ostrze, aż zawirowało, przecinając powietrze. Nóż z głuchym stuknięciem wbił się w czerwony krąg, ledwie na szerokość palca od pachy dziewczyny. Tłum westchnął, jakby z ulgą, nie zważając już na zakłady. I nagle, prawie niezauważenie, akrobata śmignął drugą ręką.

Widzom zaparło dech w piersiach.

Ten rzut był równie udany jak pierwszy. Ostrze trafiło w skraj czerwonego kręgu, o całą szerokość dłoni od ciała dziewczyny. Phatuphara nie zawiodły nerwy. Tłum zaszemrał z podziwem.

Dath wybuchnął śmiechem.

— Cóż za patetyczny popis! Sądzisz, że nie zdołam wpasować mego ostrza między twój nóż i ciało nadobnej Jany? Ba, gdybym zechciał, mógłbym jej nawet ogolić pachy.

Sięgnąwszy za pas, wydobyl jeden ze swych dobrze naostrzonych toporów.

— Nie, to nie jest prawdziwe wyzwanie. Wolalbym coś bardziej śmiałego. Wiem, tymi oto dwoma toporami uwolnię dziewczynę z pęt.

To rzekłszy, z niewiarygodną szybkością zamachnął się. Srebrzyste ostrze i owinięte skórą rekina stylisko zawirowały mknąc ze świstem do celu. Topór trafił idealnie, zagłębiając się w słup tuż nad głową Jany.

Białka nieszczęsnej dziewczyny były aż nadto widoczne, gdy Jana uniosła przerażone oczy w górę, oszołomiona impetem potężnego oręża wbijającego się w drewno między jej skrępowanymi dłońmi. Ostrze nie dotknęło ciała ani też nie przecięło rzemieni krępujących przeguby rąk i przewleczonych przez pierścień w słupie. Odstęp między związanymi nadgarstkami wynosił zaledwie szerokość palca, a metalowy hak znajdował się dokładnie pomiędzy nimi. Rozcięcie więzów ciosem topora graniczyło z niemożliwością. Być może dziewczyna to sobie właśnie uświadomiła, zaczęła bowiem wic się, szarpać rzemień, skręcając się, preżąc, usiłując uwolnić z haka.

Dath kompletnie ignorował jej wysiłki.

— Prawie mi się udało — rzucił zuchwale do zgromadzonych dookoła widzów. — Jana niemal została pozbawiona krępujących ją pęt. Jeszcze jeden rzut i będzie po wszystkim.

— Nie, nie rzucaj! — zawołał Phatuphar, postępując naprzód. — To zbyt niebezpieczne!

Ale Dath nie zwrócił na niego uwagi. Ruchem tak gwałtownym, że prawie nie sposób go było prześledzić wzrokiem, wyszarpnął zza pasa drugi topór, zamachnął się i cisnął nim przed siebie. Widząc mknące ku niej ostrze, Jana mimowolnie pochyliła głowę, wyprężając jednocześnie ciało w oczekiwaniu na nieuchronne uderzenie.

To nieomal kosztowało ją życie. Na szczęście topór pomknął wysoko, prawie zupełnie chybiając celu i wbił się u szczytu słupa. Gdyby chciała, Jana mogła dotknąć ostrza koniuszkami wyciągniętych palców.

I tym razem topór nie przeciął rzemieni pętających jej przeguby. Nie znajdował się też bliżej ciała dziewczyny niż sztylety Phatuphara.

Tłum, podekscytowany do niedawna brawurą swego krajana, zaczął nagle okazywać zwątpienie i konsternację.

— Nieżle — mruknął ponuro Phatuphar. — Ale trochę zbyt daleko od celu. Chybiłeś i rzemieni, i kręgów. Dziewczyna nie została uwolniona, a może tylko tak mi się wydaje? Wobec tego nie będziesz chyba oponował, że nagroda...

— Milcz, głupcze! Na kły Seta, powiadam ci, że ją uwolnię! — Minawszy Phatuphara i pochyliwszy się nad barierką, Dath sięgnął po żelazny młot o długim trzonku, którego ekipa cyrkowa używała do wbijania w ziemię kolków i wznoszenia straganów. Zanim akrobata zdążył zaprotestować, Dath uniósł młot oburącz nad głowę i z impetem cisnął nim w stronę bezradnej, przerażonej ofiary.

Obserwatorzy zastygli ze zgrozy, przekonani, że za chwilę ujrzą mózg Jany rozbryzgujący się dookoła. Młot dosięgnął jednak słupa i odbiwszy się z głośnym brzękiem od jednego z wbitych w pal toporów, przeleciał tuż obok głowy dziewczyny i glucho uderzył o ziemię u jej stóp.

Pod wpływem wstrząsu metalowy hak, na którym umocowany był rzemień, obluzował się i wypadł. Tarcza do rzutów runęła w dół, a Jana osunęła się na kolana koło młota, półprzytomna, ale cała i zdrowa. Tłum wydał jęk zdumienia, po chwili również dały się słyszeć pierwsze stłumione jeszcze okrzyki radości.

— Dath ją uwolnił, widzieliście to? I to w dwóch rzutach! Wygraliśmy!

— Dobry jest ten chłopak! Wiedziałem, że mu się uda!

— Oto jaką przewagę ma celnie ciśnięty topór nad byle nożem!

Phatuphar pierwszy odważył się zaprotestować.

— Chwileczkę! Wstrzymajcie się! Przecież on rzucał po trzykroć i ani razu nie trafił w

uzgodniony cel. Nie może twierdzić, że wygrał...

— Zamilcz, kuglarzu! Dath jest lepszy od ciebie!

— Nie powiesz nam, że twoje cyrkowe sztuczki mogą równać się z prawdziwym mistrzostwem...

Wśród głośnych okrzyków i groźnych gestów zaczęła narastać atmosfera napięcia. Grupka cyrkowców podeszła bliżej, obserwując bacznie rozwój sytuacji. Conan uznał, że bijatyka mogłaby rozpocząć się już teraz. Byłoby to bezpieczniejsze, póki Dath pozostawał bezbronny.

Gniew widzów skoncentrował się obecnie na osobie Luddhew, który przed pojedynkiem przyjmował zakłady, a teraz próbował zażegnać konflikt.

— Dość już — zwrócił się do tłumu. — Postanowienia turnieju nie zostały zrealizowane!

Zawodnik wybrał sobie inne cele, toteż zakład jest nieważny. Zwrócę wam wasze pieniądze, lecz nie ludźcie się, że otrzymacie wygraną.

— Kłamca! — podniosły się głosy. — Podli, kłamliwi włóczędzy! Wygraliśmy uczciwie i dobrze to wiesz! Wyplać nam wygraną albo wygarbujemy ci skórę i sami odbierzemy, co się nam należy.

Te słowa były sygnałem do rozpoczęcia bójki, która rozgorzała w najlepsze, gdy tłum wieśniaków rzucił się na Luddhew i Phatuphara. Pozostali cyrkowcy pospieszyli swoim towarzyszom z pomocą. Pięści i kije poszły w ruch, owoce i kamienie śmigły w powietrzu. Ci, którzy padali na ziemię, byli bezlitośnie kopani i deptani. Conan rzucił się w wir walki wypatrując najbardziej zapalczywych zabijaków. Od czasu do czasu powalał jakiegoś wyjątkowo zajadłego osiłka, częstując go ciosem wielkiej jak bochen chleba pięści. Nie dobywał jednak broni i nie wkładał w uderzenia całej swej siły. Bądź co bądź, był w cyrku nowy i nie wiedział, czego od niego oczekiwano przy tego typu utarczkach. Zabijanie lub okaleczanie widzów mogło okazać się nie najlepszym rozwiązaniem. Tak mu się przynajmniej wydawało. Przedzierał się zatem do Luddhew z gwałtownością tornada, chwytając i odrzucając w tłum po dwóch, a nawet trzech napastników. Mistrz czekał spokojnie na służącym za scenę wozie, zadowolając się odepchnięciem bądź poczęstowaniem od czasu do czasu kopniakami najzjadlejszych wrogów, którzy podeszli zbyt blisko. Niski, odziany w jedwabie przybysz stał nieco z tyłu, lecz nie uciekał i obserwował całą awanturę z żywym zainteresowaniem.

Dath, co Conan zauważył z pewnym zdumieniem, nie brał udziału w bijatyce. Jego dwaj kompani wdarli się w tłum z dobytymi nożami, ale nie dane im było ich użyć. Jednego trafił w nos sam Cymmerianin, drugiego powalili ciosami w brzuch i potylicę Bardolph i Sathilda.

Dath, którego Conan czujnie obserwował kątem oka, nie zadał sobie nawet trudu, by odzyskać swój oręż, tylko podszedł do Jany. Dziewczyna, rozdygotana i roztrzęsiona, opuszczała właśnie plac turniejowy. Młody człowiek pożegnał ją zdawkowym pocałunkiem i dość obcesowym

klepięciem w siedzenie. Następnie przystanął obok barierki, leniwie uchylając się przed wpadającymi na niego bezwładnymi ciosami.

— Przestańcie natychmiast! Przerwijcie tę niesportową walkę! — krzyczał gniewnie Luddhew do rozpraszanego się dość żwawo tłumu. — Ponieważ złamaliście boskie prawo gościnności, oznajmiam, że wszystkie zakłady zostają unieważnione! Wracajcie do domów! Nasz popołudniowy występ nie odbędzie się!

Słowa mistrza nie spotkały się z większym odzewem. Mało kto spośród pragnących dopaść Luddhew wieśniaków trzymał się jeszcze na nogach.

Członkowie trupy, zaprawieni w tego typu utarczkach, sprawnie oczyścili plac z przerażonych, ślaniających się na nogach zwolenników prawa pięści. Nieco dalej, na trakcie, zebrali się uczestnicy walki, którzy wcześniej podali tyły. Po ich postawie można było się domyślać, że w przyszłości zechcą jeszcze napsuć cyrkowcom krwi. Teraz jednak sytuacja wydawała się opanowana. Na placu pozostali jedynie nieprzytomni i ci, co nie byli w stanie zrejterować o własnych siłach.

Wówczas Dath zbliżył się do Luddhew.

— Cóż powiesz, panie? Czy twoim zdaniem mam dostatecznie celne oko? Znudzila mnie już ta miejscina i pragnę opuścić tutejszą okolicę. Znalazłoby się dla mnie miejsce w twojej trupie?

Luddhew przetrwał bijatykę nietknięty. Pieniądze z zakładów miał ukryte gdzieś pod obszernym płaszczem. Teraz postąpił naprzód, uśmiechając się promiennie.

— Zaiste, chłopcze, przydałby się nam taki zręczny miotacz jak ty! Czeka nas świetna przyszłość, albowiem — co pragnę właśnie zakomunikować wam wszystkim — ten oto nasz dostojny gość to nie kto inny jak Zagar, łowca talentów, wysłannik Najwyższego Dworu w Luxurze.

Mistrz podprowadził bliżej niskiego, eleganckiego Argosańczyka, a ten skłonił się, dotykając dłonią fezu.

— Witajcie — rzekł z przyjaznym uśmiechem. — Muszę przyznać, że ujrzawszy wasze rozliczne talenty, jestem pod dużym wrażeniem. Przemawiam teraz w imieniu mych władców i niniejszym mam zaszczyt zaprosić waszą trupę do stolicy Stygii, abyście wystąpili przed obliczem lorda Commodorusa w Imperium Cyrku w Luxurze. Przygotujcie się, żywo.

Niezwłocznie wyruszamy w drogę.

WĘDRÓWKA

Droga na południe, do Luxuru, była uciążliwa z powodu upału i kurzu, gdyż lato tego roku okazało się nadzwyczaj gorące. Nie napotkano jednak ani dzikich bestii, ani rozbójników. Od czasu do czasu na szlaku wędrówki cyrkowej trupy pojawiały się pojedyncze farmy lub siola.

Podróżowali jednym ze szlaków handlowych łączących shemickie miasta–państwa. Trakty takie były przejezdne prawie przez cały rok. Ciągnęły się jednak tylko z północy na południe, jako że wzdłuż osi wschód — zachód transport odbywał się na statkach wodami mrocznego, potężnego Styksu.

Zagar, łowca talentów, towarzyszył taborowi na grzbiecie przystrojonego wspaniałym rzędem osła. Mistrz Luddhew natomiast dosiadał pięknej gniadej klaczy, którą otrzymał w podarunku jako wyraz uszanowania.

Na ciągnionych przez muły wozach piętrzyły się sterty najróżniejszych sprzętów, wszyscy więc niemal członkowie trupy — z wyjątkiem Roganthusa, który wciąż narzekał na swe obrażenia — wędrowali pieszo. Na szarym końcu wlokły się niedźwiedź i tygrys, przykute łańcuchami do tylnej burty wozu, by nie płoszyć mułów. Wyjątek uczyniono jedynie dla Qwamby. Drapieżna bestia wdrapała się na platformę ostatniego wozu, gdzie mogła wylegiwać się i drzemać lub leniwie obserwować idących obok ludzi.

Siła i sprawność wszystkich członków zespołu, a zwłaszcza Conana, okazały się niezbędne, kiedy wozy grzęzły w błocie podczas przeprawy przez strumień bądź podjeżdżały na strome zbocze.

Niejeden raz cyrkowcy musieli je pchać własnymi rękami. Nawet Qwamba zeskakiwała wówczas ze swej platformy, podczas gdy Burudu ruszał do pomocy i jednym niecierpliwym machnięciem łapy dokonywał tego, do czego potrzeba było trzech rosłych mężczyzn i muła.

Po drodze trupa zatrzymywała się, dając występy w kilku targowych miścinach, nie tyle dla zarobku, ile by regularnie ćwiczyć, nie stracić wprawy i szerzyć swą sławę na trasie triumfalnego marszu na południe. Bądź co bądź, występy na dworze w Luxurze wymagać miały maksymalnego wysiłku i wyjątkowych umiejętności. Owacyjne przyjęcie podczas kolejnych przedstawień dodawało całej trupie animuszu. W miarę upływu dni wszyscy zaczęli się zastanawiać, jakie ich wkrótce czekają nagrody i zaszczyty. Zgadzano się, że w całym świecie hyboryjskim największą sławę można było zdobyć właśnie w nie mającym sobie równych Luxurze.

— Wiecie — zapewniał swych towarzyszy Bardolph — spośród wszystkich bajecznych miast Stygii, od pradawnego Eshuru po wiekowy Pteion, od otoczonego czarnymi murami Khemi na wybrzeżu po Qarnak na tonącym we mgłach Wschodzie, Luxur jest jedynym prawdziwie

kosmopolitycznym miastem. Przyjmuje chętnie obce zwyczaje i gościnnie wita przybyszów.

Jest to wielki port rzeczny, centrum handlowe i kulturowe, duma władców całego Imperium Stygijskiego. Od dawna już pragnąłem ujrzeć tę metropolię na własne oczy.

— Wygląda na to — zauważyła żartobliwie Sathilda — że nawet asceci z Południa też muszą mieć jakieś przyjemności.

— Naturalnie, jeśli ich kraj ma zyskać rozgłos w stolicach Północy — odezwał się z siodła Luddhew. — Skoro chcą dostarczać rozrywek cudzoziemskim dygnitarzom, prowadzić interesy i być na bieżąco z wydarzeniami oraz modą obowiązującą w sąsiednich krainach, muszą mieć wolne, otwarte miasto, służące kontaktom z szerszym światem. Zdaje mi się, że właśnie Luxur spełnia tę rolę.

— Koryntiańczycy są wielkimi sprzymierzeńcami Stygii — dodał Bardolph. — Słyszałem, że tak naprawdę to oni rządzą w Luxurze. Jak dobrze wiecie, Koryntia to ojczyzna sprytnych kupców i dyplomatów, podczas gdy Stygijczycy koncentrują się przede wszystkim na kwestiach natury religijnej. Przetarłszy nowe szlaki dla karawan ciągnących do brzegów Styksu, niektórzy przedsiębiorczy koryntiańscy handlarze pozyskali zaufanie wysokich rangą stygijskich wielmożów i kapłanów. Mówiono mi, że Luxur jest obecnie właściwie kolonią Koryntii.

Przysłuchując się tej rozmowie, Conan nie mógł się powstrzymać przed wyrażeniem pewnych wątpliwości.

— Trudno mi wyobrazić sobie kapłanów Seta zezwalających, by ich miasto przerodziło się w siedlisko grzechu i rozpusty jak Khorshemish albo Shadizar — rzekł przechodząc między wozami. — W Khemi, o ile dobrze pamiętam, zamyka się na noc bramy i wypuszcza głodne świątynne pytony, by oczyściły ulice z niewiernych. Oto jak wygląda stygijska gościnność.

Chcesz powiedzieć, że oni tam pozwalają, by cudzoziemcy zmienili ich stolicę w tętniący życiem bazar albo zamtuz, jak to uczynili Koryntiańczycy w Numalii i Arenjunie?

— Będziesz zdziwiony, człowieku z Północy — rzekł Bardolph. — Otóż władca Luxuru jest Koryntiańczykiem, wyniesionym na tron z pełnym błogosławieństwem stygijskich kapłanów.

Zwie się Commodorus. To bez wątpienia on właśnie wysłał naszego przyjaciela Zagara do Shemu w poszukiwaniu nowych talentów. Władca ów tytułuje siebie tyranem i organizuje wielkie publiczne widowiska by zyskać popularność wśród ludu. Tak mi w każdym razie opowiadano. — Kothyjczyk mówił szybko, usiłując jednocześnie dotrzymać kroku pozostałym, co w jego przypadku nie było łatwe. — Można by przypuszczać, że ktoś taki będzie próbował sięgnąć po jeszcze wyższe zaszczyty, bądź to przez zmianę religii, bądź przez wżenienie się w jakąś arystokratyczną stygijską rodzinę.

— Stać się kimś lepszym i znaczniejszym, to hasło mieszkańców tego miasta — dorzucił Dath, idący nieco z boku. — Miejmy nadzieję, że życie w Luxurze okaże się ciekawsze niż w zabitej dechami dziurze o nazwie Sendaj. Ckni mi się za rozrywkami i nowymi wyzwaniem, zwłaszcza zaś tęsknię do tego, co wiedzie człowieka ku bogactwu.

Odkąd przyłączył się do trupy, młody miotacz toporów miewał się całkiem nieźle. Pokaz jego umiejętności niebawem przyćmił występy Photuphara. Dath był teraz główną atrakcją widowiska, na równi z Conanem i Sathildą. Znacznie podniesiono mu gażę, Phatuphar zaś pełnił rolę jego asystenta i członka zespołu akrobatów.

Jako żywy cel nadal wykorzystywali Janę. Dziewczyna była sierotą. Nie mając nikogo na świecie, postanowiła również opuścić Sendaj i dołączyć do trupy. W swoich codziennych występach naprawdę rzucała wyzwanie śmierci. Przywiązana za kostki i przeguby do wielkiego obracającego się drewnianego koła ofiarę Dath uwalniał, rozcinając jej więzy toporami.

Wkrótce młoda kobieta znalazła sobie wśród zespołu towarzysza życia. Na ironię mógł zakrawać fakt, iż nie okazał się nim Dath, lecz skromny Phatuphar. W spokojnym, łagodnym młodzieńcu Jana zyskała oddanego i pełnego fantazji kochanka.

Nawet jeśli Dath czuł się zawiedziony, nie dał tego po sobie poznać. Phatuphar i Jana sypiali na jednym posłaniu i zaczęli domagać się, by Luddhew udzielił im ślubu. O czym myślał młody akrobata, patrząc jak dawny kochanek jego wybranki ciska w nią zabójczymi toporami, nietrudno było zgadnąć.

Mijały dni. Cyrkowcy wędrowali, urządzając po drodze kolejne widowiska, podczas których bawili publiczność, uprawiali hazard, kusili i zwodzili naiwnych, by wyciągnąć z ich sakiewek jak najwięcej grosiwa. Najbardziej pamiętny okazał się wszelako ostatni wieczór, kiedy to rozbili obóz nad otulonym oparami mgieł urwiskiem, a o brzasku zeszli w dolinę ogromnej rzeki Styks.

Rzeka Kresu widziana ze szczytu skały, ciągnęła się na zachód niczym szeroki pas czarnej skóry opinający kaldun ziemi, przybranej w najjaśniejszy z odcieni szmaragdu.

Na wschodzie ciemna powierzchnia wód lśniła niczym łuski starego Seta, boga-węża, do którego rzeka owa ponoć należała. Patrząc ku zachodowi, dostrzec można było czarne, spienione fale toczące się pośród szarawej mgielki w kierunku morza. W oddali majaczyły rozległe polacie zieleni, upstrzone tu i ówdzie jasnymi pagórkami różowiejącymi w blasku wschodzącego słońca. Luddhew pierwszy rozpoznał, iż nie były to skalne klify, lecz masywne dzieła rąk ludzkich, mury wielkiego miasta, kopuły świątyń, szczyty wystawnych grobowców.

W połowie lata nadszedł koniec czasu wylewów. Obecnie pola o kształtach trójkątów i prostokątów rozciągały się po obu brzegach rzeki niczym misternie tkana kompozycja. Ziemia na polach była żyzna, spulchniona i czarna. Rodziła głównie bulwy, ryż i winogrona. Śniadzi,

smukli Shemici, niemal nie do odróżnienia od Stygijczyków z przeciwległego brzegu Styksu, pracowali na roli całymi rodzinami. W niektórych miejscach doprowadzili nawet drewnianymi akweduktami wodę, by nawodnić glebę w okresie suszy.

Ciągnąca się przez równinę droga okazała się twarda i ubita niezliczonymi dziesiątkami stóp, kół i kopyt. Mimo iż wciąż posuwali się na południe, cyrkowcy nie widzieli już rzeki. Wokół

nich falowało morze zbóż i papirusów. W cieniu smukłych palm daktylowych przycupnęły skromne chaty, otoczone przez małe, starannie utrzymane poletka, gdzie uprawiano cebulę i bawełnę. Powietrze ciężkie było od wilgoci. Żar dawał się we znaki, podobnie jak chmary uciążliwych much i komarów.

I nagle oczom wędrowców ukazała się obsydianowej barwy tafla wody w oprawie bujnej, gęstej zieleni. Droga zamieniła się w błotnistą ścieżkę i wreszcie, koniec końców, zniknęła w czarnej głębinie. Tymczasem na rzece ukazały się rozłożyste barki zmierzające w stronę brzegu, a z oddali dobiegł smętny śpiew.

— Cóż za szczęście! — zawołał Zagar do Luddhew. — Przewoźnicy najwyraźniej dostrzegli nas na trakcie i wypłynęli nam naprzeciw. Nie będziemy musieli godzinami czekać i oganiać się przed tymi natrętnymi muchami. — Nachylił się, by odegnąć czarną, brzęczącą chmurę, która kołowała nad drgającym nerwowo pyskiem osiołka. — Przygotujcie sakiewki, ale nie lękajcie się. Dopilnuję, żeby was nie oszukano.

Barki podpłynęły bliżej, pchane drągami i wiosłami przez siedzących rzędami wzdłuż burt wioślarzy.

Łodzie te zbudowane były z grubo plecionych warstw trzciny, odpornych na wodę, a łatwiejszych w tym rejonie do pozyskania niż drewno. Z desek zbudowano jedynie kile i pokłady. Barki gładko cięły wodę, aż wreszcie osiadły miękko w mule o kilka stóp od brzegu.

Załoga zaczęła wywlekać i odpowiednio układać platformy oraz drewniane kłody, by ciężkie wozy mogły wjechać na pokład. Muły, popędzane przez cyrkowców, weszły do wody i z trudem ciągnęły swój ładunek. Conan, popychając obsuwający się raz po raz wóz, oczekiwał że lada chwila któreś koło lub kopyto przebije dno łodzi i zatopi ją. Jego obawy okazały się jednak bezpodstawne.

Wreszcie członkowie trupy również dostali się na pokład. Barki, mimo iż zbudowane z trzciny i papirusu, miały zgrabne, uniesione w górę dzioby i rufy. Pasażerowie uklękli między rzędami wioślarzy i dopiero wtedy zaczęły się targi o opłatę za przewóz. Kapitan floty, korpulentny mężczyzna w ubłoconym, przemoczonym odzieniu i brudnym turbanie, jał klócić się zawzięcie z Mistrzem Luddhew. Do dyskusji raz po raz wtrącał się z ożywieniem Zagar. Ostatecznie spór zakończył się, kiedy pękata sakiewka trafiła do rąk poławiacza talentów, który wyjąwszy z niej kilka monet, podał mieszek kapitanowi.

Wioślarze w mig wzięli się do dzieła, intonując posępными, mrukliwymi głosami swą rytmiczną

pieśń. Łodzie odbijały od brzegu z szelestem i chrobotem, ich dna szorowały o podwodne kłody i trawy.

Kiedy jednak wydostali się na spokojniejsze wody, prędkość, z jaką płynęli, niemal niedostrzegalnie zaczęła się zwiększać. Lekka bryza unosiła wokół nich rzeczne opary, przesycone silnym, słodkawym fetorem, niemal równie ciężkim i gęstym jak ciemna toń rozcinana dziobami barek. Nawet srogie południowe słońce jakby utraciło swą moc w wilgotnym królestwie potężnego Styksu.

Po pewnym czasie podróżni zagłębili się w labirynt wysepek i ujść rzecznych, gdzie kluczyli niesieni tajemniczymi prądami rzecznyymi. Wreszcie nurt stał się głębszy i czarniejszy. Wtedy to żeglarze wyciągnęli z wody wiosła i sznurowymi pętlami umocowali je przy burtach, inaczej bowiem nie byłoby w stanie stawić oporu rwącemu prądowi. Jego kierunek i siłę można było sprawdzić, obserwując ruchy przybrzeżnych trzcin, ale Conanowi wydawało się, że barki w ogóle nie posuwają się naprzód.

Wody Styksu zamieszkiwały dziwne stworzenia. Cymmerianin wypatrzył żółwie o zaokrąglonych pyskach i gruzłowatych skorupach oraz wielkie ryby, którym z łbów wyrastały dziwne czułki. Dostrzec też można było pokryte łuską grzbiety ogromnych krokodyli, płynących tuż pod wodą bądź ześlizgujących się z błotnistej brzegu. W pewnym momencie przed dziobem pierwszej z barek wyłoniła się rozwarta paszcza uzbrojona w olbrzymie zębiska dobył się z niej przeciągły gardłowy ryk. Był to tak zwany koń rzeczny, inaczej mówiąc hipopotam. Conan napotkał już kiedyś to zwierzę na zachodnich trzęsawiskach. Pojawienie się hipopotama spłoszyło muły, które szamocząc się wypchnęły za burtę kilku wioślarzy.

Wreszcie zostawili w tyle najniebezpieczniejszy i najgłębszy odcinek rzeki. Znowu pojawiły się porośnięte trzciniami moczary. Tym razem jednak pas trzęsawisk okazał się dużo rozleglejszy, aż przeszedł w płaskie, otwarte równiny i tereny pustynne. Wioślarze musieli popychać barki drągami, by nie utknęły w moczarach, i sporo wody upłynęło, nim podróżni znowu ujrzeli na brzegu nagich, zajętych pracą w polu wieśniaków. Barki prześlizgiwały się rzecznyymi kanałami. W końcu przycumowali do kamiennego nabrzeża.

Tu dopiero można było zauważyć inne łodzie i prowizoryczne trzcinowe szalasy.

Ospali chłopcy zeszli się, by sprowadzić wozy z łodzi na brzeg. Gdy muły znalazły się już na suchym gruncie i ponownie je zaprzęgnięto, wieśniacy na wyprzedki zaczęli domagać się zapłaty. Niektórzy nawet chcieli się zatrudnić przy cyrkowcach.

Kapitan tymczasem bezczelnie zażądał dodatkowej stawki za nadmiernie ciężki ładunek.

Zagar nader niechętnie wysupłał z sakiewki żadaną sumę. Wreszcie, spożywszy suty posiłek i popiwszy go aż w nadmiarze wodą ze Styksu, trupa Luddhew ponownie ruszyła w drogę.

Trakt stawał się coraz szerszy, biegł nasypem ponad polami i kanałem, biały jak kość, utwardzony kamieniami i lśniącem w promieniach słońca żwirem. Bocznymi ścieżkami docierali

doń inni wędrowcy — handlarze objuczeni workami i koszykami, wieśniacy na wozach ciągniętych przez osły i woły oraz całe gromady najemnych wiejskich robotników maszerujących boso pod czujnym okiem surowego nadzorcy.

Przechodnie ze zdumieniem przyglądali się cyrkowej trupie, barwnym wozom i stąpającym majestatycznie dzikim zwierzętom. Obowiązki jednak bądź też lęk nie pozwoliły zbliżyć się do taboru ani podążyć za nim. W najszerszych miejscach na trakcie mogły się zmieścić teraz dwa wozy. Przejazd przez kanały umożliwiały mosty zwodzone. Trupa narzuciła sobie ostre tempo i pomiędzy kolejnymi postojami pokonywała niemałe odległości. Krajobraz jednak był

tak niezmienny, że w końcu cyrkowcy stracili rachubę i nie wiedzieli, czy jada już tak dwa, czy może trzy dni.

W końcu nisko na roziskrzonym słońcem horyzoncie pojawiła się szara plama. Od Zagara dowiedzieli się, że to Luxur. Wydawać się mogło, iż miasto oddalało się od nich, zamiast przybliżać. Złudzenie takie wywoływał zapewne lejący się z nieba żar. Gdy znaleźli się dostatecznie blisko, Luxur ukazał im się w całej swej oszalamiającej okazałości. Pomiedzy strzelistymi, płasko zwieńczonymi wieżami rozciągały się potężne mury obronne, spoza których wylaniały się dachy monumentalnych budowli. Brama główna, wysoka i imponująca, skierowana była na południe, ku rzece. Masywne wieżeje z brązu lśniły w oprawie zamkniętego łukiem kamiennego portalu.

— Ta wielka, zdobiona kolumnami budowla na wzgórzu to Imperium Cyrku — oznajmił

Zagar wskazując ręką ponad grzbietem swego osiołka. — Jest rozleglejsza niż jakakolwiek świątynia czy mauzoleum w tym mieście. Wielkością przewyższa nawet pałac samego tyrana.

Zbudowano ją w ostatnich latach, dzięki heroicznym wysiłkom Jego Majestatu i od tej pory wciąż jest powiększana i ulepszana. Jak się sami już wkrótce przekonacie, Imperium Cyrku to doprawdy niezwykle miejsce i urządzone tam igrzyska nie mają sobie równych.

— Czy właśnie tu mamy występować? — Luddhew osłonił dłonią oczy, aby przyjrzeć się ogromnej, widocznej ponad murami bryle, otoczonej mniejszymi budynkami i zielenią. — A kiedy?

— Jutro, jeżeli wszystko zostało przygotowane zgodnie z moimi zaleceniami. — Łowca talentów uśmiechnął się promiennie do cyrkowca. — Upewnij się, gdy tylko dotrzemy do miasta.

— Już jutro! — okrzykowi Luddhew towarzyszył szmer protestu innych członków trupy. —

Ile będziemy mieli czasu, aby się przygotować do występu?

Zagar poprawił fez pewnym sobie gestem.

— Powiedziałbym, że jesteście przygotowani wręcz wyśmienicie. Wykorzystajcie tylko zdolności, którymi tak hojnie obdarowali was bogowie, i dajcie z siebie wszystko. Gwarantuję, że tłumy, które przyjdą was podziwiać, będą zachwycone.

Podeksytowani nowiną, pochłonięci rozważaniami, w jaki sposób najlepiej oszołomić spragniony rozrywki lud, cyrkowcy dyskutowali z ożywieniem. Odtąd czas płynął szybciej. W

końcu znaleźli się pod wysokimi murami miasta widocznymi ponad koronami owocowych drzew i dachami szop stojących przy trakcie. Kopuła Imperium Cyrku połyskiwała żółtawo wśród pustynnego kurzu, który wirował w blasku zachodzącego słońca.

Gdy czekali, by przekroczyć most na kanale, do Zagara podjechał jakiś konny w płaszczu i turbanie. Podał mu zwój, który Zagar natychmiast rozpostarł przed sobą i przeczytał w milczeniu. Conan ze swego miejsca dostrzegł, że wiadomość napisana została alfabetem koryntiańskim.

— Wspaniale — rzekł dostojnik do Luddhew, zwijając rulon i umieszczając list pod peleryną.

— Właśnie czynione są przygotowania na wasze przyjęcie. Dzisiejszą noc spędzicie jeszcze za murami. Możecie odpocząć i przygotować się na jutrzejszy triumfalny wjazd.

Wieści rozeszły się wśród cyrkowców lotem błyskawicy. Podprowadzili wozy w stronę miasta brukowaną drogą, po bokach której stały zaniedbane szopy i szalasy. Następnie zboczyli z głównego traktu na ścieżkę biegnącą w cieniu palm, aż dotarli do okolonego niskim murkiem karawanseraju, gdzie dość było miejsca dla koni, mułów, a nawet dla wielbłądów.

Zajazd okazał się wspaniałą gospodą. Niebawem podano przybyszom suty posiłek, a na klepisku rozłożono miękkie maty do spania. Taras oberży wychodził na miejskie mury i rozległy staw, którego powierzchnia mieniła się o zmierzchu płynnym błękitem. Światła lamp i pochodni migotały w gęstniejącym mroku niczym gwiazdy.

Jedynymi prócz cyrkowców gośćmi w zajęzdzie byli koczownicy mówiący z tak silnym berberyjskim akcentem, że mało kto potrafił ich zrozumieć. Członkowie trupy zjedli wieczerzę samotnie. Dwoje starych Stygijczyków, którzy prowadzili zajazd, było zbyt zajętych, by wdawać się w towarzyskie rozmowy. Artystom pozostało zatem jedynie snuć marzenia o sławie i fortunie. Z tą nadzieją kładli się wszyscy na spoczynek.

Conan i Sathilda spali na tarasie. Było to konieczne z uwagi na szczególną więź łączącą akrobatkę z Qwambą. Członkowie trupy, którzy pomagali karmić i doglądać wielką bestię, trzymali się zwykle na bezpieczną odległość i nigdy nie pozwolili sobie w obecności zwierzęcia na choćby chwilę odprężenia. Sathilda jednak kochała swą drapieżną siostrzycę.

Przywykła sypiać obok pantery. Czula się w ten sposób bezpieczna i mogła uśmierzać jej nocne humory.

Cymrnerianin jednak wolał szukać sobie miejsca z dala od ostrych pazurów i klów. Nie chciał obudzić się w objęciach dzikiej bestii, wiedzionej żądzą krwi, zazdrością czy też miłością.

Dlatego właśnie Conan i Sathilda ułożyli się na spoczynek poza zasięgiem łańcucha Qwamby, który przyczepili do jednej z kamiennych kolumn portyku. Drapieżnik nie dopuszczał na taras intruzów, co dawało kochankom odrobinę upragnionej prywatności.

Conan wszelako nie zdziwił się, gdy obudzwszy się, ujrzał obserwujące go wielkie złote ślepie. Czarny leń spoczywał wygodnie na udzie Sathildy.

Noc była przyjemnie chłodna. Kumkanie żab nad stawem i daleki turkot kół na moście dawały poczucie spokoju i bezpieczeństwa. Utrudzona wędrówką, zmęczona niepewnością tego, co miał przynieść następny dzień, para kochanków spała pod czujną opieką dzikiej bestii.

Na niebie nad równiną Stygii migotały gwiazdy.

IV

LUXUR

Cyrkowcy wstali o świcie i rozpoczęli gorączkowe przygotowania, zmywając błoto podróży z wozów, czyszcząc zwierzęta, reperując kostiumy, polerując skórę, spiż i złocenia, odświeżając malunki. Luddhew zapewniał, że w wielkim amfiteatrze większość rekwizytów nie będzie im potrzebna. Na arenie, gdzie wciąż prezentowano najrozmaitsze cyrkowe sztuki, znajdowało się mnóstwo lin, zasłon i wsporników. Cały sprzęt wyladowano więc w pustym boksie stajni obok zajazdu. Wozów zaś postanowiono użyć podczas parady ulicami Luxuru. Mieli się na nich prezentować artyści oraz dzikie zwierzęta, zachęcając tłumy do odwiedzenia Imperium Cyrku.

Spędzili połowę poranka na pracach przygotowawczych i obowiązkowym treningu. W miarę upływu czasu zaczęli się jednak coraz bardziej denerwować. O świcie zjedli prędkie śniadanie, składające się z daktyli, fig i biszkoptów, które popili herbatą. Potem niespokojnie powtarzali żonglerskie numery, pucowali wozy i raczyli się rozcieńczonym winem w zacisznym cieniu portyku. Stygijskie słońce już wzeszło i jak zawsze paliło bezlitośnie. Odległe krzyki, harmider i dźwięk trąb dochodzące od bram miasta oznajmiały, że za murami budziło się codzienne życie. Artyści zastanawiali się kiedy — i czy w ogóle — ktoś po nich przybędzie.

Naraz przed karawanserajem dał się słyszeć tętent kopyt. Zagar wjechał na plac i zsiadł z osiołka uśmiechając się promiennie, mimo iż wydawał się spocony i umęczony upałem. Przy niskim murku oczekiwał tuzin konnych w koryntiańskich mundurach. Jeźdźcami ostro komenderował srogi z wyglądu dowódca. Była to gwardia honorowa samego tyrana, jak wyjaśnił Zagar Luddhew. Trupa miała niezwłocznie udać się do Imperium Cyrku, by wystąpić przed lordami i obywatelami Luxuru.

W wielkim zamieszaniu zaprzęgano muły, przygotowywano wozy, raz jeszcze sprawdzano uprząż. I wyruszyli. Niedźwiedź Burudu został przykuty do burty pierwszego wozu, Qwamba jechała z tyłu. Gdy opuścili plac przed zajazdem, oficer i jego sześciu ludzi wysforowali się na czoło taboru, druga szóstka zaś zajęła pozycje z tyłu. Luddhew wyjaśnił, że oddział ma chronić trupę przed zbyt entuzjastycznymi wielbicielami cyrku i utorować artystom drogę przez zatłoczone ulice miasta.

Aleja wiodąca do głównej bramy była szeroka i równo brukowana. Mijali poletka, chaty i stragany, tamy oraz kanały, które nie tylko nawadniały ziemię, ale i tworzyły pierwszą linię obrony miasta. Tutejsi mieszkańcy wydawali się niewolnymi chłopami, podobnie jak wieśniacy napotkani poprzedniego dnia. Podnosili tępy wzrok na zatłoczone wozy i prawie nie reagowali na wesołe powitania. Od czasu do czasu tylko któryś wyciągnął dłoń, błagając o jałmużnę. Byli to, jak stwierdził Luddhew, prości ludzie ślepo oddani surowym stygijskim bogom. Z pewnością peszył ich widok cyrkowców, lękali się także miejskiej straży towarzyszącej taborowi.

Gdy pojawił się przed nimi miejski bastion i wielka spiżowa brama, konni pokazali, co naprawdę są warci. Kupcy, żebracy, wielbłądy i wozy zaprzężone w woły pierzchali przed nimi na pobocze. Wreszcie wozy wtoczyły się z turkotem na brukowany plac, zmierzając ku ogromnym pylonom. Z murów na powitanie zagrzmiały trąby. Strażnicy w wysokich hełmach i

wypolerowanych do połysku kolczugach unieśli w salucie włócznie, a tłum wydał przeciągły okrzyk entuzjazmu. Cyrkowcy natychmiast rozpoczęli pokaz, prezentując proste, acz atrakcyjne sztuczki żonglersko — akrobatyczno-iluzjonistyczne. Niektórzy zeskoczyli z wozu i wmieszali się w tłum. Tak wyglądało ich wejście do miasta.

Refleksy słonecznego światła odbijające się od spiżowych wrót niemal oślepiały. Mijając bramę Conan wyobraził sobie, że oto wkracza do jakiegoś mitycznego raj. Mury Luxuru również wyglądały imponująco. Po ich wewnętrznej stronie ciągnęły się parapety dla obrońców miasta. Dalej za brukowanym dziedzińcem teren wznosił się aż do kamiennych skarp. Przyjezdnych oszalała powódź obrazów, hałasów i woni, ogarniało uczucie klaustrofobii. Luxur to był ul, tętniące życiem mrowisko. Na sporej, lecz i tak niewystarczającej przestrzeni żyły stłoczone ogromne rzesze ludzi. Conan podczas swych wędrówek wielokrotnie już widywał podobnie metropolie.

Mieszkańcy miasta, wśród których przeważali śniadolicy Stygijczycy o ostrych rysach twarzy, nie przypominali chłopów, widywanych przez cyrkową trupę tak często po drodze.

Nosili fezy, spiczaste turbany, skromne sandały lub pantofle o wywiniętych noskach, a także najróżniejsze kaftany, burnusy, powłóczyste szaty, togi, kamizele, jedwabne bryczesy, szarawary i luźne jaskrawe koszule. Rozmawiano w wielu różnych językach szydzono z uzbrojonej straży i gwardii pałacowej, cyrkowców natomiast witano z mieszaniną rozbawienia, radości i zdumienia. Wśród tłumu dostrzec można było przedstawicieli różnych nacji, jaśniejszych nomadów ze Wschodu, smolistoczarnych z Kush i Keshanu, kędzierzawych Shemtów oraz, niewielu co prawda, białoskórych przysadzistych koryntiańczyków. Owa ciżba ludzka, podniecona, hałaśliwa i klótniwa, sprawiała rzeczywiście oszalamiające wrażenie.

Entuzjazm ulicy był tym, czego tak gorąco pragnęli artyści i co Conan nie do końca pojmował.

Mieszkańcy miasta, mimo iż ciągnęli za taborem zwartą gromadą i gorąco oklaskiwali wszelkie występy, zdawali się jednocześnie żywić do cyrkowców głęboką odrazę i pogardę, traktując ich jak istoty niższej kategorii. Nastawienie tłumu drażniło Conana coraz bardziej. Cymmerianin wyraźnie tracił ochotę na wszelkie popisy.

Gardził tym motłochem nieomal równie silnie, jak oni nim. Ogarniała go złość, gdy przyglądał się tłustym, tępych twarzom. Pozostali artyści najwyraźniej nie przejmowali się niczym. W końcu ich entuzjazm i pragnienie dostarczenia ludziom rozrywki okazały się zaraźliwe. Posuwali się zatłoczonym labiryntem wąskich, krętych uliczek coraz bardziej pod górę, ku amfiteatrowi, który majaczył na niskim wzgórzu przed nimi.

Cymmerianin nie przerywał popisów. Napinał bicepsy, prężył klatkę piersiową i majestatycznie obracał się na wszystkie strony, by zaprezentować tłumowi muskularną sylwetkę. Od czasu do czasu jedną ręką podnosił, wydrażoną wewnątrz sztangę albo zginał

specjalnie spreparowany żelazny pręt, by po chwili go rozprostować. Sztuczki te nie wymagały

większego wysiłku i mógł je powtarzać wielokrotnie.

Kiedy jednak widzowie żądali czegoś szczególnego, przywoływał Sathildę, unosił ją nad głową, przerzucał z jednej ręki do drugiej. Dziewczyna kończyła występ zgrabnym fikołkiem i zeskokiem na platformę wozu.

Była silna, lecz lekka jak piórko i popis, jaki dawała pospołu z Cymmerianinem, wywoływał istną burzę oklasków.

Akrobatka prezentowała również całą gamę skoków, salt i stójek, lądując zręcznie na brukowanej ulicy. Dath z kolei żonglował toporami. Podrzucał je wysoko i chwycił za plecami, a od czasu do czasu demonstrował ich ostrość, pozwalając, by wbiły się w deski platformy.

Barwnie odziany Bardolph popisywał się skocznym tańcem, do którego przygrywał sobie na flecie. Niedźwiedź Burudu bawił zebranych swoimi sztuczkami, fikał koziołki na bruku i odbijał piłkę. Qwamba zaś na polecenie Luddhew zeskoczyła z wozu i jęła przeskakiwać nad trzymaną przez mistrza laską. Inni cyrkowcy: żonglerzy, mimowie i akrobaci również nie próżnowali; jedynym bezczynnym członkiem zespołu zdawał się kontuzjowany Roganthus, który popijał wino i ponuro wywijał batem nad grzbietami mułów, wyglądając niczym niemy symbol znikomości ludzkich nadziei.

W miarę jak wozy posuwały się z mozołem coraz wyżej, wygląd ulic uległ zmianie. Miejsce skromnych, stłoczonych domów zajęły ogrody, dziedzińce i wytworne rezydencje, nieco oddalone od drogi.

Oczom cyrkowców ukazała się też masywna, wielolukowa muszla amfiteatru.

Jednakże tłum na ulicy nie zmalął. Można by raczej rzec, iż zrobiło się jeszcze bardziej tłoczno i ciasno. Na dodatek gapie gromko ponaglali cyrkową trupeę. Wielu z nich zmierzało również w kierunku gigantycznej budowli. Zwarta ciżba tłoczyła się przed wejściem do amfiteatru. Byli wśród nich lepiej odziani obywatele, głównie koryntiańscy notable odziani zgodnie z cudzoziemską modą.

Patrycjusze owi rzucali przejeżdżającym cyniczne taksujące spojrzenia i, miast witać ich radosnymi okrzykami bądź oklaskami, wymieniali między sobą ciche komentarze.

Spinając konie, by przebić się przez tłum zmierzający do Imperium Cyrku, straż torowała drogę taborowi i tylko dzięki niej wozy toczyły się pod górę w całkiem przyzwoitym tempie.

Konni objechali amfiteatr wąską brukowaną alejką, wzdłuż której jeżyły się żelazne szpikulce na murach otaczających eleganckie posesje. Piętrowe tarasy niemal przesłaniały niebo. Conan zauważył, że ciągnący za wozami tłum zwolnił tempa i został w tyle. Widocznie od tej strony Imperium Cyrku nie miało wejścia dla publiczności. Ziało tu natomiast ciemnością wysoko sklepione przejście. Ciężkie wierzeje otwarte były na oścież.

Jadący na czele konni na rozkaz dowódcy zawrócili, formując w alejce szpaler i zapraszając cyrkowców, by wjechali do środka. Luddhew skierował swój wóz w stronę otwartej bramy i po chwili to samo uczynił Roganthus. Wtedy też Zagar, zeskoczywszy z kozła, życzył Luddhew udanego występu i pomachał całej trupie na pożegnanie.

Mroczny jak jaskinia, wypełniony echami tunel robił niepokojące wrażenie.

Conan poczuł fetor łajna, karmy, dymu z wypalonych żagwi i kwaśną woń, której nie potrafił

zidentyfikować. Usłyszał cichy warkot i dostrzegł, że sierść na grzbiecie Qwamby jeży się groźnie. Panterze wyraźnie nie spodobała się zmiana otoczenia. Posępne, mroczne cienie gęstniały w miejscach, gdzie znajdowały się nisze i wysokie kamienne sklepienia. Pod ścianami ciemniały ułożone w stosy proporce, wiadra z zaprawą, sterty kamieni, rydwany, uprzęż i czapraki oraz cała masa cyrkowych rekwizytów umieszczonych w koszach i na stojakach.

Cymmerianin zdziwił się, gdyż wozy nie zatrzymały się tutaj, lecz wciąż toczyły w głąb tunelu. Posługacze, przyodziani na modłę koryntiańską w spięte szerokimi pasami, sięgające kolan białe tuniki, stali po obu stronach korytarza. Gestami nakazywali trupie, by przejechała dalej, a Luddhew, prowadzący pierwszy wóz, bez sprzeciwu wypełnił polecenie. Conan spodziewał się nieuniknionego długiego postoju, uciążliwego oczekiwania, niezwykle męczącego interludium, podczas gdy odpowiedzialni za spektakl ludzie będą przygotowywać na arenie sprzęt niezbędny do cyrkowych pokazów. Wozy jednak dość żwawo dotarły do drugich ciężkich drewnianych wrót. Wierzeje te, obsługiwane za pomocą łańcuchów i metalowych bloków, zaczęły się przed nimi otwierać ze zgrzytem, wpuszczając do wnętrza tunelu oślepiające promienie słońca i głośny loskot braw.

— A teraz, przyjaciele, chciałbym, abyście wszyscy radośnie się uśmiechnęli. — Luddhew podniósł się, przekazał wodze w ręce Phatuphara i odwrócił się do pozostałych. — To wielka chwila, nasz debiut w bajecznym Luxurze. Dajcie z siebie wszystko, bądźcie dumni ze swej profesji i dostarczcie widzom godziwej rozrywki!

Artyści odpowiedzieli szczerym entuzjazmem, który Conan, chcąc nie chcąc, podzielał.

Cymmerianin czuł się zdenerwowany. Nie miał pojęcia, co go tu czeka, niepewność wprawiała go we wściekłość. Nie wiedział, jaką kolejność występów zapowie Mistrz Luddhew ani czy ich występy, jak to zwykle bywało, zakończy tradycyjny Wielki Finał.

Postanowił nie zaprzętać sobie tym głowy. Będzie po prostu robił swoje i obserwował innych.

Widział, jak przeciągali się, prostowali i uśmiechali z wyczekiwaniem. Bądź co bądź, Luddhew i jego trupa byli profesjonalistami, na pewno wiedzieli, co robią.

Tymczasem wozy wjechały na niemal pusty, wysypany piaskiem plac, otoczony kamiennymi bastionami i schodzącymi ukośnie w dół rzędami miejsc dla widzów. Trybuny były od góry do dołu wypełnione różnobarwnym rozwrzeszczanym tłumem, z wyjątkiem kilku pustych miejsc

przy samej koronie amfiteatru. Przez tunele umieszczone w połowie wydźwigniętych ku górze ścian wciąż wchodziłi nowi chętni, spragnieni oglądania cyrkowców. Conan uznał, że amfiteatr już wkrótce wypełni się do ostatniego miejsca. Tłum szalał. Gdy cyrkowcy pojawili się u wejścia na plac, radosne okrzyki przetoczyły się przez trybuny potężną falą. Nieco dalej piaszczysta połać urywała się nad brzegiem głębokiej, na pierwszy rzut oka jamy, z której wystawały korony drzew. Powyżej Conan ujrzał pajęczynę lin wśród drewnianych rusztowań.

Były to bez wątpienia trapezy i podwyższenia dla akrobatów.

Artyści wjechali do amfiteatru, podobnie jak wkraczali do miasta, tańcząc, grając na flecie i żonglując na platformach wozów. Słowa Luddhew, który donośnie zapowiadał poszczególne punkty programu, zagłuszał natychmiast owacyjny ryk. Conan prężył mięskuly i z udawanym wysiłkiem dźwigał wydrażone ciężary, zastanawiając się, dlaczego mury dokoła areny kilkakrotnie przewyższały wzrost rosłego mężczyzny. Czy nie łatwiej było wypuścić stłoczoną gromadę na piaszczysty plac, skąd można by oglądać występy z bliska? Zważywszy jednak na liczbę widzów oraz ich gwałtowne reakcje, Cymmerianin cieszył się, że znajduje się z dala od nich.

Jego uwagę zwrócił fakt, że kiedy wozy okrążały arenę, a artyści ochoczo prezentowali swoje sztuczki, widownia nie wiadomo dlaczego przycichła. Po kilku chwilach radosnej wrzawy i braw dźwięki Bardolphowego fletu znowu stały słyszalne, wypełniając powietrze piskliwymi, nieco drżącymi tonami. Uszu cyrkowców dobiegł zgrzyt i loskot ciężkich wrót, które, kiedy wozy znalazły się na arenie, natychmiast się zatrasnęły. Jeżeli nie liczyć pojedynczych okrzyków lub pohukiwań rozlegających się to tu, to tam pośród tłumu, na trybunach zapadła cisza. W milczeniu widzów Conan wyczuwał niecierpliwe wyczekiwanie.

V

ARENA

Conan dostrzegł nieco z boku, przy ogrodzeniu chmurę kurzu. Nagle niska drewniana brama otwarła się, a z mroku dobiegło parskanie, wydawane gardłowym głosem rozkazy i zgrzyt kopyt na kamieniach. W chwilę później na piasek areny wypadła kosmata bestia o szerokich, zakrzywionych rogach — dziki shemicki byk. Zaraz też pojawiły się następne, wielkie jak bawoły samce o potężnych kłębach, masywne i ciężkie. Conan miał wrażenie, że było ich co najmniej dziesięć. Zwolniły galop na wpół oślepienie słońcem, oszołomione gromkimi okrzykami naganiaczy i hałasem bijącym od zatłoczonych trybun.

Muły ciągnące wozy wpadły w panikę i wzbijając chmurę kurzu skrzyły gwałtownie w bok.

— Co to ma być? — zawołał Bardolph z pierwszego wozu — Inny występ? Przepadnie nam całe wejście!

— To cyrk, czy pastwisko? — Dath, zwinnie żonglując toporami, odwrócił się, by się uważniej przyjrzeć widowisku.

— Cokolwiek to jest, chyba będziemy mieli kłopoty — uciał Conan, odkładając ciężary i spiesząc z pomocą Roganthusowi. Widział już kiedyś, jak szarżuje dziki byk, kiedy wpadnie w szal, i wątpił, aby wypuszczone na arenę zwierzęta były oswojone — Lepiej przestańmy hałasować i gwałtownie się poruszać — rzucił głośno. — Czekajmy cicho i nieruchomo, aż je wyprowadzą.

— Tyle zamieszania z powodu paru byków? — Bardolph odłożył flet i spojrzał na Conana z wyrzutem. — Mitra świadkiem, że w czasie naszych wędrówek napotkaliśmy moc krów i niestraszne nam nawet całe stado!

— A widzieliście kiedy tyle naraz? Albo o tak paskudnym charakterze?

Cymmerianin przejął wodze od Roganthusa i ponaglił muły, by ruszyły naprzód. Zrobił to cicho i delikatnie, by nie zaskrzypiały skórzane lejce ani nie zabręczała uprząż mułów.

Obejrząwszy się przez ramię, stwierdził, że sytuacja nie przedstawia się różowo. Przywódca stada, ciężko dyszący kosmaty byk, miał nie tylko w przerośni zalane krwią ślepie. Bestia została wychłostana, prawdopodobnie by wzbudzić w niej wściekłość. Pozostałe zwierzęta również przemieszczały się w stronę taboru dziarskim, agresywnym krokiem. Conan zauważył, że przywódca stada pochylił leb i jał orać piasek areny prawym przednim kopytem.

— Trzymajcie się! — ostrzegł Cymmerianin towarzyszy. — Bądźcie gotowi do ucieczki lub walki, jeżeli zajdzie taka potrzeba. Mogą zaatakować nas w każdej chwili.

— Wobec tego chyba powinniśmy wezwać pomoc — rzuciła rozsądnie Sathilda, lustrując wysoki mur otaczający arenę. — Albo zagrozić, że odwołamy nasz występ. Dlaczego

mielibyśmy pozwolić, aby te bestie w amoku zniweczyły nasze pokazy?

Conan w odpowiedzi wskazał drewnianą bramę wjazdową, zamkniętą obecnie na glucho.

— Wszystko wskazuje na to, że w dzisiejszym spektaklu zaplanowano walkę byków — skonstatował. — I to my mamy z nimi walczyć.

Zanim jeszcze skończył mówić, przywódca stada prychnął, zbryzgując posoką piasek areny i wśród radosnych okrzyków publiczności zaczął szykować się do ataku. Inne zwierzęta posłuszne instynktowi pogalopowały za nim.

Conan przynaglił muły, starając się umknąć przed zagrożeniem. Gdyby tylko udało mu się oddzielić byki od mułów drewnianymi burtami wozu, wszystko mogło skończyć się dobrze...

Niestety, w ograniczonej przestrzeni półokrągłej areny realizacja tego planu okazała się niezwykle trudna.

Wóz Luddhew zatrzymał się. Na koźle rozgorzała scysja. W obliczu rosnącego niebezpieczeństwa mistrz przejął lejce i znowu ruszyli naprzód. Jechali wszakże w przeciwną niż wóz Conana stronę, ku ogrodzeniu areny. Było jasne, że prędzej czy później któryś z nich będzie zmuszony zawrócić.

Oglądając się za siebie, Conan dostrzegł wielkiego byka pędzącego niezamordowanie jego śladem i nieuchronnie zmniejszającego dzielący ich dystans. Za ogromnym zwierzęciem bieгло czterech jego pobratymców. Trzy młodsze byczki skrzyły za drugim wozem, podczas gdy dwa inne wierciły się w miejscu ogarnięte gniewnym szaleem, parskając i ryjąc kopytami piach.

Na wprost przed Conanem pojawiła się kamienna ściana. Barbarzyńca, nie mając wyboru, zaczął skręcać. Wiedział jednak, że każdy ostrzejszy manewr grozi utratą szybkości lub wywróceniem wozu. Kiedy przejeżdżał pod wysoką trybuną, słyszał gwar rozentuzjasmowanych głosów i czuł grad ciskanych nań drobnych przedmiotów. Wrogi tłum obrzucał go śmieciami, najróżniejszymi resztkami, on wszakże prawie nie zwracał na to uwagi, gdyż przez cały czas słyszał sapanie rozjuszonego byka tuż za sobą i czuł, jak rogi zwierzęcia bodą i drapią tył wozu. Z platformy rozpędzonego pojazdu dobiegały go zduszone jęki i okrzyki, ale cyrkowcy najwyraźniej mocno trzymali się burt i siedzeń. Muły, dobrze wyszkolone, choć zdenerwowane, gładko wzięły zakręt. Cymmerianin skierował wóz ku obniżeniu terenu pośrodku areny, gdzie miał nadzieję znaleźć dla wszystkich schronienie.

W ostatniej chwili ze zgrozą stwierdził jednak, że zagłębienie niemal całe wypełnione było wodą, dzięki czemu zmieniono je w sztuczne trzęsawisko.

Znajdujące się tam melizny i piaszczyste łachy porastały krzewy i wątłe drzewka, lecz, mimo że niektóre z gałęzi wystawały ponad poziom gruntu, żadna nie sięgała dostatecznie wysoko, by sięgnąć rozpiętych nad trzęsawiskiem lin i trapezów. Ściany zarówno po tej, jak i po przeciwnej

stronie jamy były strome, niemal pionowe, przewyższające wzrostem człowieka.

Otaczały przestrzeń o kształcie prostokąta, którego dwa boki przytykały do murów areny.

Wozy nie miały więc szans, aby objechać rozpadlinę.

W sztucznym trzęsawisku wiły się i pływały wielkie gady, stygijskie krokodyle. Cielska ich miały szerszy obwód niż rozpiętość ramion rosłego mężczyzny. Błotnisty dół stanowił

dodatkową przeszkodę dla śmiazków, próbujących po linach lub zawieszonych wyżej trapezach przedostać się na splachę piasku na drugim końcu areny. Był to kolejny element atrakcji, których dostarczał publiczności ten szatański cyrk.

A drzewa... czy mogły zagwarantować schronienie? Spoglądając na nie, Conan skrzywił się z niesmakiem. Wszystkie bez wyjątku uginały się pod ciężarem jakichś dziwnych owoców.

Ciemne kształty owijały się dokoła pni, lśniły w promieniach upalnego słońca i prześlizgiwały leniwie pośród liści. Pytony nadrzewne, święte gady boga Seta. Nieszczęśnik, który umknął

krokodylom, szukając schronienia wśród konarów, prędzej czy później kończył w splotach bezlitosnych dusicieli i choć agonია przedłużała się, rezultat łatwy był do przewidzenia.

Niewątpliwie dla szalejącego tłumu taka powolna śmierć mogłaby stać się o wiele bardziej satysfakcjonująca.

Granitowy występ oznaczający skraj dołu zbliżał się nieubłagalnie. Z tyłu wciąż dobiegało wściekle sapanie i tętent kopyt rozjuszonych byków, które, bodąc tylną burtę wozu, wyladowywały na niej swój gniew. Conan nie miał wyboru. Zmusił muły do wzięcia ostrzejszego, o dziwo, udanego zakrętu i zawrócił ku środkowi półokrągłej areny.

Czekała tam kolejna przeszkoda w postaci dwóch orzących piach bestii, które nie przyłączyły się dotąd do pościgu. Conan ponownie wykręcił. Minał zwierzęta w bezpiecznej odległości od ich drugich, zakrzywionych rogów. Gdyby tylko muły były w stanie jeszcze przez jakiś czas jeszcze utrzymywać podobne tempo — powiedzmy przez godzinę — może zdołaliby zmęczyć zarówno byki, jak publiczność i tym samym wygraliby dla siebie wolność.

I wtedy właśnie wydarzyło się nieszczęście. Wóz Luddhew, manewrując ryzykownie pomiędzy rozszalałymi bykami i murem areny, wykonał zbyt ostry zwrot. Nie przewrócił się, lecz gwałtownie zwolnił. Koła zabuksowały w piasku, a platforma zatrzęsła się i zatrzeszczała pod ciężarem zdezorientowanych cyrkowców. Muły z niemalym trudem, szarpiąc uprząż i ledwie utrzymując równowagę, jęły odzyskiwać stracony czas. Gdy tak ponaglone batem Luddhew dawały z siebie wszystko, trzy młode byczki wysforowały się naprzód i zaatakowały.

Ich długie rogi wbiły się w brzuchy bezradnych mułów.

Pełne bólu i zgrozy rzenie zagłuszył ryk zebranych na trybunach widzów. Ujrawszy rzeź, obywatele miasta poddali się żądzy krwi. Zerwali się z miejsc, tańcząc, pokrzykując i wymachując rękami. W tym czasie ocalałe zwierzęta wierzgały i szarpały się w uprzęży, ciągnąc za sobą zakrwawionych, slaniających się towarzyszy i niebezpiecznie przechylając obciążony wóz.

Uwagę byków ścigających pojazd Conana przyciągnęła walka pod murem areny. Popędziły na oślep ku uszkodzonemu wozowi i w końcu zdołały go przewrócić uderzeniami wielkich, osadzonych na grubych karkach łbów. Luddhew wraz z pozostałymi cyrkowcami wylądowali na piachu i natychmiast jęli szukać schronienia przed bezlitosnymi kopytami i ostrymi rogami.

Tylko niedźwiedź Burudu nie podał tyłów. Obróciwszy się, energicznym machnięciem potężnej łapy rozorał bok jednego z rozjuszonych napastników. Byk, nie zwracając na nic uwagi w szale walki, pochylił łeb i próbował dosięgnąć brzucha niedźwiedzia, by wyprać mu rogami trzewia. Burudu wszakże uniknął ciosu i, pochwyciwszy byka, jął rozdzierać go wielkimi zębami i pazurami. Pojedynek toczył się pośród chmury wzbijanego w powietrze piasku, z wnętrza której dochodziły zlewające w jedno gniewne parsknięcia i grzmiący ryk.

Dźwięki te tonęły jednak w radosnym rejwachu na trybunach.

Conan podjechał do powalonego wozu od bezpieczniejszej strony, mając nadzieję, że byki nie wedrą się między pojazd jego i Luddhew. Nie odważył się zatrzymać, a jedynie zmusił

muły, by zwolniły kroku do stępa. Atakujące byki wciąż dźgały rogami tylną burtę platformy i koła. Na ponaglące okrzyki Conana załoga wywróconego wozu pędem rzuciła się stronę wybawców. Zwinnie wymijając szarżujące zwierzęta, cyrkowcy chwyтали podawane im przez kompanów z trupy dłonie i podciągali się na jadący wóz.

Zapręg Conana musiał teraz ciągnąć dwukrotnie większy ciężar. Rozjuszone byki popychały i uderzały w wóz od tyłu, a muły były już straszliwie zmęczone. Przedśmiertne rzenie rozdzieranych przez dzikie bestie towarzyszy wyraźnie je ploszyło.

Nagle kosmaty byk przywódca znudził się atakowaniem drewnianych burt wozu. Parskając donośnie, zwęszył ociekającymi krwią nozdrzami zapach mułów i przyspieszył, by uderzyć od przodu.

To posunięcie najwidoczniej nie spodobało się Qwambie, czuwającej na środku platformy pod okiem Sathildy. Pantera, nie czekając na rozkaz, dała susa i wylądowała na grzbiecie rogatego potwora.

Śmigając w powietrzu, wyglądała niczym strzęp nocy przecinający jasne światło dnia.

Wylądowawszy na grzbiecie byka, wbiła pazury w twardą skórę i zatopiła kły we włochatym, garbatym karku. Byk zaczął szaleńczo podskakiwać, na próżno usiłując zrzucić z siebie diabelskiego jeźdźca. Fontanny piachu wystrzeliły pod niebo. Pośród chmury kurzu sierść

czarnej pantery lśniła i błyszczała jak mroczna głębia bezdennej studni.

Tłum szalał.

Wóz tymczasem wydostał się z najbardziej niebezpiecznego rejonu. Jednakże uwagę rozjuszonych byków krążących wokół miejsca rzezi przyciągnęli z kolei gwałtownie poruszający się ludzie i muły. Zaatakowały więc wóz z obu stron, usiłując dopaść nowe ofiary.

Dath cisnął najpierw jednym, potem drugim toporem, przyciągając broń z powrotem bez trudu, topory były bowiem zaopatrzone w rzemienie oplatające mu nadgarstki. Ostrza okazały się jednak zbyt lekkie, by mogły rozrąbać twarde czerepy rogatych napastników. Dath musiał więc zadowolić się zadaniem jedynie powierzchniowych ran. Zdołał wszelako odegnać kilka byków od kół oraz burt wozu.

Conan, widząc że następne rozwścieczone bestie zbliżają się do zaprzęgu, podał cugle Bardolphowi, przeszedł na platformę i sięgnął po swój ekwipunek silacza. Wsunął ołowiany pręt w pierścień jednego z ciężarów, po czym wygiąwszy ów pręt, uzyskał jakby prowizoryczną maczugę o krótkim trzonie i potężnym, kanciastym obuchu.

Zaparłszy się mocno obydwoma nogami, zamachnął się znad głowy, mierząc w byka biegnącego najbliżej wozu.

Siła uderzenia niemal strąciła Cymmerianina z platformy; musiał puścić maczugę i złapać się mocno oburącz drewnianej burty. Obuch trafił bawoła w kłęb. Ogromny zwierz zachwiał się i runął. Mało brakowało, a zostałby wciągnięty pod koła. Szybko jednak doszedł do siebie i odtruchtał od oddalającego się wozu.

Znów w oddali przed rozpędzonym wozem zamajaczył skraj trzęsawiska. Conan zakrzyknął do Luddhew, by skierował pojazd w stronę, gdzie znajdowały się liny, równoważnie i trapezy.

Jako że byki wciąż atakowały, urządzenia te mogły stać się dla cyrkowców drogą ucieczki.

Tymczasem zaprzęg nie skręcił. Ścigane przez dzikie bawoły, czując na pęczinach ich gorący oddech i ostre rogi bodące im boki, muły pognały na leb, na szyję w stronę jamy. Luddhew zaciął batem, a Conan ponownie przejął lejce, lecz bezskutecznie. Tylko parę chwil dzielilo ich od momentu, gdy dotrą do skraju trzęsawiska i runą w głąb błotnistej królestwa krokodyli ludojadów, potworów, w porównaniu z którymi bestie ścigające ich obecnie wyglądały jak łagodne baranki.

Conan w przyplywie desperacji wychylił się do przodu i sięgnął pomiędzy ogonami mułów w stronę łańcucha przy dyszlu. Oslaniając twarz przed żwirem wyrzucanym przez kopyta, odnalazł naprężony łańcuch i energicznym, zdecydowanym ruchem odczepił go.

Efekt był natychmiastowy. Wóz, którego koła grzęzły w sypkim piachu, pozostał w tyle, a

uwolnione od ciężaru zwierzęta popędziły przed siebie.

Gdy nie musiały ciągnąć wozu, muły bez trudu pozostawiły gnające za nimi byki daleko w tyle. Trzy z czterech par mułów oddaliły się, bijąc kopytami w ziemię i wznosząc w górę chmury kurzu. Tylko ostatniej parze, zbyt długo wstrzymywanej i zbyt brutalnie popędzanej rogami byków, nie udało się. Nieszczęsne zwierzęta runęły w głąb jamy. Jeden z rozszalałych napastników wpadł w trzęsawisko za nimi i znikł pośród przeraźliwej kakofonii rżenia, charkotu i parskania.

Dyszal uwolnionego od zaprzęgu wozu opadł na ziemię i wyorał w piachu długą bruzdę.

Koła skręciły ostro. Manewr ten był tak gwałtowny, że pojazd przewrócił się, a artyści wylądowali na piasku areny.

Tym razem cała trupa, chwiejąc się na nogach bądź pelzając na czworakach, pospiesznie jęła szukać jakiegoś schronienia. Nie było to łatwe. Przewrócony wóz leżał stratowany przez wściekle byki. Na skraju jamy ponad kamiennym murkiem sterczały dwa drewniane dość chwiejne trójnogi. Dawaly one jednak szansę uniknięcia bliższego spotkania z żądnymi krwi bawołami. Szczyty rusztowań łączyły rozciągnięte nad trzęsawiskiem liny.

Bliższy wspornik okazał się też podstawą równoważni, cienkiej jak nadgarstek deski zamocowanej na trójnogu węższą stroną ku górze. Konstrukcja była tak krucha, że w środkowej części deska wyraźnie się uginała. Równoważnia, nie podparta nigdzie więcej na całej swej długości, kończyła się po przeciwnej stronie jamy, w odległości większej niż mógłby dorzucić kamieniem dorosły mężczyzna.

Na szczycie drugiego słupa umieszczona była żerdź, na której od biedy mogło stanąć naraz dwoje ludzi. Znajdował się tam też trapez, jeden z kilku podwieszonych na przeciągniętych w równych odstępach nad jamą linach. A więc jednak poczyniono odpowiednie przygotowania, by artyści z trupy Luddhew mogli dać gawiedzi popis swych akrobatycznych umiejętności, balansując i wywijając kozły nad jamą pełną żarłocznych, nienasyconych krokodyli.

Między słupami rozciągał się także chybotliwy mostek z cienkich deszczulek, które przywiązano w poprzek dwóch lin oddalonych od siebie nie więcej niż na pół kroku. Deski wydawały się kruche i obłuzowane. Co gorsza, przejście to pozbawione było barierek czy choćby sznurowych poręczy. Pośrodku wiszący most sięgał nieomal powierzchni sztucznego bagniska, gdzie nieustannie przewalały się i wily cielska potężnych gadów.

Kakofonia odrażających dźwięków niebawem ucichła. Przeraźliwe rżenie konających mułów i rżenie byka zastąpiły ochryple ryki, chrząkanie i odgłosy bijących o wodę ogonów, kiedy drapieżniki jęły walczyć o krwawe szczątki. Na piaszczystej arenie tymczasem trochę się uspokoiło. Kilka byków zatrzymało się w pobliżu pierwszego z wywróconych wozów i rozszarpanych zwierząt z zaprzęgu. Inne ruszyły w pościg za umykającymi mułami. Przez długą chwilę tylko trzy bawoły nękały uciekinierów, szarżując na cyrkowców, którzy zwinnie

pierzchali na boki i uchylali się przed ciosem.

— Na słupy, musimy przedostać się na drugą stronę! — zakomenderował Conan. — Sami wybierzcie drogę, po linie, moście lub trapezach. My, wojownicy, możemy przez pewien czas powstrzymać te bestie. — Odwrócił się i kopnął w łeb byka, który zapuścił się niebezpiecznie blisko. — Dath, zbliż się... Pożycz mi jeden ze swoich toporów.

Zanim młody człowiek zdążył odpowiedzieć, rzucił się nań czerwonooki, sunący naprzód jak burza olbrzym i zmusił go do wycofania się na skraj rozpadliny. Sendajanim ciał i rąbał na odlew, lecz bez widocznych rezultatów, aż w końcu udało mu się zadać celny cios. Trafił

zwierzę pomiędzy ślepią. Stało się jak wryte, kręcąc łbem w oszłomieniu.

— Świetnie, chłopcze! — zawołał Conan. — A teraz dobij tego drania!

Dath nie zdążył się jeszcze zamachnąć, gdy bestia, rzuciwszy się naprzód, silnym uderzeniem powaliła młodzieńca na ziemię. Byk usiłował stratować swą ofiarę, lecz Dath przeturlał się zwinnie, unikając zetknięcia z kopytami i ostrzami własnych toporów.

Nagle tuż za Conanem rozległ się pełen gniewu i przerażenia wrzask. Barbarzyńca odwrócił się i ujrzał, że drugi byk wziął na rogi okulawionego Roganthusa. Zwierzę targnęło łbem i silacz spadł na kamienie na skraju jamy, o włos unikając stoczenia się w głąb dołu.

— Na Croma i Mannannana! — Z gniewnym okrzykiem Conan rzucił się na napastnika i schwycił go za rogi. Zwierz wparł twardy łeb w brzuch Cymmerianina, lecz warczący jak drapieżna bestia barbarzyńca pochylił się naprzód i napiął mięśnie, choć stopy ślizgały mu się w sypkim piachu. Ściskając mocno rogi, skręcał masywny łeb z boku na bok, zmuszając olbrzyma, by powoli przesunął się w bok.

Była to niewiarygodna próba sił, pojedynek przyjęły hucznymi brawami przez rozentuzjasmowany tłum na trybunach. Podczas gdy człowiek i zwierzę trwali w bezlitosnym zwarciu, pozostali cyrkowcy pognali ku drewnianym rusztowaniom i wiszącemu mostowi.

Rozpoczęła się wspinaczka. Sathilda, przedostawszy się na drugą stronę jamy, sprawdziła jakość i wytrzymałość trapezów i wróciła po swych kompanów.

Stanąwszy na szczycie wspornika, z doskonałym wyczuciem wyprawiła do skoku mniej wprawnych członków trupy, chwytając za każdym razem powracający ku niej trapez. Jeden po drugim, głównie mężczyźni, przedostawali się na drugi kraniec rozpadliny i zeskakiwali zręcznie na piasek po przeciwnej stronie trzęsawiska.

Na równoważni próbowali szczęścia ci, którzy byli sprawni fizycznie, lecz brakowało im umiejętności akrobatów. Phatuphar poprowadził tedy Janę, trzymając ją za rękę i przesuwając się naprzód powoli cal po calu. Nie sprawdzono bowiem do tej pory, czy deska utrzyma choć

jedną osobę, a co dopiero dwie. Gdy bezpiecznie dotarli na drugi brzeg, w ich ślady poszedł

Bardolph, starając się ani razu nie spojrzeć w dół. Zaraz po nim ruszyli następni. Przechodzili pojedynczo. Oczekujący swojej kolejki zaś z niepokojem obserwowali tę przeprawę.

Dla tych, którym jak Luddhew i Jocaście brakowało akrobatycznej zręczności bądź też ucierpieli podczas katastrofy wozów, pozostał wiszący most. Nieliczna grupka z niepokojem skierowała się ku niebezpiecznemu przejściu. Cyrkowcy pokrzykiwali jeden na drugiego, starając się zachować należyty odstęp i ograniczyć obciążenie na kolejnych odcinkach mostu, w przeciwnym razie słabe liny popękałyby bez wątpienia. Przeprawa po uginających się, obluzowanych, pękających pod stopami deskach była niemal równie karkołomna jak utrzymanie się na równoważni. Kiedy Luddhew i Jocasta dotarli do połowy drogi, kruche, cienkie szczebelki niemal całkiem zanurzyły się w odmętach bagna, czujne krokodyle zaś natychmiast okazały zainteresowanie poruszającymi się nad ich głowami ludźmi. W miarę jak kolejni uciekinierzy wstępowali na most, przestał się on kołysać i liny jakby nieco się naprężyły. Wreszcie idąca na przedzie para dotarła na drugi brzeg.

Conan tymczasem wciąż mocował się z bykiem, który ryczał i parskał w morderczym szale.

Cymmerianin bezlitośnie wykręcał czarno zakończone, oblepione krwią i piaskiem rogi, zmusił zwierzę, by cofnęło się prawie na samą krawędź jamy. Następnie brutalnym, dzikim wyrzutem ramion powalił byka na bok. Upadkowi ciężkiego cielska towarzyszył głuchy, donośny łoskot. Powalony olbrzym przez chwilę przebierał nogami w powietrzu, po czym z żalonym rykiem zsunął się wolno w głąb rozpadliny. Plusk topieli i odgłosy agonii zwierzęcia zagłuszyła jednak radosna wrzawa publiczności. Hałas ten bynajmniej nie odstraszył innych byków i już po chwili Conan znów znalazł się w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Tymczasem Qwamba, zmiążdżywszy kark swojej ofierze, chleptała z zapamiętaniem jej krew. Burudu również przetrwał zmagania nietknięty. Zwierzęta odnalazły swych opiekunów, a groźne warczenie i błyszczące, splamione czerwienią pazury i kły niewątpliwie pomogły odeprzeć kolejne ataki byków. Gdy na skraju rozpadliny pozostało już tylko kilkoro cyrkowców, Sathilda zeskoczyła z rusztowania i skoncentrowała uwagę na swych faworytach.

— Biedactwa, was również musimy ocalić — rzekła, gładząc pieśczołtliwie najpierw zmierzwione futro niedźwiedzia, a potem zakurzoną sierść pantery. Zerknęła w stronę około pół tuzina ocalałych byków, które wolno, acz nieubłaganie posuwały się w ich kierunku. —

Qwamba poradzi sobie sama, potrafi świetnie pływać, ale Burudu potrzebuje naszej pomocy.

Conanie, twoim zadaniem będzie strzec przeprawy, póki wszyscy nie przedostaniemy się na drugą stronę.

— Co? Niedźwiedź trzy razy większy ode mnie potrzebuje mojej pomocy?

Conan, uzbrojony teraz w jeden z toporów Datha, obejrzał się przez ramię na most, po którym

kolejni cyrkowcy przedostawali się na drugi brzeg.

— Zostaw zwierzęta tutaj. Niech walczą o swoje życie! Są w dużo lepszej od nas sytuacji.

Przynajmniej mają jakąś szansę.

— Nie. One należą do trupy. Jesteśmy im coś winni. Qwamba na górę! — Sathilda pstryknęła palcami, a pantera posłusznie wskoczyła na szczyt słupa, wydzierając pazurami długie bruzdy w drewnie. Następnie drapieżna bestia gładko spłynęła na równowagę, na której nie było już ludzi, i pomknęła przed siebie.

Chwiejna belka, zwłaszcza w środkowej części, nie powinna była udźwignąć ciężaru czarnej pantery. Drapieżnik jednak poruszał się z tak niewiarygodną szybkością i poczuciem równowagi, że przemknął na drugą stronę, nie wahając się i nie zatrzymując ani razu. Niczym czarna chmura przepłynęła nad trzęsawiskiem i jednym miękkiem susem zeskoczył na twardy grunt.

— Widzisz? — mruknęła Sathilda, spoglądając z wyrzutem na Conana. — Dath, Roganthus, teraz wasza kolej! Nie wiadomo, czy most wytrzyma ciężar Burudu. Niedźwiedź musi pójść na końcu. Dath, pomożesz Roganthusowi.

— Nie trzeba, dam sobie radę — zawołał Roganthus, próbując złapać równowagę. — To bydlę nie wyrządziło mi większej szkody, a z moją nogą jest już lepiej.

Pochylony, niemal dotykając dłońmi desek mostu, siłacz posuwał się naprzód w niezgorszym tempie. Dath pospieszył za nim, nie oglądając się wstecz.

— Na wyświechtany lniany kubrak Croma! Jak długo mamy tu jeszcze zabawić, kobieto?

Conan, wymachując toporem, by ogonie się od trzech zbliżających się byków, osłaniał

Sathildę i Burudu przed zepchnięciem do trzęsawiska. Zadawane przez Cymmerianina ciosy bezbłędnie osiągały celu. Udało mu się nawet odlupać jeden z rogów. Niemniej lekki topór nie został wykonany, by rozrąbać nim twarde czerepy dzikich bawołów.

— Zbliżają się — rzuciła z niepokojem Sathilda. — Burudu, walcz! Na jej rozkaz, poparty energicznym gestem, niedźwiedź rzucił się naprzód, odbijając uderzeniem wielkiej łapy rogaty łeb napastnika. Trafiony byk parsknął i natarł gniewnie, ale Burudu nie dał wypruć sobie flaków. Conan tymczasem odskoczył w bok i dwa młode cwałujące tuż obok siebie byczki wpadły z impetem na olbrzyma, z którym dotąd walczył.

— Na razie wystarczy — mruknął Cymmerianin, zaciskając brudne palce na ramieniu dziewczyny. — Ruszaj na most.

— Burudu, do mnie! — Przymuszona przez Conana Sathilda niechętnie przystanęła, by zawołać

niedźwiedzia. — Za mną, Burudu!

Na dźwięk jej głosu niedźwiedź obrócił się gwałtownie, bez większych oporów przerwał walkę i pospieszył za swoją panią.

Conan nie był pewien, czy wolałby znajdować się jak Sathilda na czele pochodu, czy tak jak teraz, tuż za ogromnym niedźwiedziem. Wszedł na most. Przed oczami miał kudłaty zad Burudu, a za plecami ostre rogi rozjuszzonego byka.

Niebawem pod ciężarem dwojga ludzi i zwierzęcia most zaczął się uginać. Na szczęście, kiedy się w końcu zerwał, nastąpiło to tylko przy pierścieniach mocujących go na skraju jamy.

Obluzowały się obie liny naraz, więc przejście nie przechyliło się i nie runęło w bok, w bagno rojące się od żarłocznych krokodyli. Po nagłym prysznicu i krótkiej, acz mrożącej krew w żyłach walce o odzyskanie równowagi, znaleźli się w sięgającym po uda błocie. Niezwłocznie, śladem ciągnących się na powierzchni wody lin, pospieszyli ku przeciwległemu brzegowi.

Sathilda, poruszająca się gibko i zwinnie, jak na akrobatkę przystało, wysforowała się daleko przed Burudu, którego ciężkie cielsko naprężyło dla niej liny mostu. Niedźwiedź, pnąc się w górę, rozbijał i gruchotał kolejne deski, ale też trzymał na dystans krokodyle. Odpędzał je zamaszystymi ciosami uzbrojonych w pazury łap. Conan musiał radzić sobie sam, toteż czynił to najlepiej jak umiał, rąbiąc gady po łbach toporem i unikając ich kłapiących szczęk.

W ten sposób, pędzeni strachem, nie lękając się już o utratę równowagi, przebili się przez sam środek sadzawki krokodyli. Inni, jak Dath i Roganthus, którzy w momencie zerwania się lin byli jeszcze na moście, najwyraźniej zdołali przedostać się bezpiecznie na drugą stronę.

Zagrożeniem dla uciekinierów były także oplecione przez pytony drzewa. Conan jednym wprawnym cięciem topora odrąbał łeb najokazalszemu z węży, zanim gad zdołał rzucić się na kogoś z nich i pochwycić w swe śmiercionośne sploty.

Mimo wciąż atakujących, kłapiących groźnie szczękami krokodyli, Cymmerianin zdołał utrzymać się na nogach i, jak dotąd, wyszedł z tej potyczki bez szwanku. Kiedy w końcu pod ciężarem Burudu rozpadły się resztki desek wiszącego mostu, Conan zwinnie podciągnął się w górę po jednej ze zwisających luźno lin i dołączył do swoich towarzyszy.

Stanęli zwartą grupą i choć wymieniali między sobą radosne pozdrowienia, wszyscy bez wyjątku wydawali się trochę niepewni i zdezorientowani. Przed nimi rozciągała się aż po mur areny piaszczysta łacha, równie naga jak plac po drugiej stronie. Nie sposób było nigdzie dostrzec przejścia czy choćby nawet zamkniętej bramy. Jedyne co różniło to miejsce od poprzedniego to drewniany kozioł, przy którym piętrzyła się moc najróżniejszego rynsztunku, włóczni, halabard, zardzewiałych mieczy i pogiętych tarcz. Ogluszający ryk tłumu przycichł, zmieniając

się w pomruk pelen niepokoju i oczekiwania.

Zagrzmiały trąby, echo ich dźwięku przetoczyło się ponad amfiteatrem. Przy drugim końcu areny rozwarły się na oścież niskie drewniane wieżeje.

Z mrocznego korytarza wybiegł oddział śniadolicych nomadów ze wschodniej pustyni.

Wywijając w powietrzu drugimi, zakrzywionymi jataganami, wydali przeciągły okrzyk bojowy i rzucili się do ataku.

VI

PIASEK I STAL

Trupa cyrkowców zamarła w niemym oszołomieniu. Po chwili jednak Conan oprzytomniał.

— Dalejże, uzbrojcie się! Jeśli mamy wyjść z tego cało, musimy stawić im czoło orężnie!

Jazda, chwytać za włócznie! Trzeba utworzyć mur!

To rzekłszy, podbiegł do prowizorycznego arsenału. Wybrał najsolidniej wyglądający miecz i wsunął go za szeroki pas. Topór zwisał mu na rzemiennej pętli obwiniętej wokół nadgarstka.

Cymmerianin jął wydzielać miecze i włócznie, wciskając je w dłonie tłoczących się za nim artystów.

— Masz, Jano, ten oszczep. Powinien być dla ciebie dostatecznie lekki. Phatupharze, weź to, choć liczę, że masz przy sobie swoje noże. Roganthusie, dasz sobie radę?

W odpowiedzi dawny mocarz uniósł wybrany przez siebie długi miecz i wywinął nim młynka.

— Jak najbardziej. Na litość Mitry, wróciłem już do sił, po tym jak mnie okaleczyłeś.

Pośród zgrzytu i szczęku oręża Conan przechodził wzdłuż kozła z bronią. Wrzeszczący dziko Beduini mieli do przebycia jeszcze sporą połąć piasku, ale zbliżali się nieuchronnie. Było ich około czterdziestu. Biegli szeroką ławą i wkrótce, stwierdził Conan, znaleźli się już w zasięgu włóczni. Cymmerianin bez wahania wybrał ze sterty oręża lekki oszczep i cisnął nim z całej siły.

Odgłos wbijającego się w ludzką pierś stalowego grota nie należał do przyjemnych. Podobnie jak wrzask tłumu, ogarniętego szaleńczym uniesieniem na widok przelanej po raz pierwszy tego dnia ludzkiej krwi.

Mimo opętańczego zgiełku, natarcie posuwało się nieprzerwanie. Cyrkowcy utworzyli szyk bojowy. Conan ponownie sięgnął po oszczep, rzucił, wybrał następny, póki wszystkie wolne włócznie nie utkwily w ciałach śniadoliczych napastników. Pozostali członkowie trupy posługiwali się bronią z gorszym skutkiem, z wyjątkiem Datha, który z odległości dziesięciu kroków trafił jednego z nomadów prosto w twarz.

Noże Phatuphara mogły ranić, lecz nie uśmiercały, Beduinów chroniły bowiem długie, powłóczyste szaty. Byli to, jak wszystko wskazywało, zabójcy z pustyni, ujęci na pograniczu Stygii. Walczyli, by odzyskać wolność. Conan napotkał w swoim życiu niejednego takiego rozbójnika i nie miał nic przeciwko uśmierceniu jeszcze kilku.

Dwie grupy zwarły się nagle przy wtórze ochrypłych wrzasków i brzęku długich, zakrzywionych jataganów, uderzających o nadżartą przez rdzę stal pozostawionego na arenie oręża. Cyrkowcy przetrzymali pierwszy atak. Mur, który utworzyli, ugiął się nieznacznie po

bokach, ale pośrodku pozostał niewzruszony. Tam właśnie Conan kręcił młynka starym mieczem, parując jednocześnie ciosy nomadów toporem pożyczonym od Datha.

Cymmerianin posuwał się jak burza, rąbiąc ogorzale szyje, żyłaste nadgarstki i twarde czaszki, tnąc gdzie popadnie. Gdy nadwerżone ostrze nie było w stanie przeciąć fałd grubego wełnianego burnusa, walił obuchem i bezlitośnie gruchotał kości. Raz po raz opuszczał szeregi obrony, pozwalając, aby nomadzi otoczyli go kordonem. Jednak kiedy złowrogo zakrzywione szable opadały i zderzały się ze szczękiem, wykonywał błyskawiczny unik i powracał w chwilę później, by siać śmierć, popłoch i zamieszanie.

Artyści byli dlań ogromną podporą. Napierali mocno na drzewca włóczni, dżgając nimi atakujących, lub trwali niewzruszenie, przyjmując ataki na tarcze i ostrza swych dzid.

Najbardziej zażarcie walczyli Bardolph i Roganthus zajmujący pozycję na flankach. Bardolph rąbał i dźgał napastników halabardą, orężem, którego długie drzewce rekompensowało mizerny wzrost karła. Roganthus zaś siekł mieczem na prawo i lewo, kosząc wrogów w przyplwywie nowych sił. Dath jednak uśmiercił więcej nomadów niż karzeł i silacz razem wzięci. Osłonięty starą pogiętą tarczą powalał kolejnych przeciwników szybkimi ciosami topora.

Tyłów broniących się strzegły drapieżniki. Gdy któryś z napastników próbował zająć cyrkowców z flanki, natykał się na krążących niespokojnie Qwambę i Burudu, a był to zaiste mrożący krew w żyłach widok.

Kiedy jeden ze śmiałków został poważnie okaleczony przez niedźwiedzia, a drugiemu pantera wypruła wnętrzności, nikt więcej nie odważył się już kontynuować tej taktyki.

I nagle, tak niespodziewanie jak się zaczęła, bitwa dobiegła końca. Piasek usłany był zakrwawionymi ciałami nomadów. Pustynni rabusie poszli w rozsypkę i rzucili się do ucieczki.

Niektórzy spośród wojowników z trudem kuśtykali, inni rzucali w biegu broń.

Conan puścił się za nimi z uniesionym mieczem. Z krtani barbarzyńcy dobył się groźny okrzyk bojowy. Po chwili jednak Cymmerianin zmitygował się i zawrócił do swych towarzyszy.

Na wpół zaślepiony bitewnym szalem, przestępując przez ciemno odziane trupy, upuścił okrwawioną broń na piach i zaczął ścisnąć ocalałych przyjaciół. Zdumiał się niemało stwierdziwszy, że z całej trupy nikt nie odniósł obrażeń poważniejszych niż zwykle draśnięcie.

Drapieżniki również wydawały się całe i zdrowe.

— W rzeczy samej! — rzucił gromko Roganthus. — Czuję się lepiej niż kiedykolwiek! —

Silacz zakręcił mieczem potężnego młynka — Chwalmy Mitrę, że zesłał szalonego byka i

drużynę grasantów, by mnie uleczyć!

Oszołomieni, wsłuchiwali się w ryk szalejącej publiczności. Unosząc wzrok ujrzeli rozentuzjzmowanych widzów, którzy machali rękami, pokrzykiwali i napierali na otaczające trybuny barierki. Pokonani wojownicy opuścili już arenę. Nie widać było żadnego nowego zagrożenia... Jednak artyści nauczyli się już, że nie należy ufać Imperium Cyrku. Ponownie się uzbroili i zwartą grupą, wraz z podążającymi za nimi drapieżnikami, ruszyli w stronę drewnianych wrót.

Gdy dotarli do wysokiej ściany areny, spośród ogólnego zgielku dały się wyodrębnić pojedyncze okrzyki, a w tłumie można było wyróżnić poszczególne postaci. Rumianolicy mężczyźni unosili w górę pięści w szaleńczym, gorączkowym salucie, bukmacherzy klócili się i przepychali między obstawiającymi zakłady hazardzistami, kobiety wychylały się przez poręcz, obnażając przed zwycięzcami piersi i lubieżnie oblizując wargi. W swej karierze cyrkowcy mieli już do czynienia z przykładami podobnych zachowań. Tu jednak intensywność emocji była zdumiewająca, a nawet zatrważająca.

Pośród szalejącego tłumu pojawiła się nagle osobliwa procesja, korowód notabli odzianych w białe lub czarne szaty, którzy opuściwszy swe miejsca w sektorze dla uprzywilejowanych, jęli przesuwać się w stronę areny. Gdy cyrkowcy dotarli do zamkniętej na glucho drewnianej bramy i wzbraniali się podejść bliżej z obawy przed szalejącymi na trybunach widzami, dygnitarze przedarli się przez ciżbę i zatrzymali dokładnie ponad cyrkową trupą.

Wtem rozległ się dźwięczny głos odzianego w liberię herolda stojącego powyżej łuku wejścia przy końcu areny.

— Pokłońcie głowy, by pozdrowić lordów i kapłanów Luxuru, a zwłaszcza Commodorusa, naszego suzerena i tyrana, oraz Nekrodiasa, naczelnego kapłana Świątyni Seta — obwieścił w języku stygijskim.

Herold zamilkł i przez chwilę radosne okrzyki widzów wstrząsały powietrzem. Tymczasem orszak wielmożów dotarł do wysuniętego, okolonego balustradą tarasu nad bramą.

Wrota pod półokrągłym sklepieniem, równie masywne i niewzruszone jak te, przez które cyrkowcy dostali się na arenę, zaczęły się wolno uchylać.

— Oto nasi wspaniali zwycięzcy! Zaiste, niezwykły to dzień! Słowa te padły z ust bladokórego, odzianego na biało, atletycznie wyglądającego mężczyzny o kędzierzawych jasnych włosach, które zdobił wieniec. Wielmoża ów podszedł do balustrady i unosząc majestatycznym gestem prawą rękę, zaczął deklamować niczym szkolony orator. Na dźwięk jego głosu gwar na trybunach momentalnie przycichł.

— O szczęśliwi zwycięzcy! Rzadko się zdarza, by nasze Imperium Cyrku miało okazję podziwiać tak oszalamiający występ. Triumf wasz jest całkowity i osiągnęliście go niewielkim kosztem. Ogłaszamy was niniejszym bohaterami, my, oficerowie i dostojnicy miasta i kościoła

Luxuru. Ja zaś, Commodorus, wychwalam was i wynoszę ponad wszystkich obywateli! Starsi świątyni muszą uczynić to samo.

Na te słowa towarzyszący Commodorusowi odziany na czarno mężczyzna o przebiegłym wyrazie twarzy nieznacznie skinął głową. Miał kwaśną minę, lecz usiłował nie okazywać niezadowolenia.

— A teraz — oznajmił Commodorus — oficjalnie witam was w Luxurze. Cieszcie się wspaniałościami naszego wielkiego, hojnego miasta. Bądźcie pozdrowieni, zwycięzcy! Niechaj wasze życie będzie długie, a sława trwa po wsze czasy! Zanim powrócimy do igrzysk, co nastąpi po południu, kiedy to odbędą się kolejne walki, rozkazuję, aby wszyscy tu zebrani wznieśli na waszą cześć radosny okrzyk triumfu.

Kiedy skończył, rozległa się kolejna burza braw. Wówczas ciężkie wrota otwały się i na arenę wjechała uroczysta kawalkada. Dzieciom na przystrojonych kwieciami wozach i nagim jasnowłosym młodzieńcom siedzącym na oklep na białych wierzchowcach towarzyszyły sunące tanecznym krokiem niewolnice, odziane jedynie w girlandy i wplecione we włosy wstążki. Po raz pierwszy odkąd wjechali do Luxuru, cyrkowcom nie groziło żadne niebezpieczeństwo.

Gdy trupa Luddhew podążała w kierunku wyjścia, z trybun posypały się miękkie drobiny o osłepiających barwach. Były to płatki kwiatów wirujące w powietrzu i mieniące się kolorowo w promieniach słońca. Do stóp bohaterów padały wieńce, monety, chusty i fragmenty kobiecego przyodziewku. Po drugiej stronie amfiteatru natomiast na arenę zaczęli przedostawać się spragnieni przygód widzowie. Mężczyźni i kobiety opuszczali się z muru na linach i rzemieniach, zeskakiwali na syпки piasek i ruszali biegiem ku bohaterom. Widok ten przynaglił artystów, by nieco zwawiej przyłączyć się do wysłanej im na spotkanie procesji.

Przeciskając się przez tłum, Conan poczuł silne, brutalne uderzenie w bark. Rozejrzał się dookoła w poszukiwaniu winowajcy i odkrył, co go trafiło. Był to ciśnięty z trybun pękaty mieszek zawierający okazałą fortunę w złocie. Cymmerianin schował niezwłocznie sakiewkę za pas. Wówczas czyjaś miękka dłoń musnęła to samo, wciąż jeszcze pulsujące bólem ramię.

Młoda dziewczyna w cienkiej, półprzeźroczystej tunice podsuwała mu bez słowa bukłak z winem. Conan przyjął podarunek i pociągnął solidny łyk, przeplukując gardło chłodnym, cierpkim trunkiem. Zaspokoiwszy pragnienie, barbarzyńca oddał flaszkę dziewczynie. Od mocnego wina zaczęło mu się już z lekka kręcić w głowie.

Rozejrzawszy się dostrzegł, że jego towarzyszy witano w podobny sposób. Służący częstowali ich jadłem i napitkiem. Inni oferowali pomoc i wsparcie strudzonym, oblepionym potem i pyłem zwycięzcom, dopytując się po stygijsku o odniesione przez nich rany. Cyrkowcy zwartą grupą przemierzali chłodny, wypełniony przyjemnymi zapachami tunel prowadzący do otaczających z tej strony Imperium Cyrku ogrodów.

Nagle w tunelu rozległo się donośne echo gardłowych ryków i gniewnego warczenia.

Posługując się w charakterze przynęty polciami surowego mięsa zatkniętymi na długich tyczkach, niewolnicy próbowali skierować Qwambę i Burudu do innej odnogi korytarza.

Czarna pantera i niedźwiedź ruszyły do ataku. Posługacze pierzchli w popłochu, by uniknąć rozdarcia na strzępy.

W tej samej chwili Sathilda pobiegła co sił w nogach, by stanąć w obronie jeżących się groźnie ulubieńców.

— Złodzieje! Łajdaki! Nie próbujcie kraść naszych zwierząt, bo gdy wpadną w szal, rozerwą was na sztuki! — Akrobatka cofnęła się, stając pomiędzy rozjuszonymi bestiami. — Cokolwiek złego zaplanowaliście dla naszych przyjaciół, zapłacicie za to z nawiązką!

— Szlachetna panienko, dajże spokój... — gładko ogolony, odziany we fioletową togę sługa, młody wiekiem, lecz już łysiejący na czubku głowy, próbował załagodzić sytuację. — Nie sądzisz chyba, że chcielibyśmy skrzywdzić te dzielne, szlachetne zwierzęta...

— Nie, skądże — wtrącił się Conan. — Podobnie jak nie chcieliście skrzywdzić nas, wypuszczając na arenę wściekle bawoły i bandę jeszcze bardziej wściekłych rozbójników.

Stał obok Sathildy i lypnął złowieszczo na młodzieńca.

— Czemuż, na Croma, my albo te zwierzęta mielibyśmy wam teraz zaufać?

— Szlachetny bohaterze, dostojny panie, zowią was Conan, prawda? Jestem Memtep, główny eunuch odpowiedzialny za przyjęcie gości w Imperium Cyrku. Zdaję sobie sprawę, że mogły nastąpić pewne niedopatrzenia, dotyczące waszego występu. Spieszę zapewnić, że nie chcieliśmy, by spotkało was coś złego i cieszę się, że nic takiego się nie wydarzyło. Jeżeli chodzi o zwierzęta, próbowaliśmy tylko zapewnić im bezpieczne i wygodne schronienie na noc. Mam nadzieję, że dzisiejszy nocleg wy i wasi podopieczni uznacie za przyjemny i zechcecie przyjąć nasze szczere, z serca płynące przeprosiny za przykrości, które stały się waszym udziałem.

— Spędzić noc tu, w Luxurze, ciesząc się znów waszą tak zwaną gościnnością?! Współ z tym żalonym ścierwem, Zagarem, który sprzedał nas na arenę jak niewolników?

— Jeżeli zostaniemy, zwierzęta będą nam towarzyszyć — rzuciła niewzruszonym tonem Sathilda. — Są przyzwyczajone spać obok nas. Po dzisiejszych wypadkach wątpię, aby dobrze zniosły rozstanie.

Conan spojrzął z powątpiewaniem na pozostałych. Luddhew stojący opodal skinął

potakująco głową. Sierść na karkach drapieżników znowu się wygładziła. Większość cyrkowców pochłonięta była zaspokajaniem głodu kromkami chleba i kawałkami kurczaka, najwyraźniej godząc się z perspektywą pozostania w mieście. Toteż gdy roznosząca wino niewolnica szturchnęła go w ramię, Cymmerianin bez wahania wziął od niej gliniane naczynie.

Wypił sporo, nim w końcu zdecydował się ruszyć dalej w głąb tunelu.

Po kilku krokach natknął się na wóz pełen daktyli i potraw z mięs, które wkrótce zaspokoily dręczący go głód. Obecna sytuacja niezbyt przypadła Conanowi do gustu. Czuł się niepewnie i w duchu obiecywał samemu sobie, że postara się jak najszybciej wydostać swych przyjaciół z tego niebezpiecznego miasta. Póki co jednak odpoczynek wydawał się niezbędny. Wszyscy potrzebowali odrobiny wytchnienia, by odzyskać siły. Mięso, którym Cymmerianin sownie się częstował, było ostro przyprawione, toteż barbarzyńca wypatrzył kolejną roznosicielkę wina i niemal do dna osuszył dzban, który mu podała.

Ogród, jak się okazało, przylegał do rozległego marmurowego pawilonu, gdzie mieściła się wytworna łaźnia publiczna. W wielkim basenie nie było na razie nikogo, czysta woda buchala parą, a odziane biało niewolnice czekały, by pomóc się rozdziać strudzonym zwycięzcom, zmyć piasek i krew z ich ciał i zaprowadzić gości do gorącej kąpieli. Po przeżyciach całego dnia cyrkowcy nie mogli się oprzeć tej pokusie. Poza tym wspólny pobyt w łaźni stanowił

przyjemniejszą perspektywę niż kąpiel w zimnym potoku czy błotnistej sadzawce. Dlatego też, odłożywszy broń, artyści żwawo zrzucili przesiąknięte potem ubrania i z zapalem oddali się przyjemnościom ablucji.

Conan, pławiąc się w letniej wodzie z sakiewką ze złotem zawieszoną bezpiecznie na szyi, musiał w pewnej chwili przysnąć. Drzemał, odzyskując co chwilę świadomość, gdy baraszkujący opodal z niewolnicami Roganthus czynił zbyt wiele hałasu. I nagle z oddali dobiegły Cymmerianina gniewne, znajome głosy, na dźwięk których w mgnieniu oka oprzytomniał.

Rozbryzgując wonną wodę, wspiał się na stopnie basenu i nie zwracając uwagi na łaźiebnych, przemaszerował po marmurowej posadzce ku ozdobnie rzeźbionym ławom.

Siedział tam Luddhew, odziany w togę koryntiańskiego kroju, i gniewnie dyskutował na temat ceny zniszczonych wozów i dwóch utraconych zaprzęgów.

Rozmówcą mistrza był niski mężczyzna w jasnej jedwabnej koszuli, haftowanej kamizeli, pantalonach i fezie z chwostem. Zagar, dwulicowy, kłamliwy Argosańczyk. Dopadłszy łowcy, Conan przemówił ochryplym, gardłowym głosem:

— A teraz, ty perfidna mała kanalio, odpowiesz mi na kilka pytań.

Cymmerianin nachylał się właśnie, by złapać Zagara za kark, gdy łowca talentów odwrócił się ku niemu z wyrazem zaskoczenia na twarzy, poderwał z kamiennej ławy i rzucił na szyję barbarzyńcy: Uśmiechając się promiennie, Argosańczyk ucałował kompletnie zdezorientowanego silacza w oba policzki.

— Conan, najjaśniejsza gwiazda na naszym firmamencie — gruchał czule. — Wielki mistrz naszej trupy, niepokonany wojownik, który swą obecnością zaszczycił arenę Imperium Cyrku!

Jakiż okazałem się roztropny, że cię odkryłem i wywiozłem z tej zapadłej dziury! Nazywała się Sendaj, prawda? I popatrz tylko, jakież czekają nas bogactwa i zaszczyty! Musimy przedyskutować wiele ważnych spraw, mój dzielny wojowniku. Perspektywy przed nami zaiste są wspaniałe!

— Co ty bredzisz? — Mimo że pokraśniały od komplementów i zbity z pantalyku zachowaniem Zagara, Conan wciąż czuł tłące się w nim pragnienie zemsty. Dłoń zacisnęła mu się na jedwabnym kołnierzu Argosańczyka. — Kłamiwy psie, posłałeś nas na arenę i zostawiłeś, żebyśmy tam zdechli...

— Nic podobnego, drogi chłopcze. A zresztą przecież wszystko skończyło się szczęśliwie.

Wasza trupa odniosła wielki sukces! — Zagar wił się nerwowo w uścisku Conana, ale nie był w stanie uwolnić kołnierza spomiędzy twardych jak stal palców barbarzyńcy. — Czy naprawdę sądzisz, że byłbym tak nieroztropny? Nie miałem o niczym pojęcia, podobnie jak każdy z was, możesz mi wierzyć! Zaszła jakaś straszliwa pomyłka. A może był to kaprys tego skończonego kretyna Commodorusa! — Twarz Argosańczyka poczerwieniała. Jego głos stał się ochryply i coraz bardziej przepelniony rozpaczą, w miarę jak ręka Conana odcinała mu dostęp powietrza.

— Ale ty przecież byłeś w stanie poradzić sobie ze wszystkim, co stanęło ci na drodze. Byłem tego pewien od samego początku, kiedy ujrzałem, jak rozrzucałeś na lewo i prawo tych wiejskich zabijaków. Jesteś urodzonym wojownikiem, najlepszym jaki od lat gościł na tej arenie! A tylko ja wiem, jak wyciągnąć z tego faktu zysk... duży zysk... dla nas wszystkich...

— Posłuchaj go, Conanie — rzucił spokojnie Luddhew, kładąc dłoń na ramieniu przyjaciela.

— Zagar zna to miasto i ma układy, które mogą nam tu zapewnić dostatnią przyszłość.

— Co? — Conan z niedowierzaniem spojrział na Luddhew. — Twoim zdaniem perspektywa stratowania przez wściekłego byka albo poszatkwania na kawałki przez dzikich nomadów ku uciesze gawiedzi to dobre rokowania na przyszłość? Rzeczywiście, wielki będziesz miał

pożytek z tego koryntiańskiego złota, rozdierany na strzępy przez żarłoczne krokodyle.

— Ależ Cymmerianinie, to się już nie powtórzy! Tak wspaniała trupa jak wasza nie będzie musiała już więcej występować na arenie! — Zagar, wijąc się w słabnącym uścisku Conana, gładko wyrzucał z siebie kolejne słowa. — To był błąd, żalosna pomyłka, która — przysięgam

— nigdy się już nie powtórzy! W Imperium Cyrku można robić wiele różnych rzeczy, a ja już dopilnuję, by napelnić wasze kieszenie i uczynić was wszystkich lordami Luxuru.

— Wystarczy, Conanie. Puść go i pozwól wysłuchać do końca, co ma nam do powiedzenia. —

Mistrz Luddhew łagodnie rozwarł palce barbarzyńcy i uwolnił Zagara z morderczego uścisku.

— Poznałeś to miasto z najgorszej strony. Teraz będziesz mógł radować się jego przyjemnościami. Ale pamiętaj — upomniał lowcę talentów — żadnych więcej sztuczek ani nieczystych zagrań!

— Nigdy bym się nie ośmielił. — Mamrocząc pod nosem słowa podziękowania, Zagar skłonił się Conanowi. — W grę wchodzi tylko imprezy artystyczne, występy pałacowe, możliwość udziału w działalności handlowej — wyliczał jednym tchem.

— Po tym, co dzisiaj pokazaliście — a muszę przyznać, iż był to jeden z najlepszych występów w całej historii tutejszy areny — wszyscy bywalcy Cyrku będą chcieli was poznać i przypochebić się wam. Mogę dopilnować, by już nigdy niczego wam nie brakło.

Wokół Zagara zebrał się już przepasana ręcznikami gromadka, wymieniająca szeptem komentarze.

— Co się tyczy ciebie, Conanie, wojownik twojej klasy może nie martwić się o przyszłość. Dla takich jak ty nie ma żadnych ograniczeń. Lud tego miasta włoży na twe skronie koronę i obwoła cię półbogiem. Oczywiście — powiódl wzrokiem po twarzach pozostałych — jest tu wielu takich, którzy potrafią walczyć i podczas dzisiejszego występu stawiali dzielnie, wykazując się hartem ducha i odwagą. — Niestety, ku widocznemu rozczarowaniu Roganthusa, Zagar nie wymienił nikogo z imienia. — Zapewne ucieszy was, gdy powiem, że nie każda walka na arenie kończy się śmiercią i nie każdy pojedynek ma nie kontrolowany przebieg. — Argosańczyk uśmiechnął się. — Robimy, co w naszej mocy, by występujący w Imperium Cyrku atleci jak najlepiej zadowalali gusta widzów. Tak więc sami widzicie, że każdy z was ma w Luxurze szansę wzbogacenia się, i to bez większego ryzyka.

Nieoczekiwanie dla wszystkich odezwał się Luddhew:

— Jeśli Conan zdecyduje się brać udział w walkach, powinien zatrzymać wszystko, co dzięki temu zarobi. — Ojcowskim gestem objął Cymmerianina. — Nie widzę powodu, dla którego miałbyś nadal oddawać jedną trzecią swych dochodów Roganthusowi.

— Słusznie! — odezwał się z basenu siłacz. — Już nie trzeba mi jego pieniędzy i nawet bym ich nie przyjął. Jestem właściwie jego nauczycielem i przewyższam go umiejętnościami. —

Napiął potężne mięśnie, by pokazać przyjaciółom, że odzyskał formę. — Niechaj więc weźmie wszystko, co zarobi, z wyjątkiem jednej trzeciej, która to suma pójdzie do wspólnej kasy naszej trupy.

Luddhew pokiwał głową z aprobatą.

— Rzecz jasna, Conan powinien walczyć wtedy tylko, gdy będzie miał niezachwianą pewność, że chce podjąć ryzyko — dodał po namyśle.

— Nie mam nic przeciwko walce — oznajmił Cymmerianin. — Nie ścierpię jednak, by moim przyjaciółom zagrażała śmiertelne niebezpieczeństwo.

Barbarzyńca powiódł wzrokiem po twarzach zebranych. Poczuł, jak dłoń Sathildy spoczęła miękko na jego ramieniu.

— Nie lękaj się, potężny wojowniku — łowca talentów tonął w uśmiechach. — Myślę, że osiągniemy zadowalające obie strony porozumienie.

To rzekłszy Zagar podjął prowadzone przyciszonym głosem sekretne negocjacje. Gorąca wymiana zdań z Luddhew trwała dobrych kilka minut, aż w końcu mężczyźni doszli do satysfakcjonującego obydwu porozumienia. Conan tymczasem ułożył się na marmurowej ławie, gdzie, oddawszy się w ręce wprawnej masażystki, ponownie zapadł w sen.

VII

BOHATEROWIE

Artystów zakwaterowano w wytwornych przyległych do łaźni apartamentach, które niegdyś musiały być częścią świątynnej rezydencji. Wina było w bród, a muzykanci umilali gościom wieczór aż do późna, przygrywając na różnych instrumentach. Conan i Sathilda usnęli w końcu na marmurowym chłodnym tarasie z widokiem na miasto, wyciągnięci na zasłanej jedwabiami kanapie, u stóp której pochrapywała tygrysica.

Kiedy Scorpos, boskie słońce, wynurzyło się z mgielki na wschodzie, Sathilda wydała jęk protestu i nakryła głowę poduszką. Conan wstał jednak wcześniej. Włożył obszerną, haftowaną złotą nicią tunikę przygotowaną dlań przez gospodarzy i pochłonął błyskawicznie śniadanie.

Chciał, nim wstanie dzień, zbadać tereny Cyrku.

Odgłosy dzikich zwierząt, gardłowe ryki i rzenie doprowadziły Cymmerianin do rzędu klatek i jam, ukrytych na tyłach amfiteatru za zagajnikiem strzelistych cyprysów. Menażeria była bardzo zróżnicowana. Barbarzyńca obejrzał z uwagą mosiężne kraty klatki dla lwów, ogromne łańcuchy przypięte do nogi słonia i głębokie doły przeznaczone dla krokodyli. Na zboczu wzniesiono stajnie i zagrody byków. Znalazło się tu również miejsce dla kóz, owiec oraz kurcząt, którymi karmiono drapieżniki. Właśnie nadeszła pora posiłku. Niewolnicy wykonywali swe obowiązki z oddaniem, prawie nie zwracając uwagi na Conana.

— Niesamowite zajęcie, to dogłądanie i karmienie zwierząt. Mięso zabitych wczoraj mulów już zostało pożarte — Z zasłanej słomą alejki dobiegł barbarzyńcę wesóły głos Memtepa. —

Imperium Cyrku może pochwalić się zwierzętami z każdego zakątka naszego cesarstwa. Ma się rozumieć, trzymamy głównie dzikie bestie albo dziwolągi, aby zaspokoić gusta publiczności.

Strasznie rano hałasują. — Przerwał i przez chwilę wsłuchiwał się w chóralny ryk, skowyt i warczenie, dochodzące z klatek wokół. — A co z wami, Mistrzu Conanie? Czy wasz apetyt na chleb i mięsiwo został zaspokojony?

— Wyspałem się i najadłem — odrzekł Conan. — Ale, o ile dobrze pamiętasz, w naszej trupie są również dwa spore drapieżniki, które przydałoby się z rana nakarmić. Chyba że wolisz, by urządziły sobie posiłek z któregoś z waszych niewolników.

— Ach tak, niedźwiedź i pantera. Nie lękaj się, zostaną nakarmione. A póki co, pozwól, że cię trochę oprowadzę. — Memtep powiódł ręką dokoła, wskazując na ogromny amfiteatr wraz z okolicznymi terenami. — Jest na swój sposób wspaniały, to jeden z cudów współczesnej Stygii.

— Nie było go, kiedy tędy przejeżdżałem parę lat temu — zauważył Conan.

— Nie, nie było — mruknął eunuch, prowadząc barbarzyńcę pomiędzy koszami gnijących warzyw i cuchnącymi chlewikami, gdzie roilo się od włochatych dzików o długich klach. —

Imperium Cyrku wzniesiono za rządów obecnego tyrana, Commodusa, z błogosławieństwem Nekrodiasa, naczelnego kapłana Świątyni Seta. Prace ukończono zaledwie cztery lata temu.

Wykorzystano tereny przyświątynne. Niegdyś był tu ogród węży przylegający do głównego chramu. — Skinął w stronę przysadzistych, ozdobionych zielonymi kopułami budynków górujących nad szopami. — Planowanie i zarządzanie Cyrkiem pozostawiono w gestii Koryntiańskiej Delegacji Handlowej. W jej skład wchodzi najbogatsi i najbardziej wpływowi obywatele Luxuru, ci sami, którzy pobudowali wielkie akwedukty, tak ważne dla rozwoju naszego miasta. Ich talent i wizja, w połączeniu z bogatymi zasobami Stygii, stworzyły dzieła doprawdy godne zapamiętania...

— Kto za to płaci? — przerwał mu Conan. — I czemu to służy?

— To umowa wiązana. Zwraca się po wielokroć i na różne sposoby. — Memtep machnął ręką.

— Na przykład: opłaty za wstęp i ogromne zyski z zakładów. Cudzoziemscy kupcy i dyplomaci zjeżdżają tu całymi tabunami, głosząc chwałę naszego miasta, a nasi koryntiańscy i zingarańscy sojusznicy robią wszystko, by goście czuli się tu jak w domu.

Weszli w cień ogromnego amfiteatru.

— Przede wszystkim jednak publiczne widowiska wzmacniają pozycję naszego państwa i kościoła, i wzmagają szacunek obywateli dla tych instytucji. Wpajają też podstawowe wartości moralne, takie jak ciężka praca i uczciwość. — Podeszli do wysokiej drewnianej bramy.

Memtep otworzył ją i wyprowadził barbarzyńcę na ogromny plac. — Praca i ćwiczenia, jak zapewne wiesz z praktyki cyrkowej, są podstawą wszelkich osiągnięć.

Przestronny plac osłaniał dach z płótna, które, choć cienkie, chroniło przed palącymi promieniami słońca. Dzięki temu również teren ów ukryty był przed oczami ciekawskich.

Conan łatwo zgadł, iż plac służył do ćwiczeń. Wały się tu bele słomy i kozły. W stojakach umieszczono atrapy broni, a cele treningowe zwieszały się na obrotowym żurawiu. O tak wczesnej porze spotkali tylko trzech lub czterech atletów, trenujących w ciszy i skupieniu.

— Tu właśnie przygotowują się nasi prawdziwi wojownicy — rzekł Memtep. — Jest ich wielu, skazańcy, przestępcy, niewolnicy i jeńcy wojenni, jak ci dzicy Rifowie, z którymi walczyliście. Czekają na swą kolej w podziemnych lochach. Prawdziwi jednak władcy Imperium Cyrku, nasi najslawniejsi gladiatorzy cieszą się uznaniem i żyją w luksusie, o jakim większość obywateli może jedynie marzyć. Zachęca się ich do ćwiczeń i treningów. — Podeszedł

do długiej jak ludzkie ramię belki zwieszającej się z żurawia, na jednym końcu której umieszczono pogiętą tarczę, a na drugim imitujący klingę miecza metalowy pręt. — Niektórzy mają nawet swoich trenerów, byłych najemników i oficerów, uczących ich tajników walki.

Conan, wyciągnąwszy ze stojaka drewnianą atrapę miecza, podszedł do urządzenia treningowego. Uniósł ramię i zadał cios tak silny, że miedziana tarcza niemal zgięła się wpół.

Reakcja była natychmiastowa. Belka okręciła się na łańcuchu i ciężki pręt runął ku Conanowi.

Barbarzyńca zdążył jednak uchylić się na czas i uniknąć śmiertelnego efektu swego uderzenia.

— Cóż to za cios, skoro tak się przy tym odsłaniasz — rozległ się głęboki bas. — Pozwól, że ci zademonstruję!

Conan cofnął się na bezpieczną odległość i odwrócił głowę. Memtep zrejterował po pierwszym ciosie barbarzyńcy, ale w stronę wirującej belki zmierzał już czarnoskóry mężczyzna w skórzanym kilcie. Szeroki w barach Kushita uniósł nad głową swój miecz do ćwiczeń. Conan patrzył z zaciekawieniem, jak tamten podchodzi do celu od drugiej strony.

— Bądź pozdrowiony, Muduzayo. To znany miłośnikom cyrku Muduzaya Szybki, który zdobył tytułu Mistrza Miecza — dodał Memtep gwoli wyjaśnienia. — A to Conan, od wczorajszego triumfu noszący miano Zabójcy.

Eunuch nie podszedł do Kushity ani nie podał mu ręki, podobnie jak nie uściśnął dłoni Conanowi. Wyraźnie trzymał się od obu wojowników na dystans.

Nowo przybyły nie wyglądał groźnie. Gdy stanął przed urządzeniem treningowym, wydawał się wręcz powolny i ospały. Wydawało się dziwne, że mógł wykrzesać z siebie niezbędną w jego profesji szybkość. Ale był bez wątpienia wojownikiem. Czoło zdobiły mu blizny, które Conan rozpoznał od razu, blade ślady rytualnych tatuaży przywódcy plemienia z południowego Kush. Nieznajomy poruszał się bezszelestnie i płynnie niczym nieuchwytny cień. Na jego twarzy malował się rozmarzony, zadumany uśmiech, kiedy Muduzaya unosił

stalową pałkę w potężnej pięści.

— Patrz — zagadnął biorąc zamach. — Zanim uderzysz, musisz być przygotowany na zadanie drugiego ciosu.

Metal brzęknął donośnie, gdy ćwiczebny miecz dosięgnął zwisającego pręta, po czym odbił w bok, by trafić w tarczę. Belka żurawia okręcając się o mało nie zahaczyła Conana, który miast cofnąć się, zadał dwa szybkie ciosy.

— Ha, a więc nie jesteś tak powolny, jak sądziłem! — Postępując naprzód, Muduzaya wykonał całą serię uderzeń. Za każdym pchnięciem manekin obracał się do Cymmerianina, tarcza i miecz atakowały go z prawa i z lewa, mierząc na przemian w krocze i golenie. Conan jednak nie zrejterował. Walczył, uchylając się bądź parując ciosy, i od czasu do czasu posyłał

belkę z powrotem do Kushity.

— Mimo niezwyklej szybkości lamiesz wiele reguł — zauważył Muduzaya. Wyprowadził uderzenie zza głowy i pchnął imitację miecza prosto w brzuch Conana.

— Sam je sobie tworzę. — Odpierając atak, Conan wykonał skręt całym ciałem i kopnął belkę, posyłając pociętą tarczę w stronę czarnoskórego wojownika. By uniknąć zderzenia, Muduzaya musiał cofnąć się, co uczynił równie szybko jak Cymmerianin, lecz ze znacznie mniejszą swobodą.

— Nieźle — pochwalił Conana i skinął głową. — Przypomnij mi, bym nigdy nie stanął przeciw tobie na arenie. Zwłaszcza zaś pod koniec długiego, męczącego dnia. — Wyciągnął potężną rękę i zatrzymał kołyszącą się belkę. — Starczy, nie chciałbym zanadto cię zmęczyć. Conan zauważył, że Muduzaya nawet się nie zadyszał i w ogóle nie był spocony.

— Świetnie.

Cymmerianin odstąpił od manekina. Powodowany impulsem rzucił atrapę miecza i wysunął przed siebie dłoń. Spojrzawszy Conanowi w oczy, Kushita postąpił tak samo i na modłę legionistów uściśnął nadgarstek barbarzyńcy, który podobnie zacisnął palce na jego przegubie. Taki rodzaj przywitania był częsty wśród żołnierzy i najemników ze wschodniej pustyni.

— Zatem pokój.

Muduzaya skinął głową, odwrócił się i odszedł. Znajdujący się w pobliżu atleci unieśli tylko wzrok i zlustrowali Conana z uwagą, lecz nie przerwali swych ćwiczeń, by pozdrowić barbarzyńcę lub Kushitę. Zarówno biały, jak i czarny wojownik mógł wkrótce stać się sprawcą ich śmierci.

— Jeśli twa popularność będzie rosła i dorównasz Muduzai — zauważył Memtep — zapewne będziesz musiał stawić mu czoło na arenie. Publiczność uwielbia, gdy do walki staje dwóch bohaterów.

— I, jak miemam, stawki zakładów są wówczas wyjątkowo wysokie. — Conan z zadumą pokiwał głową. — Może jednak dałoby się znaleźć jakiś kompromis.

Przemierzyli plac ćwiczeń i weszli do obszernej szopy — zbrojowni, wewnątrz której przesyciała woń rdzy i zakrzepłej krwi. Wały się tu różne części rynsztunku, niektóre wypolerowane i dobrze utrzymane, inne powgniatane i nieomal śmieszne w swej lichości.

— Te hełmy są niepraktyczne, mają zbyt szerokie otwory na oczy i za głębokie okapy. Po co

wojownik miałby zakładać na głowę coś tak bezsensownego? Jeszcze skręciłby kark.

Memtep uśmiechnął się i musnął przylbicę szczupłą, śniadą dłonią.

— Gdy słońce praży w południe i jego promienie bielą piasek areny, a oślepiające refleksy odbijają się od marmurowych ścian, gladiator nade wszystko pragnie odrobiny cienia i gotów jest oddać zań bardzo wiele. Jeśli helmy z wysuniętym okapem chronią przed oślepieniem słonecznym blaskiem albo przed ciśniętą w twarz garścią piachu, to warto je nosić, mimo że są dość ciężkie.

Conan pokiwał głową ze zrozumieniem.

— A ten złom przeznaczony jest dla mniej popularnych zawodników? — Wskazał na stertę rdzewiejącego, pogiętego i wyszczerbionego oręża.

— W rzeczy samej. — Memtep podprowadził gościa do okratowanych drzwi w przeciwległej ścianie. Odryglował je i otworzył. Znaleźli się w przesiąkniętym wilgocią, cuchnącym tunelu.

— Tędy droga wiedzie do pomieszczeń dla zwierząt i niewolników. To wejście na arenę nosi nazwę „Bramy Skazańców”.

Ruszył ku jasnemu, oślepiającemu światłu u wylotu tunelu. Wyjrzawszy przez na wpół

otwarte wrota, ze zdumieniem ujrzał dziesiątki robotników instalujących w miejscu, gdzie niedawno znajdowała się jama krokodyli, grube belki solidnej drewnianej platformy.

— Arena pozostaje przeważnie płaska — rzekł Memtep, stając za Cymmerianinem i odpowiadając na jego nie wypowiedziane pytanie. — Słupów podporowych i elementów podłoża można użyć na nieskończoną ilość sposobów, aby wkomponować w nie ukryte doły, labirynty, tory wyścigowe i co tylko dusza zapagnie. Istnieje nawet plan wypełnienia całej areny wodą za pomocą głównego akweduktu.

Conan nie odezwał się słowem, obserwując z uwagą krzątających się Jak mrówki robotników.

W jamie nie było już gadów ani błota. Jedyne tu i ówdzie dawały się dostrzec niewielkie kałuże. Barbarzyńca zastanawiał się, z jakim nakładem pracy całe to miejsce musiało zostać przygotowane na przybycie trupy Luddhew. Nie podzielił się jednak swoimi przemyśleniami z eunuchem.

— Imperium Cyrku stale się zmienia, ciągle jest powiększane i udoskonalane. — Memtep wskazał na inną ekipę, która naprawiała mury otaczające arenę, reperowała ławki i instalowała baldachimy nad trybunami dla uprzywilejowanych. Robotnicy wlewali do drewnianych form z koryt brejowatą, szarą masę. — Nasi rzemieślnicy pracują pod kierunkiem najznacniejszych projektantów i majstrów sprowadzanych z zagranicy — rzucił Memtep i dodał: — Dlatego też rozwój Imperium Cyrku nie zna ograniczeń.

Eunuch odwrócił się nagle i poprowadził Conana z powrotem do tunelu. Cymmerianin przystanął i wszedł do pomieszczenia, z którego bił drażniący odór śmierci. W ciemnym, chłodnym wnętrzu, kilka stopni poniżej ujrzał trupy leżące na trzciniowych matach. Byli to nomadzi polegli poprzedniego dnia, a w każdym razie kilku z nich. Poskręcane śniade ciała wydawały się wzruszająco kruche i bezbronne w pomiętych, poszarpanych burnusach. Na trzciniowym zydlu siedział odziany w białą tunikę niewolnik. Spojrzał beznamiętnie na barbarzyńcę, najwyraźniej nie zwracając uwagi na unoszący się wokół fetor.

W przeciwległej ścianie izby znajdowały się drugie ciężkie drzwi, również uchylone.

Wylonilo się zza nich dwóch ogolonych na lyso mężczyzn w czerwonych kapłańskich szatach.

Nie zważając na Conana, dali znak niewolnikowi, który zaznaczył coś na swojej woskowej tabliczce. Wówczas kapłani chwycili w nogach i u wezglowia jedną z mat wraz z leżącym na nim bezwładnym ciałem. Poruszając się zwinnie i bezszelestnie, wynieśli trupa przez otwarte drzwi, które zamknęły się za nimi. Po chwili rozległ się szczeł przesuwanego rygla.

— Kto to? — Conan ze zdumieniem spojrzał na Memtepa. — Co dzieje się ze zwłokami ludzi zabitych na arenie?

Eunuch odpowiedział jakby z wahaniem, wyprowadziwszy uprzednio Conana na korytarz.

— Jak już wspomniałem, Imperium Cyrku wzniesiono na poświęconym gruncie przy czynnym udziale kapłanów Świątyni Seta. — Spojrzał na barbarzyńcę oczami, w których powaga mieszała się z bogobojnym lękiem. — Wiesz zapewne, że nasza wiara, tu w Stygii, w dużej mierze tyczy się śmierci, to znaczy losu duszy, czy inaczej mówiąc ba, gdy doczesne jej naczynie przestaje pełnić swą funkcję. Objawiono nam, że by zyskać życie wieczne, ciała muszą być zachowywane w swym pierwotnym kształcie. I to nie tylko ciała możnowładców, ale i ludzi niższego stanu, aby na tamym świecie jedni mogli rządzić, drudzy zaś byli w stanie im służyć. Pojmujesz to?

Memtep wyprowadził Conana na światło dzienne. Znaleźli się pomiędzy klatkami i szopami.

— Słyszałem, że wy, Stygijczycy, jak nikt inny umiecie mumifikować zwłoki i budować grobowce — odrzekł Conan.

— Zgadza się. Aby zachować duszę, ciało zmarłego musi zostać odpowiednio wypreparowane i zabezpieczone. Jednym z warunków budowy Cyrku w Luxurze było, że kiedy człowiek lub święte zwierzę umrze na tej arenie, ofiara zostanie poddana mumifikacji, dzięki czemu zyska wieczne życie. Akolici w czerwonych szatach, których widziałeś przed chwilą, to specjaliści pomocnicy głównego balsami sty Manethosa, który odpowiada bezpośrednio przed samym najwyższym kapłanem, Nekrodiasem. Przy amfiteatrze znajduje się należąca do świątyni krypta, gdzie balsamuje się zwłoki. — Memtep wskazał na przeciwległy kraniec budowli. — W ten sposób przestrzegane są zasady naszej wiary.

— A więc ci, którzy umarli na arenie, są mumifikowani? — upewnił się Conan, kręcąc głową z niedowierzaniem. — Nawet jeśli byli innego wyznania?

— Nie wszyscy dostępują tego zaszczytu — odparł Memtep, zignorowawszy drugą część pytania. — Najslynniejszych wojowników grzebie się, zgodnie z wolą ludu, w murach Imperium Cyrku. — Wskazał na jedną z płytkich nisz pod lukowatymi przyporami. —

Oczywiście wszystkie kaplice grobowe, które dotąd pobudowano, obrócone są do ulicy. To doprawdy dzieła sztuki, ozdobione urnami i wieńcami, płaskorzeźbami przedstawiającymi kwiaty oraz inskrypcjami w języku stygijskim i koryntiańskim. Najważniejszym elementem jest jednak pośmiertna maska bohatera, zdobiona klejnotami osadzonymi w oczodołach, które, gdy na nie patrzysz, wydają się śledzić cię wzrokiem. Mistrzowi zapewnia się więc miejsce w wieczności w należyty sposób.

Conan milczał. Postanowił nie zadawać więcej pytań. Sam rzadko myślał o śmierci.

Wyznawana przezeń wiara w surowe północne bóstwa, w rodzaju Croma czy Mitry, nie poświęcała wiele uwagi losowi śmiertelników po ich zgonie. Mimo to na myśl, że w przyszłości ktoś mógłby wyjąć z jego ciała wnętrzności, wypchać je i natrzeć wonnościami, a potem owinięte bandażami wystawić na widok publiczny, Conanowi zrobiło się dziwnie nieswojo. Widywał już w swoim życiu czarowników — nekromantów wyczyniających podle, przerażające sztuczki z reanimowanymi ciałami swoich ofiar. Czy to możliwe, że kapłani Seta dzięki rytuałowi balsamowania mogli zniewolić jego duszę i zmusić ją, by czeźła w opróżnionym z organów ciele, skazując go tym samym na wieczną wędrówkę, dolę obcego pośród mamroczących modły duchów w posępnym Świecie Umarłych? Wolął nie zaprzętać sobie tym głowy.

Memtep odprowadził go do apartamentów, gdzie cyrkowcy wstali już i przystąpili do porannego posiłku. Nie ukrywali swego entuzjazmu z powodu wczorajszego wielkiego sukcesu i snuli plany pobytu w Luksurze.

Po śniadaniu Memtep zaprowadził trupę Luddhew do nowej siedziby — znajdujących się na tyłach amfiteatru chatki zakonników. Domki okazały się dużo wygodniejsze od apartamentów, w których artyści spędzili noc. Bardolph wraz z kilkoma przyjaciółmi zdecydował się natychmiast zabrać z karawanseraju należące do trupy rzeczy. Sathilda i pozostali woleli przygotować chaty dla ludzi i zwierząt oraz opracować szczegóły dalszych występów.

— Jeżeli o mnie chodzi — odezwał się Dath — chciałbym zwiedzić miasto.

— Ja również — mruknął Conan. — Nie miałem dotąd okazji przyjrzeć się baczniej Luxurowi.

— Wydaje się to przyjemnym sposobem na spędzenie poranka — wtrącił Roganthus, rozluźniając ramiona. — Przekonajmy się, jak bardzo możemy tu nabroić.

Pobrawszy zaliczkę od Luddhew, trzech mężczyzn ruszyli w miasto. Choć Memtep proponował

im niewolnego przewodnika, odmówili, zapamiętując jedynie wskazówki dotyczące drogi do Kwartału Koryntiańskiego i Nabrzeża Portowego, ponoć najbardziej uczęszczanych i gościnnych dzielnic miasta. Conan nie zdradził się nikomu z posiadania mieszka złota, który rzucone doń z trybun. Sakiewka spoczywała bezpiecznie, zawieszona na solidnym rzemyku na szyi Cymmerianina.

Wyszli bramą dla wozów, dzięki czemu nie musieli okrążyć całego amfiteatru i przechodzić przez dzielnicę willową ciągnącą się wzdłuż wzgórza. Nie uchroniło ich to jednak przed rozpoznaniem i nie minęło wiele czasu, gdy trzech cyrkowców otoczyła gromadka dzieci ulicy.

Łobuziaki uparcie domagały się jałmużny, a gdy nie otrzymały ani miedziaka, jęły zjadliwie komentować wczorajsze widowisko, występ, którego trupa Luddhew o mało nie przyplaciła życiem.

— Spójrzcie tylko, toż to wiejskie zabijaki i nic więcej!

— Jasne, tylko błazny mogły zabawiać dzikie bawoły akrobatycznymi popisami i żonglerką!

— Nie sądziłem, że w wiejskich cyrkach zatrudniają się tacy wojownicy. — Przywódca grupy, wyrostek w lachmanach, skupił swą uwagę na Conanie. — Czy na zabitej dechami prowincji atakowały cię częściej byki, czy może grasanci?

— Tak się składa, że życie nauczyło nas, jak sobie radzić w trudnych sytuacjach, nawet gdy ma się do czynienia z paskudną zarazą — odparł znacząco Conan. — A teraz, już was tu nie ma.

— Nie nauczyłeś się machać mieczem na jarmarcznych występach — ciągnął chłopak. —

Jesteś najemnikiem, czy może gladiatorem z któregoś z miast hyboryjskich?

— A co cię to obchodzi? — odparował Conan. — Czy oseskom takim jak ty pozwalają oglądać rzeźnię na arenie? Jeżeli tak, to poważny błąd.

— Widziałem i wiem więcej niż dziesięciu dorosłych w tym mieście — odciął się bezczelny podrostek.

— Naprawdę? A jak ci na imię?

— Jestem Jemain — odparł chłopak, podczas gdy jego obszarpani towarzysze pograżyli się w pełnym szacunku milczeniu. — A ty jesteś Conan Zabójca, kolejny wielki bohater Imperium Cyrku.

— Ogólna sensacja — wtrącił Dath ze znaczącym uśmieszkiem. — I jak miemam, wielki faworyt zakładów.

— Kiedyś zapewne tak — odparł Jemain, spoglądając niepewnie na Datha.

— A co ze mną? — zirytował się drugi towarzysz Conana. — Ja, Roganthus Mocarny, odkryłem tego osła. Ode mnie nauczył się tych kilku sztuczek, którymi się popisuje. — W głosie siłacza brzmiała nuta urażonej dumy. — Powiedz no, mały łobuziaku, czy w twojej szklanej kuli widać i moją przyszłość?

Na twarzy Jemaina pojawił się cyniczny uśmiech.

— Naturalnie jest miejsce i dla ciebie. Imperium Cyrku przyjmuje wszystkich i skłania każdego, by zaprezentował, co ma najlepszego. Doświadczony wojownik może w swoim czasie zbić fortunę.

Roganthus przyjął to za dobrą monetę. Inni zamilkli. Większość małych włóczęgów rozpierzchła się, został tylko nie dający spokoju trójce przybyszów Jemain. Najwyraźniej liczył na jałmużnę lub przynajmniej na możliwość udzielenia opłacanych brzęczącą monetą informacji.

Brukowana alejka, którą podążali od gmachu Cyrku, biegła w dół zbocza, łącząc się z szerszym traktem w dolinie. Minawszy kilka luźno stojących kramów i zabudowań, cyrkowcy weszli w cień wysokich kamiennych łuków górujących ponad dachami domów.

— Oto najwyższy z akweduktów wybudowanych przez Commodusa — wyjaśnił Jemain jak rasowy przewodnik. — Ułatwia życie całemu miastu i pozwala bogatym stworzyć jeszcze bardziej luksusowe warunki w ich posesjach na Wzgórzu Świątynnym.

— Płynie tamtędy woda? — Conan uniósł wzrok.

— Tak. Zadaszoną rynną, by do środka nie dostawało się ptasie guano — wyjaśnił Jemain. —

Płynie ze strumieni, z południowych wzgórz. Koryntiańczycy sprowadzili do Luxuru tysiące inżynierów i budowniczych, którzy pracowali nad tym cudem.

— Założę się, że najcięższą robotę wykonali Stygijczycy. — Conan powiódł dłonią po szerokich jak męska pierś kamiennych blokach, tworzących kolejny łukowaty wspornik.

— Tak. Najwyższy kapłan ogłosił zaciąg na wszystkich fannach, jak się to zawsze dzieje podczas budowy świątyni czy grobowca. To samo było, kiedy wznoszono Imperium Cyrku. Ale koryntiańczycy są dobrymi zwierchnikami. — Chłopak uśmiechnął się. — Niewielu robotników zginęło, zaledwie paru. Wiecie, nieszczęśliwe wypadki...

Conan chrząknął, podziwiając z zachwytem kamienną konstrukcję, podtrzymującą podniebną rzekę.

— 1 to wszystko powstało pod rządami Commodusa?

— O tak, to najbardziej popularny spośród tyranów, uwielbiany zwłaszcza za figle, które urządza na arenie. — Jemain rozpromienił się. — Powiadają, że pewnego dnia armia zniesie nadzór kościoła i ogłosi Commodorusa imperatorem Luxuru, a nawet całej Stygii.

— Naprawdę? — zapytał sceptycznie Conan. — A co na to kapłani Seta?

Chłopak wzruszył ramionami, najwyraźniej nie lękając się wzmianki o wszechpotężnym bóstwie rządzącym jego krajem.

— Stary Nekrodias jest słaby, stetryczały i niespecjalnie lubiany nawet przez własnych kapłanów. Na wsi ludzie wciąż wierzą w stare przesady i zabobony, ale my tu w mieście jesteśmy bardziej oświeceni. Znamy i rozumiemy cudzoziemski sposób i myślenia, a zwłaszcza obyczaje koryntiańskie.

W rzeczy samej, idąc wzdłuż długiej alei Conan nie mógł nadziwić się swobodnemu, kosmopolitycznemu klimatowi Luxuru. Metropolia nie miała w sobie nic z atmosfery trwożliwej czujności, niepokoju i niejasnego zagrożenia, typowej dla innych stygijskich miast.

Drzwi i okna były pootwierane na oścież, markizy chroniły przed jaskrawym słońcem. Dumni mężczyźni i kobiety z odkrytymi twarzami spacerowali swobodnie po brukowanych uliczkach, na których roilo się od straganów i rozkrzyczanych uśmiechniętych handlarzy oferujących najróżniejsze towary. Nie rzucały się w oczy strażnice z uzbrojonymi kapłanami ani oddziały gwardii patrolujące miasto. Niewiele dawało się dostrzec świątyń czy totemów czterogłowych węży, które w Stygii strzegły niemal każdego skrzyżowania. Nie widać też było wojska, choć Conan przypomniał sobie, że przy wjeździe do miasta tabor mijal baraki przed główną bramą.

Zupełnie jak w Tarancii lub Belverusie, pomyślał, choć z pewnością nie jak w rozpasanym Shadizarze.

Członkowie trupy Luddhew byli rozpoznawani i witani nader przyjaźnie, zwłaszcza gdy zeszli do gęściej zaludnionych rejonów miasta. Przechodnie pozdrawiali ich już z daleka, a nawet podchodzili, by „na szczęście” uścisnąć im dłonie. Straganiarze częstowali cyrkowców owocami i buleczkami, sprzedawcy wina zaś cienkim jablecznikiem. Kilku sklepikarzy podbiegało do Conana z wilgotnymi glinianymi tabliczkami, prosząc o odcisk prawej — „tej od miecza” — dłoni barbarzyńcy. Cymmerianin spełniał ich prośby, świadom, że tabliczki zostaną później wypalone i sprzedane zbieraczom tego typu pamiątek, a nawet będą powielane i podrabiane. Jeden z kupców zadał sobie trud pobrania odcisków od całej trójki, dzięki czemu Roganthusowi wyraźnie poprawił się nastrój. Dath wszelako przyjął to wyróżnienie całkiem obojętnie.

Tymczasem sprytny Jemain robił, co tylko mógł, by uchodzić za nieoficjalnego strażnika grupy. Odpędzał gromadki dzieciaków ciągnące za cudzoziemcami, chował za pazuchę nie dojezione smakolyki i bezceremonialnie domagał się zapłaty za pobieranie odcisków.

Zaproponował też artystom swoje usługi jako przewodnik po tawernach, jaskiniach hazardu i domach uciech, usiłując jednocześnie wydobyć wszelkie informacje o kondycji i

umiejętnościach walki swoich nocnych znajomych. Ogólnie rzecz biorąc, był prawdziwym utrapieniem, ale potrafił trafnie szacować ludzi i wiedział, kiedy należy zachować milczenie.

Z jego pomocą, o którą zresztą nie prosili, cyrkowcy dotarli niebawem do tętniącego życiem kwartału cudzoziemców, gdzie na straganach piętrzyły się egzotyczne owoce, barwne materiały, naczynia i błyskotki z odległych hyboryjskich krain, z Zingary, Argosu czy Asgalunu. Dostarczono je zapewne na statkach pływających po Morzu Zachodnim i Styksie.

Najwięcej jednak towarów pochodziło bez wątpienia z Koryntii i Zamory. Dowożono je przez Koth, Khoraję i pustynie wschodniego Shemu. Koryntiańscy handlarze przywykli już do korzystania z wielbłądów jako najlepszego środka transportu przez pustynię. Wody Styksu zaś okazały się świetnym kanałem żeglugowym, po którym wciąż kursowały wydajne, a jednocześnie wygodne barki trzcinowe. Miasto najwyraźniej łaknęło zagranicznych towarów.

Bładolicy przybysze z północnych kolonii codziennie na targowisku zapełniali swe spiżarnie, jak gdyby byli w rodzinnej Koryntii. Wśród tłumu Conan dostrzegł też zamożnych kupców i białogłowy, żony oraz konkubiny kościelnych i cywilnych notabli przybyłe w rydwanach i lektykach. Kobiety nabywały lśniące precjoza i przymierzały modne stroje za lekkimi, zwiewnymi zasłonami budek przy krawieckich kramach.

Co młodsze zwracały uwagę na atletów, nawołując ich uwodzicielsko i wabiąc na wszelkie sposoby. Było jednak jasne, że chodzi im tylko o zarobek, więc Jemain z poświęceniem odpędzał kusicielki, zanim któregoś z artystów zdążyła ogarnąć żądza nie do pokonania.

W końcu w oddali ujrzeli Wschodni Mur i wkroczyli do najbardziej rozrywkowej dzielnicy Luxuru. Liczne tawerny, oberże i przybytki rozpusty zapraszały w swoje progi poganiaczy wielbłądów i flisaków, którzy przybyli tu z ładunkami wszelakich towarów. Wieczorami, jak sądził Conan, musiała to być zaiste tętniąca życiem dzielnica, zwłaszcza jeśli do miasta zawitała akurat kolejna karawana lub do portu przybił statek z dalekich stron.

Za to po drugiej stronie Wschodniej Bramy królowała prawdziwa nędza. Budowniczoie Luxuru najwyraźniej nie chcieli narazić miasta na możliwość inwazji od strony rzeki i zezwolić, by potężne handlowe statki dostały się poza linie obronne. Pozostawili więc wąski pas lądu pod samymi murami, gdzie miał dokonywać się wyładunek rzecznych barek.

Szacowni obywatele nazywali ten fragment nie zagospodarowanego terenu nabrzeżem kanału.

Zmienił się on wkrótce w dzielnicę nędzy, pełną szalasów, magazynów, namiotów nomadów i kramów wędrownych kupców. Nabrzeże znajdowało się poza zasięgiem straży świątynnej i poborców myta. Dzięki temu w miejscu owym kwitł handel bezcłowymi i czarnorynkowy —

mi towarami, statuetkami pogańskich bożków, tanimi, gorszego sortu niewolnikami i innymi dobrami, które nie sprostalyby standardom obowiązującym za murami. Większość tych towarów, rzecz jasna, i tak przemycano do miasta, czym parali się co bardziej operatywni handlarze i przedsiębiorczy obywatele.

Gdy dotarli już niemal do samej rzeki, gdzie błoto na nie wybrukowanych, rozmytych deszczem uliczkach mlaskało donośnie pod stopami, a czające się to tu, to tam podejrzane indywidua nawoływały przechodniów w obcych językach, co zbijało z pantalyku nawet zadziornego Jemaina, trójka cyrkowców postanowiła przeplukać wyschnięte gardła. Trafili do jedynej oberży, która się tu reklamowała, przestronnego, ozdobionego filarami budynku, zapewne przerobionego ze stajni i wciąż jak stajnia cuchnącego. „Barka Rozkoszy”, jak głosiła ozdobiona wizerunkiem łódki drewniana tablica, przybita gwoździami nad wejściem, stała frontem do placu, przy którym wyciągano na brzeg łodzie. Zaledwie kilka metrów dalej w błocie spoczywało kilkanaście płaskodennych trzcinówek.

Gładiatorzy podeszli dziarsko do szynkwasu, topornie ciosanej deski ułożonej na dwóch pokaźnych beczkach, i zuchwałym tonem zamówili trunki. Oberżysta, jednooki i jednoręki rzeczny pirat, podał im alkohol w skorupach orzecha kokosowego, które tu służyły za kufle, po czym skrętnie zgarnął rzucone na ladę miedziaki. Jemain dostał rozwodnione wino, podczas gdy trzej mężczyźni raczyli się arrakiem, sfermentowanym sokiem palmowym z południowych plantacji.

— Czy wiecie, jakie atrakcje są przewidziane w związku z kolejnym występem na arenie? —

zapytał oberżysta ochryplym głosem o wyraźnym shemickim akcentem. — Będziecie walczyć podczas obchodów Dnia Bast?

— To możliwe — odrzekł Roganthus, najwyraźniej mile polechtany tym, że go rozpoznano.

— Jeszcze nam tego nie powiedziano.

— Wielu z was, nowo przybyłych — rzekł oberżysta — nie jest dostatecznie wyszkolonych, by potykać się na oczach tłumów. Ale walka będzie, o tak, możecie być pewni... I zakłady też pewnie staną nielicze. — Zmrużył jedyne oko, by krytycznie przyjrzeć się gościom. — Wszyscy jesteście w dobrej kondycji. Nie dolegają wam żadne obrażenia po wczorajszej utarczce?

Roganthus parsknął z pogardą.

— Obrażenia? Wręcz przeciwnie, powiedziałbym. Czuję wręcz brak obrażeń. Jedyne, co mi ogromnie doskwiera, to tęsknota za winem. Dalejże, karczmarzu, polej nam tego cienkusza.

Kwaśny, ale gasi pragnienie — dodał, wykładając na szorstką deskę kolejne miedziaki.

— Jeżeli chcesz dostać poufne informacje o jutrzejszych faworytach, zapytaj mnie, Jemaina z Nory Tannera! — Rozgrzany słabym winem chłopak krzyknął z drugiego końca szynkwasu. —

Dzięki mnie niejeden już wygrał. Na pierwszy rzut oka umiem rozpoznać mistrza! Moja intuicja nie ma sobie równych!

Conan, który nauczył się nie wierzyć zbyt w słowa krzykaczy i naganiaczy skłaniających

naiwnych do hazardu, nie mógł nadziwić się niezwykle mu zamilowanemu mieszkańcom Luxuru do zakładów. Nachylił się, by spojrzeć szynkarzowi w jedyne, wodniste oko.

— Nie wiem, czy byłeś na trybunach i widziałeś, jak moją trupę nieomal rozszarpały na strzępy dzikie bawoły i rozsiekli na kawałki ogarnięci bitewnym szalem zbójcy? — Gdy oberżysta lekko pokręcił głową, Cymmerianin dorzucił: — Ale z pewnością o tym słyszałeś.

Pytam więc, czy faktycznie postawiłbyś choć miedziaka, obstawiając wynik tego szalonego widowiska?

— Ja? Ależ oczywiście. Nawiasem mówiąc, postawiłem srebrną szekłę. Nie żebym żywił wobec was jakieś pretensje, sami rozumiecie...

Jako że mężczyzna nie wspomniał ani słowem o wygranej, Conan domyślił się, iż zakład postawiono przeciwko niemu i jego przyjaciółom. Zmarszczył brwi.

— Powiedz mi jednak, dlaczego ryzykujesz pieniądze dla czegoś równie bezsensownego, nieprzewidywalnego i niewiarygodnego jak podobne widowisko?

— Wszyscy wiedzą, że walki są nieuczciwe — włączył się nagle Jemain. — Sprawa polega na tym, aby dowiedzieć się, która ze stron ma przewagę, i odpowiednio ustawić stawki zakładów.

— Jeżeli chodzi o mnie, regularnie chodzę oglądać walki — wyjaśniał szynkarz, ignorując belkot podpitego chłopaka. — Bądź co bądź, właśnie na arenie pozostawiłem rękę i oko, i to jednego dnia. W swoim czasie, za łaską Seta, odkuję się na tyle, by powetować sobie tę stratę.

— Na wszystkich bogów! — zdumiał się Conan. — Będzie ci chyba potrzeba całego wozu srebra. Odnieść takie rany w jednym starciu i przeżyć...

— Nie było to łatwe — rzekł mężczyzna z rozgoryczeniem. — Prawdę rzekłszy, musiałem walczyć jeszcze zajadlej, kiedy ręka i oko zostały mi odjęte. Byłem o włos od stanu, w którym nadawałbym się tylko do załadowania na wóz i wywiezienia do kostnicy, gdzie balsamiści Manethosa wypatroszyliby mnie nawet, gdybym jeszcze dyszał! Strzeż się ich, przyjacielu...

Nie każdy ranny wojownik miał tyle szczęścia co ja.

Podczas gdy Conan, Jemain i oberżysta wymieniali opowieści, a Roganthus poił się w najlepsze arrakiem, Dath dyskretnie się ulotnił. Na ganku tawerny pośród żebraków i nędzarzy przycupnęło czterech biednie odzianych, niedożywionych młodzików, którzy podążali za gladiatorami przez całe miasto. Trzymali się na dystans, lecz jak sądził Conan, czyhali tylko, aż cyrkowcy wystarczająco opiją się winem i innymi mocniejszymi trunkami, by spokojnie można było ich ograbić. Dath podszedł do owych rzezimieszków i zignorowawszy powitalne obelgi i impertynencje, wdał się z chłopakami w długą, prowadzoną przyciszonymi głosami dyskusję.

Niebawem wszyscy razem gdzie się oddalili.

Conan niezbyt się tym przejął. Dath pasował do swych nowych znajomych wiekiem i usposobieniem, a na dodatek czuł się w Luxurze bardziej swojsko aniżeli Conan czy Roganthus. Spryt i znajomość stygijskiego pozwalały mu należycie o siebie zadbać.

Prawdopodobnie udało mu się przekonać gromadkę młodocianych rzezimieszków, by zmienili obiekt swego zainteresowania.

Zresztą żaden z cyrkowców nie miał przy sobie broni z prawdziwego zdarzenia, niczego oprócz długich na stopę sztyletów. Conan postanowił, że musi zachować ostrożność i nie dozwolić, by nadmiar alkoholu zmaćił mu zmysły.

Gdy tak rozważał sytuację, zaczepił go istny szczur nabrzeżny, jeden z tych, którzy podpici czyhali na okazję u wejścia do gospody.

Pólnagi, potężny Stygijczyk wyglądał, jakby mógł jedną ręką holować barkę do Khemi lub dotrzeć tam samemu wplaw, i to bez odpoczynku. Obdarzony dobrym słuchem portowy tragarz włączył się do rozmowy przy szynkwasiu.

— Namphecie, od tych historii o twoich wyczynach na arenie zbiera mi się już na mdłości! Co do was, cudzoziemcy, musicie wiedzieć, że są wśród nas tacy, co z łatwością mogliby wam dorównać i pokazać równie udatne sztuczki. Ba, może nawet byśmy was prześcignęli, gdyby nie to, że wszyscy paramy się uczciwą pracą!

Roganthus, kiwając się leniwie nad swoją skorupą, zareagował pierwszy. Nie miał zwyczaju puszczać obrazy płazem.

— Hotaj człowieku! Nie bądź taki szybki w wydawaniu sądów! Może nie wiesz, że jesteśmy zawodowcami? Osiągnęliśmy mistrzostwo w naszej sztuce. Niewielu jest w stanie pójść z nami w zawody...

— Ja tam nie widzę powodu, żeby się was bać. — Stygijczyk zerknął porozumiewawczo na swego kompana, wyższego i chudszego, lecz o równie szpetnej twarzy, który stał tuż za nim, szczerząc w drwiącym uśmiechu wielkie, koślawe zębiska. — Podnosisz ciężary, czy się mylę?

Ja w jeden dzień dźwigam więcej, wyładowując barki na porannej szychcie, niż ty podczas letniego objazdu śmierdzących shemickich wioch! — Beknął głośno. — Macie się za wojowników? Cóż, Lufar i ja stoczyliśmy więcej pojedynków tu, na nabrzeżu, niżli dziesięciu wziętych razem natartych oliwą, napuszonych szczeniaków na piasku areny! I jesteśmy gotowi pokazać wam, jak to się robi!

Conan zmienił już pozycję, aby, gdy rozpęta się burda, jednym susem wypaść z oberży, gdzie trudno było o swobodę ruchów, na znacznie po temu dogodniejszą ulicę. Tragarze stanęli ławą, próbując zastąpić mu drogę, lecz nagle, zgoła nieoczekiwanie, nadeszła odsiecz.

Dath wraz z ulicznymi rozrabiakami ponownie pojawił się w tawernie. Przybysze otoczyli pijanych awanturników. Bez jednego choćby ostrzeżenia padły ciosy, zadane wprawnymi rękami. Conan nie potrafił stwierdzić, czy natrętów potraktowano gołymi pięściami, mosiężnymi kastetami, czy może nożami.

Tragarze przez chwilę stawiali opór, na próżno jednak. Koniec końców podali tyły, wypadając w pośpiechu przez otwarte na oścież drzwi tawerny. Zwycięzcy gonili ich jeszcze przez chwilę, racząc kopniakami na odchodne, po czym wrócili wśród wybuchów okrutnego, gardłowego śmiechu.

— Skuteczne działanie — pochwalił Conan, który nie zdołał w tej utarczce zadać nawet jednego ciosu. Z niejakim podziwem spojrzął na Datha i czwórkę jego nowych przyjaciół. —

Wy również moglibyście bez wysiłku nabić sobie kabzy na arenie.

— Jeżeli tylko będę miał tu coś do powiedzenia, zostaną wystawieni do walk — odparł szczerze Dath. — To dobre, twarde chłopaki.

— Wciąż uważam, że pokonałbym tych łobuzów bez niczyjej pomocy — burknął smętnym tonem wyraźnie zawiedziony Roganthus.

— Lepiej wracajmy, na wypadek gdyby wrócili z portową strażą. Jest ich niewielu, lecz potrafią dać się niełicho we znaki. — Jemain, który najwyraźniej sprowadził Datha do oberży, jął ponaglać cyrkowców do wyjścia.

Opróżnili zatem kubki i ruszyli z powrotem. Było ich teraz ośmiu, więc z łatwością mogli dać radę nawet bandzie opryszków. Kiedy zbliżyli się do bram miasta, Dath rzucił radosnym tonem:

— Powiadam ci, Conanie, bardzo jestem rad, że przybyliśmy do Luxuru. Właściwie już czuję się tu jak w domu!

VIII

TRENING PRZED WALKĄ

W ciągu kolejnych dni po debiucie na arenie Imperium Cyrku, artyści starali się możliwie najlepiej poznać uroki Luxuru i doszlifywać swe umiejętności. Commodorus za pośrednictwem heroldów i glinianych tabliczek na murach, gdzie wywieszano ogłoszenia publiczne, zapowiedział kolejny występ trupy Luddhew. Czasu na przygotowania pozostało niewiele.

Specjalne widowisko zaplanowano jako wstęp do tradycyjnych obchodów Dnia Bast.

Więści o zbliżających się igrzyskach wywołały przyjemne poruszenie wśród mieszkańców miasta.

Prace nad przystosowaniem amfiteatru przyspieszyły tempa.

Nawet Conan, dając się ponieść ogólnemu nastrojowi, zaczął się szykować, by sprostać wymaganiom, jakie obowiązywały na arenie. Kiedy nie trenował na placu ćwiczeń, gdzie z zapamiętaniem siekł wieloelementowe manekiny, potykał się z żywymi przeciwnikami. Byli to częstokroć specjalnie przeszkoleni niewolnicy, wprawieni w posługiwaniu się drewnianymi mieczami i tarczami. Potrafili zwinnie unikać ciosów zadawanych częstokroć zbyt silnie i gorliwie.

Conan jednak najbardziej lubił pracować z gladiatorami z prawdziwego zdarzenia. Mógł wówczas uważnie obserwować ich ruchy i wyczucie czasu. Zwykle ćwiczył z Mistrzem Miecza Muduzayą, ucząc się respektu dla czarnego wojownika, specjalisty od sprytnych zwodów i szybkich, bolesnych kontr zadawanych drewnianą atrapą miecza. Podczas tych treningów Cymmerianin zarobił moc siniaków i zadrapań, choć trzeba przyznać, że odgryzał się zawzięcie. Jego zdaniem była to niezbyt wygórowana cena za tak skuteczną naukę. O przyjacielskiej zażyłości obu mężczyzn mogło świadczyć, że ich trening, mimo iż pozostawiał na ciele liczne ślady, nigdy nie przerodził się w prawdziwą walkę na śmierć i życie.

Wiezorami, po całodniowej harówce, gladiatorzy odwiedzali niechlubne przybytki otaczające tawernę Nampheta na nabrzeżu kanału. Mimo iż dzielnica nie wyglądała zachęcająco, gdyż wokół panowały brud, smród i nędza, oberża wydawała się całkiem przytulnym miejscem. Zaspokajano tu wszelkie potrzeby cudzoziemców, od flisaków po poganiaczy wielbłądów. W dzielnicy portowej każdy mógł przeplukać gardło swym ulubionym rodzimym trunkiem i poplotkować z przyjezdnymi w znanych sobie dialektach.

Karczma stała w tak dobrym punkcie, że cyrkowcy nie byli tu, jak w mieście, nękani przez nie dających im spokoju wielbicieli.

„Barka Rozkoszy” nie należała może do wytwornych lokali, lecz w końcu prowadził ją dawny gladiator. Wieśniacy czy robotnicy z nabrzeża mieli do wyboru albo otwarcie rzucić wyzwanie klientowi tawerny, lub też pozwolić mu w spokoju sączyć zamówiony napitek.

Niektórzy z gladiatorów, zwłaszcza zaś artyści cyrkowi, z pełną premedytacją żyli na cudzy koszt. Luddhew, Bardolph i Roganthus skwapliwie pozwalali się zapraszać na wino i ochoczo brali udział w ucztach wyprawianych co wieczór przez bogatych Koryntiańczyków i miejskich notabli. Conan przypuszczał, że Sathilda w skrytości ducha również pragnęła takich rozrywek i wyróżnień, lecz póki co musiała się zadowolić towarzystwem gromady klnących szpetnie wojowników. Podczas gdy Sathilda i Conan wypuszczali się na całonocną wyprawę do dzielnicy rozrywek, Qwamba strzegła ich miłosnego gniazdka.

— Wiesz może, jakie atrakcje przewidziane są na igrzyska? — Conan zwrócił się do Ignobolda, jednego ze starszych gladiatorów, kiedy wspólnie pili u Nampheta. — Znów dzikie bestie lub pojedynki jeden na jednego? Z pewnością nie znajdą już drugiej grupy nieświadomych cudzoziemców, którą mogliby zwabić podstępnie na arenę.

Ignobold był smagłym, czarnobrewym Ophirczykiem. Ongiś przejeżdżał z karawaną przez Luxur i miasto przypadło mu tak do gustu, że został.

— Słyszałem, że pojмали horde rozbójników z Khauranu — mruknął nachylając się nad skorupą z arrakiem. — Dezerterów... Możesz się spodziewać, że tym razem to właśnie ich napotkanie przy jamie śmierci.

— Doprawdy? — Conan odwrócił się do Sathildy. — Khaurańczycy są dobrymi wojownikami

— poinformował ją szczerze. — Powinni okazać się godnymi przeciwnikami.

Jednym z wielbionych przez miejskie tłumy bohaterów był noszący bitewne blizny Halbard Wielki. Wojownik ten włączył się do rozmowy.

— Mam walczyć z Saulem Silnorękim. Zakłady są już wyjątkowo wysokie.

Rywal, o którym wspomniał, jeden z młodszych gladiatorów, nie pojawił się tego wieczora w gospodzie. Mimo to jednak, zwracając się do grupki siedzących najbliżej gości, Halbard mówił konfidencyjnym, mrukliwym szeptem.

— Nie lękam się tego pojedynku ani trochę. Silnoręki to popędliwy, nieokrzesany młodzik, brak mu doświadczenia i opanowania.

Wzruszył masywnymi ramionami i pociągnął szorstkimi, pokrytymi stwardniałą skórą palcami za postrzępiony koniuszek ucha.

— Aż tu ten dwulicowy drań, Zagar, ten tak zwany łowca talentów, podchodzi do mnie nie dalej

niż wczoraj i proponuje, żebym przegrał walkę. Odniesiesz lekkie obrażenia, mówię, i upadniesz, udając, że jesteś ciężko ranny. Zostaniesz oszczędzony, zapewnił mnie, i potajemnie otrzymasz solidną sumkę. — Halbard zmarszczył brwi i pokręcił głową z posępną dezaprobatą.

Słuchając uważnie, Conan nachylił się ku gladiatorowi.

— Zatem odmówiłeś? — zapytał.

— Odmówiłem? Ha, rozkwaśliłem mu nos i naciągnąłem ten jego jedwabny fez głęboko na uszy! — Halbard potrząsnął wielką jak szynka pięścią i walnął nią w pokrywę beczki. — Nie zaprzepaściłbym swojej sławy. Za żadną cenę! Moje dobre imię świadczy o mnie, to mój największy skarb. „Zagarze powiedziałem — lepiej postaw swoje parszywe pieniądze na mnie, bo będę walczyć z Saulem Silnorękim i dołożę mu z całą pewnością”. Krążą jednak słuchy, że pojedynek może zostać odwołany, choć ja jako żywo się nie wycofam. Chciałbym, aby doszło do tej walki.

Wargi wojownika wykrzywił gniewny grymas, pokryta bliznami twarz zmarsowiała.

Muduzaya, siedzący na sąsiedniej beczce, uważnie przysłuchiwał się słowom Halbarda, a teraz wtrącił się do rozmowy.

— Miej się na baczności, stary durniu. Ci, co sterują zakładami, często próbują wpływać na wynik pojedynków. Są w stanie zdyskredytować dobrego wojownika tylko po to, by zyskać na urządzanych przez siebie zakładach. Gdyby im na to pozwolono, kierowaliby triumfami i upadkiem gladiatorów z równą łatwością, jak żongler manipuluje swymi maczugami. —

Potężną dłonią klepnął przyjaciela po ramieniu. — Czekaj cię kilka ciężkich pojedynków, jeżeli będziesz chciał ugruntować swą pozycję.

— To prawda — potaknął Conan, czym sprawił, że mężczyzna popadł w jeszcze głębszą melancholię. — Bądź czujny i niech ci szczęście sprzyja. Sądzę, że tak wielbiony i kochany wojownik jak ty będzie mógł spokojnie przejść w stan spoczynku, by plawić się potem w błogiej beczynośności i napawać zdobytym bogactwem.

Conan czekał na potwierdzenie swych słów, ale pozostali kompani milczeli. Cisza była tak podejrzana, że barbarzyńca, chcąc nie chcąc, musiał zadać cisnące mu się na usta pytanie.

— Czyż nie jest tak? Czy najlepsi spośród gladiatorów Luxuru nie dożywają tu swych dni w przepychu i dostatku lub, jeśli taka ich wola, nie powracają ze sławą i majątkiem w rodzinne strony?

Mówił cicho, by jego słowa nie doszły do Nampheta, który jednocześnie napełniał dzbany i starał się zagarnąć podawaną mu przez klientów zapłatę. Jako że szynkarz miał tylko jedno oko i rękę, nie było to proste.

— W samej rzeczy, taki właśnie miałem zamiar — odezwał się w końcu Muduzaya. —

Chciałem odłożyć sobie pewną sumkę i przejść po kilku latach na zasłużony odpoczynek, o ile rzecz jasna Set będzie mi sprzyjał. — Wzruszył przepraszająco ramionami. — Musisz jednak pojąć, Conanie, że my, gladiatorzy, nie jesteśmy zbyt roztropni i pieniądze raczej się nas nie trzymają. Gdyby było inaczej, nie trudnilibyśmy się walką na arenie, lecz liczyli srebrne szkle po świątyniach.

— Gwoli jasności — wtrącił Ignobold — wiedz, że każdy z nas pragnie zachować twarz, musi więc być hojny dla przyjaciół czy konkubin. Trudno wieść cnotliwy żywot z pieniędzy, na które zapracowujemy ryzykując własne życie. Uwierz mi! A ci, co przyjmują zakłady? Jeśli chcesz cokolwiek im uszczknąć, zarobić na nich choć parę miedziaków, musisz być wielkim wróżem lub jasnowidzem.

— Prawdę mówiąc — wtrącił posępnie Muduzaya — nie przychodzi mi na myśl ani jeden gladiator, który pozostałby w Luxurze na dłużej. Większość wyjechała do Koryntii albo do słynnych miast hyboryjskich. No, rzecz jasna, sam Commodorus mieni się wielkim wojownikiem areny. Był nim ponoć przed wieloma laty. Z reguły jednak w naszym fachu mało kto zna się na robieniu interesów z prawdziwego zdarzenia.

— To dlatego roztropny gladiator bierze sobie doradcę finansowego — wtrącił z końca stołu nieporządny jak zwykle Jemain. — Jeśli chcesz, Muduzayo, mogę zostać twoim.

Conan był bliski zaangażowania chłopaka, lecz po namyśle stwierdził, że zuchwały uliczny urwis mógł okazać się równie mało uczciwy jak Zagar i cała reszta.

Spośród wszystkich gladiatorów i cyrkowców najlepszym zmysłem do interesów obdarowany był Dath. Młodzieniec coraz rzadziej pojawiał się w towarzystwie członków trupy. Rzadko trenował, mimo iż dwaj sprowadzeni przez niego uliczni rzezimieszkowie, Sistus i Baphomet, pojawiali się na placu ćwiczeń regularnie i pracowali z zapamiętaniem. Ci urodzeni wojownicy z dzielnicy nędzy błyskawicznie osiągnęli mistrzostwo w cyrkowych sztuczkach. Dath, który za pośrednictwem Memtepa wciągnął ich do programu — miał bowiem z eunuchem bardzo dobre układy — zajmował się tymczasem jakimiś innymi sprawami.

Odwiedzając z Conanem i przyjaciółmi znajomą tawernę, wypijał jedno wino lub arrak i zniknął gdzieś w towarzystwie podejrzanych typów. Bardzo szybko udało mu się zaprzyjaźnić z różnymi szumowinami. Ludzie owi, jak wkrótce miało pokazać życie, potrafili być świetnymi kompanami, ale i niebezpiecznymi wrogami.

Zdarzyło się to pewnej nocy, gdy wracali do swych chat mrocznymi już ulicami miasta.

Conan, Dath, Baphomet, Sistus, Halbard, Sathilda i trzy lub cztery towarzyszące im kobiety tłoczyli się na rydwanach mknących przez niebezpieczną o tej porze dzielnicę. Wtem kilka przecznic od otwartej na oścież miejskiej bramy drogę zagrodziła im gromada widmowych postaci. Napad musiał zostać uprzednio zaplanowany, bo kiedy konie z głośnym rzeniem stanęły

dęba i rydwany zatrzymały się, około tuzina odzianych w lachmany rabusiów wypadło z okolicznych zaułków. Napastnicy ściskali w dłoniach miecze, topory i palki.

Dath, prawdopodobnie mniej pijany od pozostałych, pospiesznie wydał rozkaz:

— Utworzyć kwadrat, plecami do siebie. Zostawcie rydwany, im chodzi o nas!

Conan wiedział, że chłopak ma rację. Gdyby w ich zaprzęgu znajdowały się rumaki bojowe, zapewne zdolaliby przebić się przez czeredę napastników. Do rydwanów jednak zaprzężono zwykle konie pociągowe, a jedyną broń ich pasażerów stanowiły krótkie mieczyki i sztylety.

Barbarzyńca, zajmując miejsce w szeregu, wepchnął Sathildę za siebie. Wówczas usłyszał, jak Dath, wyjąwszy spod płaszcza drewnianą piszczalkę, zadał w nią trzykrotnie.

— Utrzymać szyk — rzucił chłodno Dath, a ton jego głosu uspokoił nieco pozostałych, —

Powstrzymajcie ich tylko jak długo się da, ale bez przesadnego bohaterstwa. Nie ma tu publiczności, która chciałaby was podziwiać.

Mogło wydawać się dziwne, że prosty młodzik, uliczny rozrabiaka, wydaje rozkazy wytrawnym wojownikom. Niemniej fakt ten poszedł rychło w zapomnienie, napastnicy bowiem zaatakowali. Posypały się kamienie. Ostry kamień trafił w ostrze miecza Conana i odbiwszy się, ugodził Cymmerianina w bark, powodując chwilowe odrętwienie i rozcinając skórę do krwi. Halbard, trafiony dwukrotnie w czoło, zatoczył się i zaczął potrząsać kudłatą głową, by odzyskać ostrość widzenia i przytomność umysłu. W chwilę potem bezszelestni napastnicy ruszyli ławą, a podpici, kiepsko uzbrojeni gladiatorzy musieli się niemało natrudzić, stawiając im opór. Conan ścisnął mocniej w dłoni rękojeść wiernego sztyletu, po czym jednym pchnięciem powalił nacierającego nań wroga. Wiedział, że musi pozostać w szyku, a ruchy krępowała mu świadomość, iż w ciemności mógł zranić omyłkowo któregoś ze swych kompanów.

Dath walczył najlepiej. Był z całej grupy najprzytomniejszy i błyski jego dwóch morderczych toporów, tnących ciała i kości i powracających dzięki długim rzemieniom do swego właściciela, dyktowały tempo walki.

W mrocznej ulicy niósł się szczepek metalu, chrzęst i jęki rannych, a także stłumione przekleństwa i parskanie spłoszonych koni. Od czasu do czasu skrzypnęła gdzieś uchylana okiennica i pojawiał się nikły błysk światła. Nikt jednak nie wzywał straży, by zakończyć ów ponury pojedynek. Oszołomieni, poturbowani gladiatorzy zmuszeni byli skupić się w jeszcze bardziej zbitej gromadce. Nagle rozległ się dźwięk, który poruszył wszystkich. Od strony bram miasta dobiegł tupot kroków zwiastujący kolejnych chętnych do boju. Zdyszani przybysze, klnąc na czym świat stoi, rzucili się na watahę rabusiów.

Napór atakujących zelżał w jednej chwili. Conan i jego towarzysze mogli złamać szyk i rzucić się w pościg za wrogami. Niestety, nie sposób było odróżnić jednej bandy obdartusów od drugiej. Jedyne znaczący szczegół, który Conan zarejestrował niejako walka na ręce,

rozbijanie czerepów. — Conan spojrzal krytycznie na grupe oberwancow czujajacych przy drzwiach. —

Nie pojmuje, czego brak twoim rzezemieszkom, a co posiadaja inni podobni im hultaje. Dath usmiechnal sie.

— Masz racje. Wszystkie te mozliwosci istnieja i tutaj, a takze inne, jak branie lapowek czy kradzieze przy budowach swiatyn, mauzoleow i akweduktow. Musisz jednak pojac, ze Imperium Cyrku jest najwazniejsze i tutejsi mieszkancy to respektuja, a przynajmniej udaja, ze respektuja. Bo taki juz jest Luxur. — Rozesmial sie. — Choc jestem cudzoziemcem, kocham to miasto, jakbym sie w nim urodzil!

— Przyjaciol juz tutaj masz, to pewne. Dzielnie pospieszyli nam na pomoc tamtej nocy.

Conan spojrzal na grupe stojacych nieopodal osilkow. Wyraznie strzegli swego przywodcy.

— To prawda. Sa gotowi stanac w naszej obronie, gdyby ci ze Wschodniej Dzielnicy ponownie chcieli nas zaatakowac. Co prawda, na razie konflikt zostal zaegnany. — Dath obrzucil spojrzeniem ciasne wnetrze tawerny. — Moze kiedyś poszukamy rozrywek w bardziej ekskluzywnej czesci miasta?

Z uwagi na niedawna zasadzke Conan i Sathilda podrozowali teraz zwykle zbrojnie i pod straza. Nie padli juz wiecej ofiara ataku, choc slyszeli plotki o kolejnych starciach miedzy czlonkami miejskich band. Jednakze, przemierzajac kolejne kwartaly miasta, czuli na sobie spojrzenia nie zawsze przyjazne i pelne zachwytu.

Spotykali tez i miolownikow areny. Zwlaszcza jeden z nich wzbudzil w Cymmerianinie szczegolne zainteresowanie. Byl to wytworny wielmoza z polnocy nazwiskiem Udolphus, ktory slynal z rozwiaglego trybu zycia. Szukajac uciech, czestokroć odwiedzal z dwoma swymi towarzyszami i zarazem straznikami oberze Nampheta. Jako koryntianski szlachcic, Udolphus niezbyt pasowal do tego miejsca. Swym halaslwym zachowaniem i pijaanstwami wyroznil sie wsród tlumu gości. Niebawem zacyal nadmiernie interesowac sie gladiatorami, a w szczegolnosci Sathilda, aczkolwiek Conan, widzac reakcje swej przyjaciolki na gesty czarna brode Koryntiansczyka i jego obwisly kaldun, nie uznal Udolphusa za groznego rywala.

— Cóz, piekna panienko — szlachcic zwrócił sie do akrobatki z dwornym uklonem — jesteś gotowa dac godny występ na arenie Cyrku? A ty, potężny Zabójco — odezwal sie do Conana, ktory stanal nad nim — czujesz narastajace pragnienie walki? Augurowie wywrozzyli z wnetrznosci pomyslnosc dla jutrzejszych faworytow. Przynajmniej tak mi mowiono. Jesteście w stanie poradzić sobie z oddzialem khaurańskich renegatow?

— Khaurańska jazda to dobrzy wojownicy — odparl szczerze Conan. — Nie moge sie juz doczekac spotkania z nimi.

Sięgnal po swój arrak, by uniknac dalszych pytan.

— Rozumiem — mruknął z uśmiechem Udolphus. — Jak prawdziwy artysta nie chcesz wiele mówić o zbliżającym się występie. Ale nieważne, zdaje mi się, że dasz sobie z nimi radę. Mam nadzieję, że jesteś roztropny. Wiesz, kiedy możesz zyskać łatwe zwycięstwo, i potrafisz wykorzystać sytuację. — Ujął Conana za łokieć i ścisnął palcami twarde, sprężyste ciało barbarzyńcy. — Dalejże, usiądź tu. Co sądzisz o Commodorusie, tym żalonym uzurpatorze mieniającym się władcą? Czy tak jak wielu w tym mieście uważasz, że powinien zostać obalony?

Conan milczał, a w duchu żałował, że wybrał miejsce na wysokiej beczce. Próbował zachować niewzruszony wyraz twarzy i w końcu dla odwrócenia uwagi zaprosił Sathildę, by usiadła mu na kolanach. Niewiele wiedział o Commodorusie i wcale nie pragnął przyłączyć się do grona spiskowców knujących w celu obalenia tyrana.

Jemain jednak, który zaczął pojawiać się co wieczór w tawernie i zatruwał Conanowi życie, wydawał się szczerze słowami szlachcica poruszony. Wlepil zachwycony wzrok w Udolphusa, aż w końcu Koryntianin stracił cierpliwość.

— Zamknij usta, chłopcze, zanim wypłyną ci przez nie wszystkie myśli — upomniał obdartusa. — Dalejże, weź to i zmiataj stąd, tylko szybko! — Sięgnawszy w fałdy togi, wyjął brzęczący mieszek i cisnął chłopakowi. — Gdybyś wiedział co dla ciebie dobre — zawołał jeszcze za nim — nie przeszkadzałbyś starszym, gdy rozmawiają o interesach.

Kręcąc z dezaprobatą głową, Udolphus odwrócił się do swoich nocnych znajomych.

— Cóż za utrapienie z tym Jemainem, prawda? Jak więc mówilem, niektórzy uważają, że nasz tyran Commodorus to wielki bufon puszący się i mizdrzący przed tłumem mieszczuchów.

Pozuje nawet na byłego gladiatora. — Szlachcic przerwał i pociągnął łyk arraku. — Ale z drugiej strony ma swoich popleczników w szeregach armii i nie tylko. Są tacy, co uważają, że długo nie pozostanie tyranem, lecz rzuci wyzwanie zwolennikom dawnego porządku i kościołowi.

Obwoła się imperatorem. Wielu jest naiwnych, którzy by go w tym chętnie poparli.

Udolphus kontynuował swój pijacki monolog i nie bacząc na nic, dzielił się z barbarzyńcą najbardziej niebezpiecznymi plotkami i opiniami. Pytał też o zdanie innych gości, lecz niemal nie zwracał uwagi na ich ostrożne odpowiedzi. Sam natomiast paplał w najlepsze i bez zahamowań. Dwóch całkiem trzeźwych strażników wyglądało na nie lada strwożonych słowami swego pana.

— A co z pojedynkami jeden na jednego, które zaplanowano na jutro? — ciągnął Udolphus niezmordowanie. — Nawet nie ustalono jeszcze zakładów. Wątpię, czy w ogóle wiedzą, kto i z kim ma walczyć. Rzekomo miał mieć miejsce pojedynki pomiędzy wielkimi mistrzami, ale z

jakiegoś powodu nie został jak dotąd ogłoszony.

— Nic mi o tym nie wiadomo — stwierdził Conan. — Mimo to, gdybym był tobą, wstrzymałbym się przed stawianiem dużych sum. Przyjmujący zakłady nie grzeszą, niestety, uczciwością.

Cymmerianin nie mógł się powstrzymać, by nie napomknąć o tych oszustwach swemu rozmówcy. Wszak była to jedna z niewielu sekretnych informacji, którymi dysponował.

Jednakże nazajutrz również nie zapowiedziano oczekiwanej przez tłumy walki. Sprawę skomplikował — lub może uprościł — smutny incydent, który wydarzył się tego dnia wczesnym rankiem. Przed bramą Imperium Cyrku znaleziono ciało Halbarda zwanego Wielkim. Gladiatora, jak wszystko na to wskazywało, zamordowali grasujący w mieście złodzieje.

IX

KRWAWY SPORT

Dzień, w którym miało odbyć się widowisko, wstał pogodny i słoneczny. Tłumy gromadziły się od rana w cieniu zachodniego muru stadionu. Ludzie kupowali gorącą herbatę i bułki od ulicznych sprzedawców, szeptali i zakładali się między sobą, dyskutowali o mających się odbyć pojedynkach. Zabójstwo Halbarda utrzymywano w sekrecie, by uniknąć zamieszek.

Ciało gladiatora przewieziono na zakrytym wozie, korzystając z tylnego wejścia na arenę.

Po mniej więcej dwóch godzinach, gdy oczekujący tłum stopniowo wypełnił ulicę przed Imperium Cyrku, otwarto zewnętrzne bramy. Między budkami biletowymi i wciąż zagrodzonymi kratą tunelami wiodącymi ukośnie pod górę, ku rzędom siedzeń, kwitł w najlepsze hazard. Podejrzani osobnicy starający się na różne sposoby uszczknąć choć kilka miedziaków z kies spragnionych mocnych wrażeń notabli, rozwijali ożywioną działalność. Tu właśnie na zdobionym złotymi frędzlami i magicznymi symbolami kobiercu klęczała Jocasta i przepowiadała za pomocą szklanej kuli wyniki dzisiejszych pojedynków. Za szerokim stołem siedział Bardolph zręcznie manipulujący trzema kartami i kośćmi. Tym, którzy zdecydowali się wnieść słoną opłatę, pokazywano czarną panterę i tresowanego niedźwiedzia. Wysoko w górze zaś, na linie i trapezach, dawali pokaz swych mistrzowskich umiejętności akrobaci z Sathildą na czele. Ogółem trupa Luddhew spisywała się całkiem nieźle, ściągając sporą gromadę spragnionych milego oku widowiska i zarabiając przy tym niemałą sumkę w srebrze.

Conan, stojąc na szczycie trybuny, wpatrywał się przez chwilę w gibką Sathildę. Na uniesionych ku górze twarzach pospólstwa dostrzegł podniecenie i żądzę krwi. Widzowie ciskali brzęczące monety hojnie i nonszalancko do odwróconego tamburynu Jany, nakłaniając okrzykami akrobatkę do wykonywania coraz bardziej karkołomnych ćwiczeń.

Gdy tarcza słońca przesunęła się wyżej na niebie, z pobliskich willi przybyły bogato zdobione, kapiące złotem rydwany najznamienitszych dostojników. Bogatym wielmożom nie godziło się tłoczyć i przepychać do wejścia wśród plebsu. Conan obserwował zamożnych koryntiańskich kupców, szaro odzianych kapłanów i oficerów armii kroczących w towarzystwie strojnie ubranych kobiet, otoczonych eskortą sług i adiutantów.

Naraz na arenie poniżej zagrzmiała krótko trąba. Był to tradycyjny sygnał, by gladiatorzy zaczęli szykować się do występu.

Przygotowania te nie zajmowały wiele czasu. Conan postanowił nie przywdziewać zbroi, a jedynie mający chronić genitalia kilt ze stalowych liści. Zdecydował się też na natarcie całego ciała, wraz z włosami, grubą warstwą oliwy, by móc wyslizgnąć się przeciwnikowi z rąk i uniknąć poważniejszych obrażeń. Służący nacierali wojowników oliwą z glinianych dzbanów i pomagali im zamocowywać pancerze. Memtep odnalazł Conana i zmusił barbarzyńcę do włożenia szerokoskrzydłego metalowego hełmu, zapewniając, iż przyda się on bardziej niż stalowa przepaska.

Na placu ćwiczeń w ciszy i powadze przygotowywało się do walki około dwudziestu gladiatorów. Przed widowiskiem nawet przyjaciele jak Ignobold, Roganthus i Muduzaya mieli sobie niewiele do powiedzenia. Nagle rozległ się dźwięk trąbki, sygnał do otwarcia wrót amfiteatru. Wnet dały się słyszeć inne odgłosy, szuranie tysięcy stóp po kamieniach i hałaśliwe pokrzykiwania. Każdy z widzów usiłował w próżnym wysiłku znaleźć dla siebie pośród ciżby najlepsze miejsca do oglądania igrzysk.

Hałas wzmógł się, wibrując wśród kamiennych murów budowli. Zdawało się, że drży nawet ziemia pod nogami. Po chwili jednak znowu zagrały trąbki i rozległ się śpiewny głos mistrza ceremonii. Gladiatory wymaszerowali z głównego tunelu i ustawili się w szeregu, by złożyć przysięgę przed walką. Z okazji igrzysk arena została przebudowana. Jej powierzchnia była gładka jak stół i wysypana świeżym piaskiem. Gladiatorów powitało oślepiające słońce i ogłuszający ryk. Tłum widzów, których liczba na trybunach wciąż narastała, zgotował

bohaterom zbliżającego się widowiska owacyjne przyjęcie. Naraz wszyscy umilkli. Krótki, władczy dźwięk trąbki obwieścił następny punkt programu. Jeden z najwyższych rangą miejskich wielmożów miał wygłosić mowę.

— Obywatele Luxuru. Witam was na tych szczególnych igrzyskach. Mam zaszczyt zapowiedzieć niezwykle spektakl, zorganizowany na cześć wielkich bohaterów, zarówno tych nowych, jak i pamiętanych z dawien dawna, którzy zrosili naszą arenę swym potem i świętą krwią. Z prawdziwą przyjemnością witam licznie przybyłą publiczność i cieszę się, że aż tylu widzów postanowiło cieszyć się z nami tym uroczystym dniem.

Słowa te wygłosił nie kto inny, tylko sam tyran, dumny Commo — dorus, stojący swobodnie na podwyższeniu przy końcu areny. Na ramionach władca miał udrapowany śnieżnobiały płaszcz ze złotym obramowaniem. Luźne fałdy nieznacznie tylko skrywały potężne, muskularne ciało. Spod cienkiej tkaniny przebierał rynsztunek bojowy, wysokie nagolenniki, spiżowy napierśnik i spódniczka z metalowych lusek. U boku błyszczał krótki mieczyk.

Niewątpliwie Commodorus założył zbroję, by podkreślić fakt, że i on sam był kiedyś gladiatorem.

— Co się tyczy szczegółowego planu dzisiejszych atrakcji, szczerze żałuję, że nie został on wcześniej podany do publicznej wiadomości. Mam nadzieję, że mimo to wszyscy zdołaliście postawić zakłady na tych uczestników, których uważacie za najgodniejszych miana zwycięzców. Wprowadzone do programu zmiany, stwierdzam ze smutkiem, wynikły wskutek naglej śmierci jednego z naszych najdzielniejszych herosów, bohatera areny znanego jako Halbard Wielki.

Słowa te wywołały zbiorowy jęk, nie tyle smutku, ile zaskoczenia wywołanego tą niespodziewaną zmianą.

Conan czekający z innymi gladiatorami w wątej namiastce cienia pod wschodnim murem areny

wykorzystał okazję, by zlustrować trybuny, na których widzowie zaczęli się już uspokajać. Najnowszym usprawieniem, jak stwierdził, był kamienny taras oddzielający położone niżej sektory od miejsc dla uprzywilejowanych po zachodniej stronie owalnego amfiteatru. Zerkając w górę, Conan wypatrzył znajome postacie z trupy Luddhew, wśród nich przyodzianą w obcisły kostium Sathildę. Akrobatów zaproszono, by podczas głównej części widowiska dotrzymywali towarzystwa luksuskim dostojnikom. Tłum ponownie zamilkł, a Commodorus mówił dalej:

— Halbarda Wielkiego niewątpliwie będzie nam bardzo brak. Świętujmy jednak. Uczcijmy i doceńmy młodych, dzielnych wojowników, którzy nie tak dawno udowodnili swe umiejętności, a także wspaniałych magików, akrobatów i egzotyczne bestie z cyrku Luddhew.

Trupa ta przedłużyła pobyt w Luxurze, by móc umilać nam czas swymi popisami. Powitajmy ich wszystkich gorąco.

Władcy przerwała burza braw.

— Co więcej — kontynuował po chwili — mamy zaszczyt powitać dziś wśród nas szczególnego gościa. Chciałbym z całym szacunkiem przedstawić wielkiego człowieka, Wysokiego Prefekta Bulbulusa. Jak wiadomo, jest on honorowym obywatelem miasta, naczelnikiem straży miejskiej i administracji. Witaj, Bulbulusie!

Z jednego z foteli na balkonie podniósł się energicznie niski, przysadzisty mężczyzna. Miał

na sobie fioletową togę, a złoty grzebieniasty hełm chwiał się niepewnie na jego łysawej czaszce. Bulbulus sprawiał wrażenie raczej pełnego rezerwy biurokraty, aniżeli przedstawiciela władz państwowych. Nie próbował nawet przemawiać do rozkrzyczanego tłumu. Skinął tylko ręką i uprzejmie wskazał na Commodorusa.

— Rozpoczynajmy zatem nasze widowisko — ciągnął ten, kiedy Bulbulus wrócił na swoje miejsce. — Wpierw jednakże pragnę zapytać was, obywatele Luxuru, co sądzicie o uzbrojonych rozbójnikach? Mam na myśli cudzoziemskich dezenterów, którzy bogacą się łupiąc kupców podróżujących między Stygią i naszą ukochaną bratnią Koryntią. Co sądzicie o takich bandytach?

Opinia tłumu była jednoznaczna. Z trybun rozległ się grzmiący ryk. Towarzyszyło mu gniewne potrząsanie uniesionymi w górę pięściami.

— Czy sądzicie — zwrócił się znów do publiczności Commodorus — że którykolwiek z tych rabusiów, że jeden z tych tchórzliwych khaurańskich dezenterów mimo swej zajadłości jest w stanie pokonać mistrzów naszej areny? — Splótł ramiona na piersiach. — Zakładamy, że — tak jak miało to dotąd miejsce — jeżeli zwyciężą, będą mogli odejść wolno. Czy się zgadzacie?

Pytanie zostało niemal zupełnie zagłuszone, gdy widzowie jęli głośno pokrzykiwać, wymachując rękami. Niektórzy nawet poderwali się z siedzeń i mało brakowało, a wdarliby się na arenę powodowani żądzą krwi.

— Wystarczy — oznajmił Commodorus. — Uciszcie się, by Najwyższy Kapłan Nekrodias mógł odmówić modlitwę oraz inwokację na rozpoczęcie dzisiejszej uroczystości. Potem niechaj wyprowadzą więźniów!

Kiedy stary, łysy kapłan wyrecytował niezrozumiałą modlitwę w języku starostygijskim, na drugim końcu areny coś się zaczęło dziać. Wrota, przez które ongiś wkroczyła niczego nieświadoma trupa Luddhew, publiczność знаła jako Bramę Śmiałków. Otworzyły się one właśnie i z tunelu wyłoniła się grupa kiepsko uzbrojonych pieszych i konnych wojowników.

Byli to wysocy, prostonosi mężczyźni odziani w brudne, zlachmanione stroje khaurańskich górali. W ich ubiorach dominował odcień żółtobrazowy, barwa wojskowych mundurów.

Większość jeńców zachowała jeszcze jakieś fragmenty zbroi, choć zniszczonej i szerniałej.

Były to przede wszystkim helmy, tarcze, kolczugi, a w kilku przypadkach także rękawice i nagolenniki. Jediną broń Khaurańczyków stanowiły miecze i sztylety, brakowało typowego oręża jazdy — włóczni i luków. Zresztą spośród dwudziestki konnych tylko pół tuzina siedziało w siodłach. Konie, a raczej należałoby powiedzieć wychudłe, osowiałe chabety, wyglądały fatalnie. Kilka żwawszych spośród wierzchowców stąpało niepewnie. Sprawiały wrażenie, jakby nie były nigdy dosiadane. Wojownicy również nie prezentowali się najlepiej.

Wydawali się niedożywieni i sponiewierani, aczkolwiek już na pierwszy rzut oka po ich twarzach ogorzałych od słońca pustyni widać było, że to ludzie obeznani z walką, twardzi.

Znalazłszy się na arenie, utworzyli łamany szyk z konnymi ubezpieczającymi boki.

Gładiatorzy uczynili to samo. Wśród bohaterów Cyrku nie było jezdnych, niemniej na flankach ich formacji stanęły dwie kwadrygi. Do każdej wsiadło po dwóch gladiatorów, uzbrojonych w miecze i lance. Muduzaya i Roganthus zajęli miejsca w rydwanach, Conan wszelako wołał walkę pieszą, której przebieg znacznie łatwiej było mu kontrolować.

Gdy pojazdy bojowe szykowały się, by rozpocząć manewr zaczepny, w szeregach gladiatorów nastąpiło poruszenie. Wojownicy areny jęli krzyczeć, parskać i obrzucać obelgami swych przeciwników, a jednocześnie dla rozluźnienia mięśni kręcili mieczami młynki w powietrzu.

Khaurańczycy tymczasem cicho ruszyli naprzód niczym doborowy oddział wojska. Konni utrzymywali równe tempo z piechurami. Ujrawszy to Conan stwierdził, że tak jak przypuszczał, ma do czynienia ze świetnie wyszkolonymi żołnierzami.

Zapadła cisza. Tylko od czasu do czasu z trybun padał jakiś rozgorączkowany okrzyk zachęcający do walki. Wojownicy przegrupowali szeregi, mierząc się wzajemnie wzrokiem i wybierając przeciwników.

Nagle rozległy się trzaski bata i rydwany wyrwały do przodu. Khaurańczycy spięli konie i w

chwile potem oba szeregi piechurów z impetem ruszyły naprzód.

Zadźwięczała donośnie stal, padły pierwsze gniewne okrzyki. Konni zwarli szyki na obu flankach, ale dla rozpedzonych rydwanów nie stanowili godnej przeszkody. Khaurańcy, wprawnie zacieśnwszy szeregi, dzielnie wytrzymali atak gladiatorów, jednak okazali się bezbronni wobec mknących z turkotem rydwanów, których załoga uzbrojona była w miecze i włócznie. Jeden z wojowników areny rąbał mieczem, podczas gdy drugi ciskał z niedalekiej odległości oszczepami. Żadna piesza formacja nie wytrzymałaby takiego starcia. Niebawem górscy rozbójnicy znaleźli się w potrzasku. Atakowani z przodu i od tyłu, zmuszani byli do ucieczki lub ciągłego osłaniania się tarczami przed ciskanymi w nich oszczepami. Wkrótce też musieli ulec. Wyjący dziko gladiatorzy z impetem wdarli się w szeregi wroga.

Conan zaatakował śniadego wojownika o szerokiej twarzy i górnej wardze rozszczepionej starą, szpetną blizną. Khaurańczyk stał dzielnie, odbijając zardzewiałą stalową tarczą cięcia barbarzyńcy i odpowiadając ciosami swej zakrzywionej, długiej szabli. Walcząc z siodła byłby o wiele bardziej niebezpieczny, pomyślał Conan. Jeniec poruszał się zbyt wolno, być może był

wycieńczony długim marszem lub warunkami, w jakich go więziono. Szybkie, podstępne kopnięcie pod kolano sprawiło, że zachwiał się do przodu. Barbarzyńca szybko poprawił

uderzenie ciosem na odlew i trafiwszy Khaurańczyka w głowę, zaszedł go od tyłu, by jednym krótkim pchnięciem zakończyć jego żywot. Ledwie Conan zdążył złapać oddech, już miał na karku kolejnego przeciwnika. Rozbójnik na koniu pędził galopem w jego stronę. Cymmerianin z wysiłkiem wyszarpnął miecz z trupa, ale nim zdołał zaatakować, trwożliwy kawaleryjski wierzchowiec gwałtownie skręcił, unosząc khaurańskiego jeźdźca. Wojownik zaklął. Wbił

pięty w boki niechętnego zwierzęcia i uniósł miecz do ciosu. Conan dopuścił wroga bliżej, przykucnął, by tamten musiał wychylić się w siodle, i zmienacka rzucił się w jego stronę.

Grzywa wierzchowca musnęła twarz barbarzyńcy. W ułamku sekundy Cymmerianin wyprostował się, schwycił rozbójnika za nadgarstek i silnym szarpnięciem zwłókl go brutalnie z siodła. Khaurańczyk, trzeba mu to przyznać, nie poddał się. Przeturlał się po piasku kilka razy, nie wypuszczając miecza z ręki. Poderwawszy się z ziemi, natychmiast znów rzucił się na Conana, tnąc dziko na prawo i lewo.

Jego ciosom brakowało jednak siły. Conan uchylił się. Rozbójnik, biorąc szeroki zamach, zachwiał się na nogach. Zanim odzyskał równowagę, barbarzyńca przyskoczył doń i dobił

szybkim miłosiernym pchnięciem. Mimo panującego dokoła hałasu i zgielku, Conanowi wydawało się, że dosłyszał donośne okrzyki towarzyszące śmierci khaurańskiego jeźdźca.

Piskliwe wrzaski niemal zupełnie tonęły w powodzi zgielku, krzyków i szczęku broni.

— Conan! — wołali widzowie z trybun. — Niech żyje Conan Zabójca!

Ściągnawszy z głowy nieforemny hełm, Cymmerianin odpowiedział na wiwaty tłumu energicznym skinieniem. Długie czarne włosy zlepiał mu pot.

Walka miała się już ku końcowi. Khaurańczycy poszli w rozsypkę. Ci, co nie wpadli pod koła rozpędzonych rydwanów, ginęli od ciosów mieczy bezlitosnych gladiatorów. Jeźdźców spieszących na pomoc towarzyszom zabijano wraz z końmi lub strącano z siodeł, by następnie po dłuższym lub krótszym pościgu zarębać bez litości. Większość jeńców poległa w walce na środku areny. Dwóch tylko rzuciło broń i pobiegło w kierunku bramy, która, mimo iż błagali, krzyczeli i tłukli w nią pięściami, pozostała zamknięta. Wojownicy na rydwanach zajęli się tymi nieszczęśnikami i zamordowali obydwu zaledwie kilka kroków od radośnie wiwatujących tłumów.

Conan nie dobijał pokonanych. Rozglądając się czuł ogarniające go rozczarowanie.

Khaurańczycy na swym własnym terytorium byliby godnymi przeciwnikami, wspaniałymi żołnierzami. Tu wszelako, umęczeni po długiej, katorżniczej wędrówce w kajdanach przez pustynię i późniejszym rejsie rzeką, byli jedynie ludzkimi strzępami, wspomnieniem dawnych dumnych wojowników.

Walka okazała się tylko nieuczciwą inscenizacją.

Żaden z gladiatorów nie zginął. Żaden nie odniósł poważniejszych obrażeń niż powierzchowne, niegroźne draśnięcia. Gdy zjawili się czerwono odziani kapłani z hakami i wózkami, by wywieźć ciała zabitych, Conan i jego towarzysze ponownie ustawili się w szyku.

Wśród gromkich okrzyków i braw zajęli miejsce naprzeciw podwyższenia, gdzie siedział tyran.

— Wspaniale — oznajmił Commodorus, uspokajając gawieź uniesieniem dłoni. — Słuszny to wynik walki, niechybnie obmyślony przez bogów. A potwierdza on tylko umiejętności naszych wojowników. — Władczym gestem pozdrowił gladiatorów stojących przed nim z obnażonymi mieczami. — Chwała wam, bohaterowie Luxuru!

Radosne okrzyki, jakie się potem rozległy, i tupanie tysięcy stóp w kamienną posadzkę przewyższyły wszystko, co cyrkowcy słyszeli do tej pory. Hałas zatrzęsł całym amfiteatrem, aż piasek pod stopami gladiatorów zaczął wypryskiwać w górę niczym wrzątek z kociołka..

— A teraz coś łżejszego — dokończył Commodorus, kiedy umilkł gwar. — Nasz szacowny gość, prefekt Bulbulus, weźmie wraz ze mną udział w publicznym pokazie.

Znów rozległy się brawa i loskot stóp, a także głośnie okrzyki i pohukiwania. Najwyraźniej widzowie mieli już wcześniej do czynienia z podobnymi widowiskami i nie były one dla nich wielkim zaskoczeniem. W drugim końcu areny trwały już niezbędne przygotowania.

Wwieziono tam wielką rampę zejściową ze złożonymi poręczami i wyłożonymi dywanem stopniami. Dwudziestka niewolników ustawiała ją obok bramy znanej jako Brama Bohaterów.

Dzięki temu tyran i jego świta mogli zejść na arenę ze swej trybuny.

Tymczasem gladiatorzy podeszli do rzędu ustawionych pod murem stołów, gdzie czekali już niewolnicy z napojami i lekkimi przekąskami. Za pomocą nawilżonych gąbek posługacze zmywali pot, krew i piasek z ogorzałych ciał i pomagali wojownikom doprowadzić do porządku zbroje oraz oręż.

W miarę jak upał coraz bardziej dawał się we znaki, niektórzy z uczestników walk zrzucali pancerze i ciężkie skórzane kaftany, po czym jęli wylewać sobie na głowę wodę całymi kubłami. Działo się to przy wtórze pełnych podziwu okrzyków i westchnień. Zamożne mężatki i panny wychylały się przez barierki trybun, próbując zwrócić uwagę gladiatorów. Sathildy nie było widać. Conan miał nadzieję, że dostrzeżęła, iż ani on, ani Roganthus nie odnieśli w walce obrażeń.

Pośrodku areny, gdzie posługacze spieszenie zamiatali, przysypując krew i zgarniając końskie odchody na zaprzężone w osiołki wózki, czyniono przygotowania do nowego występu. Na piasku rozpostarto długi szkarłatny dywan. Ciągnął się on od podnóża schodów aż do miejsca, gdzie ustawione zostały dwie miękkie sofy i mały stolik z napojami.

Wnet przy fanfarach i grzmocie werbli po schodach zeszli dwaj dostojnicy. Commodorus szedł szybko i dumnie, w jednym ręku dzierżył łuk, a przez ramię przewieszony miał kołczan.

Obok niego z komiczną zgoła niepewnością dreptał pulchny Bulbulus. Prefekt ścisnął w dłoni długą włócznię, zdecydowanie zbyt ciężką dla niego i nieporęczną. Publiczność zauważyła z rozbawieniem, iż miał niemałe trudności, by przy schodzeniu po stromych schodach utrzymać ją pionowo. Uzbrojenia obu mężczyzn dopełniały krótkie miecze. Gwardziści ze straży pałacowej uzbrojeni w drugie halabardy zamykali pochód. U podnóża schodów jednak na znak tyrana stanęli na baczność i tam już pozostali.

Commodorus wraz z prefektem, który ledwie dotrzymywał władcy kroku, ruszyli dziarsko ku stolikowi i sofom tworzącym maleńką oazę luksusu pośród morza piasku. Nagle przystanęli i rozejrzeli się czujnie. Ucichły gromkie okrzyki, publiczność zamarła w pełnym podnieceniu oczekiwaniu.

Na drugim końcu areny otwarły się wrota. Było to szerokie, niskie przejście tuż obok tak zwanej Bramy Bestii.

Z ciemności tunelu wypadły kosmate, potężne stworzenia, piaskowej barwy drapieżniki o gęstych czarnych grzywach i ogonach zakończonych ciemnymi chwostami. Trzy stepowe lwy.

Zwierzęta atakowały zarówno siebie nawzajem, jak i niewidocznych poganiaczy, którzy zmuszali je do opuszczenia legowiska. Lew biegnący na końcu powalił swego pobratymca i po chwili oba jęły, warcząc i rycząc, tarzać się po piasku przy wtórze odgłosów przypominających darcie grubego płótna. Walka dobiegła kresu, kiedy samiec — przywódca wydał gardłowy ryk i cała trójka drapieżników pospieszyła naprzód, lustrując płaską przestrzeń paciorkowatymi

ślepiami, nawykłymi do wypatrywania wroga wśród trawiastych równin.

Lwy nie zabawiły długo przy bramie, gdyż widzowie obrzucili je różnymi drobnymi przedmiotami. Warcząc gniewnie, pobiegły lekko przed siebie ku jedynym widocznym w zasięgu wzroku ofiarom — tyranowi Commodorusowi i korpulentnemu prefektowi czekającym pośrodku areny.

Conan mimo znacznej odległości zorientował się, że zwierzęta są wygłodniałe. Na zapadniętych bokach rysowały się wyraźnie sterczące żebra i blizny, pamiątki po ranach odniesionych podczas schwytania i transportu. Cymmerianin widywał już większe lwy w dżungli, ale żaden z nich nie sprawiał wrażenia aż tak zdesperowanego jak bestie wypuszczone na arenę. Posuwały się one zakosami, przyczajone, zamierzając najwyraźniej zmylić i zdeorientować ofiary, by znaleźć się w dogodnej odległości i zaatakować.

Commodorus przyglądał się drapieżnikom ze spokojną obojętnością. Odwrócił się nawet do stołu i leniwie napełnił puchar winem z jednego z dzbanów. Bulbulus natomiast wręcz skamieniał ze strachu. Ścisnął oburącz włócznię, której drzewce zostawiało ślad w sypkim piachu. Wstrząsające ciało prefekta dreszcze zdradzały, iż biedak był bliski panicznej ucieczki. Nerwowym ruchem głowy odmówił wina, którym chciał poczęstować go gospodarz, i wlepił tęskne spojrzenie w wyłożone dywanem schody, co publiczność skwitowała pogardliwymi pomrukami. Wkrótce jednak Bulbulus powrócił wzrokiem do drapieżników.

Zdały one tymczasem podejść na niebezpiecznie bliską odległość.

Siedzący pod murem areny Conan słyszał dobiegające z trybun rady i komentarze

— Uciekaj, Bulbulusie, ty śmierdzący, tłusty tchórze! — krzyczał któryś z widzów. — Zmykaj do domu, nim zafajdasz sobie toę!

— Kto wpadł na pomysł, by powierzyć ci dowództwo straży miejskiej? — drwił ktoś inny.

— Spójrzcie na niego, trzęsie się cały od stóp do głów! — zawołała pogardliwie jakaś kobieta.

— A gdyby u bram miasta stanęli wrogowie? Spójrz na Commodorusa. Oto człowiek, który wie, co znaczy walka!

— Uważaj, lwy się zbliżają!

W tej właśnie chwili tyran naciągnął wielki łuk i wypuścił pierwszą strzałę. Trafila lwa biegnącego po lewej. Zwierzę poderwało się do skoku całkowicie zdeorientowane i w przyplywie naglej wściekłości próbowało wbić zęby w swój własny zraniony bok.

Wykorzystując sytuację, pozostałe drapieżniki rzuciły się ku swoim ofiarom. Druga strzala Commodorusa trafiła atakującą go bestię prosto w pierś.

Ogromny zwierz zatrzymał się na moment jak wryty i runął martwy na piach.

Tymczasem przy wtórze radosnego ryku widzów zraniony lew wyprysnął naprzód tak szybko, jak gdyby nic mu się nie stało.

Dotarłszy do skraju przedziwnej oazy, bestia sprężyła się i dała susa, przewracając obitą jedwabiem sofę.

Oddany błyskawicznie przez Commodorusa trzeci strzał dosięgnął drapieżnika w powietrzu.

Strzała o barwnych lotkach zagłębiła się w szyi zwierzęcia, nie zdołała go jednak zatrzymać.

Miotany przedśmiertnymi drgawkami lew wpadł na swego prześladowcę, przewrócił

Commodorusa i wytrąciwszy mu z ręki luk, odrzucił go precz z zerwaną cięciwą.

Tymczasem trzeci lew podkradał się zwinnie coraz bliżej, szykując do skoku. Bulbulus, ściskając w dłoni bezużyteczną broń, do reszty stracił zimną krew. Bał się odwrócić do bestii plecami i pobiec ku schodom, które wydawały się tak odległe.

Commodorus jednakże, jak zawsze szybki i sprawny, poderwał się na nogi. Wyrwał ciężką włócznię niezdarne, przerażonemu prefektowi, odwrócił ją i skierowawszy lśniącem ostrzem przed siebie, wbił koniec drzewca w piasek. W tej samej chwili lew wydał gromki ryk i skoczył. Jego cielsko nadziało się na stalowy grot. Włócznia zgięła się i nachyliła ku ziemi, ale nie pękła.

I znów Imperium Cyrku rozbrzmiało dzikim rykiem aplauzu. Commodorus uniósł obie ręce w górę, pozdrawiając publiczność, spokojny i niewzruszony w roli zwycięzcy. Prefekt Bulbulus odsunął się nerwowo od trupów bestii i odwróciwszy się, podreptał niezdarne ku schodom, najwyraźniej mając obecnie jedno tylko na myśli — jak najszybciej opuścić arenę.

Tyran, który opierał przez chwilę stopę na ciele zabitego lwa, odwrócił się i pospieszył za swym gościem. Po chwili obaj w asyście straży wspięli się po rampie na trybunę.

— Takimi wyczynami nasz władca zdobywa sobie uznanie i miłość ludu — zauważył

siedzący obok Conana Ignobold. — Rezerwuje dla siebie najłatwiejsze walki i przy okazji stara się upokorzyć swych przeciwników politycznych. Ci ludzie bardziej niż tego, co może spotkać ich na arenie, lękają się reakcji tłumu. Wbrew własnej woli godzą się więc brać wspólnie z tyranem udział w zaplanowanym przezeń widowisku.

Kiedy uprzątnięto arenę, a trupy lwów wywleczono końmi na linach, został ogłoszony pierwszy pojedynek jeden na jednego. Conan nie słyszał porannych zapowiedzi i nie miał

pojęcia, jakie na ten dzień przewidziano walki. Bardzo jednak chciał zobaczyć Sarkada, jednego z słynnych gladiatorów, stającego do walki z nowo sprowadzonym wojownikiem,

cudzoziemskim zapaśnikiem znanym jako Xothar Dusiciel.

Zawodnicy spotkali się pośrodku areny, gdyż Xothar, który nie uczestniczył w porannej bitwie, wszedł na stadion przez Bramę Mistrzów. Był to mężczyzna niski, krępy, o oliwkowej, typowej dla Turańczyków cerze. Idąc wypinał pierś, prężył mięśnie i spletał ramiona, choć nie sposób stwierdzić, czy czynił to ku uciechu gawiedzi, czy dla rozluźnienia ciała przed walką. Na Sarkadzie popis te nie wywarły większego wrażenia, zwłaszcza że jedyną widoczną broń Xothara stanowił krótki cep, zatknięty za szeroki pas.

Conan uważnie zlustrował zawodników. Miecz Sarkada był długi i nieporęczny, przeznaczony do rozrąbywania zbroi. Gladiator odrzucił hełm i puklerz, pozostał jednak w kolczudze, która musiała mu znacznie ciążyć. Najwyraźniej nie spodziewał się pojedynku zapaśniczego.

Pozdrowiwszy Commodusa, wojownicy rozpoczęli pojedynek. Zgodnie z przewidywaniami Conana zwinny Turańczyk bez trudu uchylał się przed wielkim, tnącym powietrze ostrzem. Raz, drugi, trzeci. Wreszcie kiedy Sarkad ciał potężnie na odlew, przyskoczył ku niemu.

Cep w dłoni Xothara zwisał dotąd bezwładnie. Nagle zapaśnik ledwie poruszywszy nadgarstkiem trafił krótką pałką w twarz przeciwnika, oślepiając go na moment. Po chwili gladiator oprzytomniał, ale było już za późno. Turańczyk opasał jedną ręką szyję wroga, palce drugiej zaś wbił w fałdy luźnej kolczugi.

Sarkad osunął się na kolana. Miecz zakolysał się i wypadł mu z ręki. Xothar naparł całym ciałem. Gladiator zachwiał się i ciężko runął na piasek areny.

Długą chwilę, jaka potem nastąpiła, wypełnił ogłuszający ryk tłumu. Widzowie szaleńczo wymachiwali rękami i tupali. Wielu pospieszyło do stanowisk przyjmowania zakładów, aby postawić kolejne sumy lub odebrać wygrane. Sarkad był unieruchomiony przez Xothara dostatecznie długo, by zapaśnika bezapelacyjnie uznano za zwycięzcę.

W końcu potem Dusiciel rozluźnił uścisk i wstał. Jego przeciwnik leżał na piasku bezwładny, nieruchomy, bledy. Bez wątplenia nie żył. Była to nie lada zagadka, gdyż w walce nie użyto noża, nie popłynęła też ani jedna kropla krwi. Conan nie słyszał trzasku gruchotanych kości, nie dostrzegł również przedśmiertelnych konwulsji Sarkada. Mimo prażących promieni słońca, Cymmerianin poczuł na karku dziwne, lodowate ciarki. Nigdy w żadnym boju, w jakim dotąd uczestniczył, nie widział, by ktoś został uduszony tak szybko i niemal niezauważalnie.

Xothar, unosząc w górę muskularne, ramiona, wolnym, pełnym dostojeństwa krokiem opuścił arenę. Wkrótce miała rozpocząć się kolejna walka. Jednakże entuzjazm tłumu po tym pojedynku zaczął już przygasać.

W tym starciu mieli wziąć udział Sistus, jeden z zabijaków, protegowany Datha, i równie mało znany zawodnik imieniem Callix. Sistus występował uzbrojony jak przystało na ulicznika z dzielnicy portowej — z trójzębem, obciążoną ołowiem siecią i nożem rybackim.

Conan wielokrotnie widział chłopaka podczas ćwiczeń. Młodzik wyraźnie miał wprawę w ulicznych bójkach.

Oczekując ataku, zakręcił nad głową ciężką siecią, zabójczą pajęczyną, w którą chciał pojmać swego przeciwnika.

Młody Callix miał hełm, włócznię, tarczę i miecz w pochwie u boku.

Kiedy jednak pojedynek rozpoczął się na dobre, Callix zorientował się, że nie może skutecznie zadawać ciosów w zasięgu groźnej, wirującej sieci. Zmuszony był się cofnąć i wówczas właśnie popełnił błąd, ciskając włócznią. O to właśnie chodziło Sistusowi. Tylko włócznia utrzymywała go na dystans. Zręczny ulicznik z łatwością uchylił się przed pociskiem i dopadł wroga, zanim ten zdążył dobyć miecza. Od pierwszego ataku Callix wybronił się krótkim mieczykiem. Znajdujące się na końcach sieci ołowiane ciężarki z głuchym brzękiem odbiły się od jego hełmu. Młodzieniec zachwiał się i zatoczył w tył, zaplątując w zwoje sieci.

Długi haczykowaty trójzęb dosięgnął celu, przebijając ludzką pierś równie skutecznie jak trzepoczącą się rybę.

Mimo zwycięstwa Sistus pozostał spokojny i niewzruszony. Dobił przeciwnika szybkim ciosem noża, po czym uwolnił trupa ze splotów swojej sieci. Prawie nie patrząc na trybuny, skąd skandowano jego imię, wyszedł przez Bramę Bohaterów.

— Wspaniałe zwycięstwo — pochwalil ze swej trybuny Commodorus. — A teraz trzeci i ostatni dziś pojedynek. — Słowa tyrana powtórzyli gromko stojący na murach amfiteatru heroldowie. — Pragniemy uczcić bohaterów Cyrku Luddhew. Nasza nowa gwiazda Conan Zabójca stoczy bój z Mistrzem Miecza Muduzayą Szybkim.

Dla Conana była to ponura niespodzianka. W gruncie rzeczy nie przyszło mu do głowy, że w ogóle będzie tego dnia znowu walczył. Nie pytał więc nawet o kolejność i skład przewidywanych pojedynków. A teraz miał stanąć przeciwko Muduzai, właśnie przeciwko niemu, najlepszemu spośród wszystkich gladiatorów, tak szybko, bez możliwości dokonania jakichkolwiek zmian czy planów...

Ponadto Kushita zawsze wydawał mu się bratnią duszą. Cymmerianin postanowił przeto starać się za wszelką cenę, by nie zabić ani ciężko nie zranić przyjaciela.

Wychodząc na środek areny i nakładając na głowę niezgrabny, lecz dający cień i ochronę hełm, Conan próbował napotkać spojrzenie swego przeciwnika. Ten jednak odwróciwszy wzrok minął go i pomaszerował dalej. Kushicie towarzyszyło dwóch niewolników udających że polerują jego czarną tarczę. Nieśli oni z dumą złoty pas z szeroką, lśniąca kłamrą. Ten niegroźny popis był zapewne przyjętym sposobem oddawania honorów mistrzowi areny.

Conan odniósł jednak osobliwe wrażenie, że niewolnicy w rzeczywistości kierowali krokami potężnego wojownika, doprowadzając go na miejsce starcia, jeśliby nie był on w stanie dotrzeć

tam o własnych siłach. Wreszcie cała trójka znalazła się pośrodku areny, gdzie na białym świeżo zagrabionym piasku nie pozostał nawet ślad krwi. Słudzy pomogli Muduzai odwrócić się i zgodnie z obyczajem unieść miecz przed tyranem, jak to wcześniej uczynił Conan.

Następnie niewolnicy pospiesznie wycofali się z placu boju.

Stając naprzeciw Kushity, Conan stwierdził, że jego przypuszczenia były słuszne.

Czarnoskóry wojownik ślaniał się na nogach otępiały, bez wątpienia otumaniony jakimiś środkami, które dodano mu dojadła lub napitku. Mimo iż trzymał broń w gotowości bojowej, jego oczy wydawały się dziwnie nieobecne, jakby jakaś niewidzialna bariera oddzielała mu myśli od czynów.

Conan na próbę skrzyżował z Muduzayą miecz. Wszyscy siedzący w pierwszych rzędach musieli usłyszeć tępy brzęk zadanej nieporadnie riposty. Kushita poruszał się z trudem, ledwie zdolny do walki, prawie sparaliżowany. Ktoś pragnął zniszczyć Muduzayę, skonstatował

Conan. Ale dlaczego?... Odpowiedź nasunęła się sama, gdy barbarzyńca powrócił myślą do skarg na to, co działo się poza areną, do osoby Halbarda. I rzecz jasna do tajemnicy jego śmierci. Muduzaya był faworytem. Mistrzem Miecza. Niewątpliwie to na niego stawiono w większości zakładów. Kto miałby ryzykować swoje pieniądze i postawić na cudzoziemca, przybysza z Północy, członka trupy cyrkowej Luddhew? Dla mistrza przegrana z Conanem byłaby klęską, pozbawiłaby go bowiem tytułu. Organizatorom zakładów przyniosłaby za to nielichą fortunę. Słowa Kushity okazały się prorocze. Niechaj strzegą się ci, którzy osiągnęli sławę i popularność.

Tłum zaczął się niecierpliwić. Żądał krwi i morderczej jatki, a słyszał tylko leniwe uderzenia i zgrzytanie stali o stal.

— Walczcie, wy tchórze! — niosło się od strony trybun.

— Dzielny Kushito, zabij Zabójcę, bym odzyskał moje pieniądze!

— To ma być walka na śmierć i życie, a nie pokaz tańca!

— Chcemy krwi!

Z trybun sypały się wyzwiska, kamyki i drobne przedmioty. Conan uznał, że lepiej walczyć, niż ryzykować, że obaj zostaną zlinczowani. Publiczność zachowywała się coraz bardziej agresywnie.

— Dalej, nacieraj — rzekł do Muduzai, zbijając ostrze jego miecza. — Ocknij się, przyjacielu.

Musisz trochę się napocić, aby zadowolić te żądne krwi szakale.

Zrobił unik i widowiskowy wypad. Odtrącił miecz Kushity z jednej, a potem z drugiej strony, patrząc jak ostrze za każdym razem wraca do pierwotnej pozycji przed twarzą Muduzai.

Wysiłki Conana zostały skwitowane szyderczymi okrzykami.

— Dalej, zabij go! — wołali widzowie. — Jeśli nie będzie walczył, po co go trzymać w Cyrku!

Czy i ty również do niczego się nie nadajesz, zniewieściały tchórze?

Pocąc się z gorąca i wściekłości pośrodku wielkiej, pustej areny, Conan poczuł się bezradny, niczym owad, który wpadł w buchające żarem palenisko.

— Muduzayo! — wrzasnął gniewnie. — Walcz!

By zwrócić uwagę półprzytomnego wojownika, raz i drugi wyrznął mieczem na płaz bok jego hełmu.

— Dalejże, ty wyrośnięty ośle! Czyżbyś był równie marny w boju, jak twoi tchórzliwi bracia z Kush? Stań i walcz albo wyślę cię z powrotem do dżungli, tylko że w kawałkach!

Pod wpływem szczęku oręża i soczystych epitetów wyraz twarzy czarnego mężczyzny uległ zmianie. Jego oczy pod okapem hełmu zwężyły się, nozdrza rozdęły. I nagle wielki miecz zaczął śmigać z góry na dół i z boku na bok, uderzając w ostrze Conana niczym młot w kowadło.

Tłum zareagował spontanicznym, niemal zwierzęcym rykiem.

— Właśnie tak! — zachęcał przeciwnika Conan. — Daj im widowisko warte każdego miedziaka, który wydali. A potem jeden z nas uda, że został śmiertelnie ranny.

Po chwili jednak, z trudem wytrzymawszy potężny atak Muduzai, wychrypiał:

— Świetnie, przyjacielu, wystarczy! Opuść żdziebko. Nie chcę, by jeden z nas zginął.

Jednakże oszołomiony narkotykami, ogarnięty bitewnym szałem czarny olbrzym nie usłyszał go lub nie zrozumiał. Nacierał raz po raz, z każdym cięciem wielkiego miecza zmuszając Conana do cofnięcia się o krok.

— Przestań, ty wielki idioto! Tylko żartowałem! Nie mówilem tego poważnie! — Conan czuł się coraz bardziej zmęczony. Wątpił, aby zdołał w ten sposób przez dłuższy czas uchylać się i parować ciosy. — Zamarkuj pchnięcie, a ja upadnę. Uff!

Zanim Conan zdążył dokończyć zdanie, Muduzaya ciał silnie na wysokości pasa. Conan wykonał

niezbyt zręcznie blok tuż przy ciele. Brzęknęła stal, miecz Kushity odbił się od ostrza przeciwnika, ale klinga zdołała musnąć nagą pierś barbarzyńcy. Na skórze Cymmerianina pojawiła się krew. Straciwszy równowagę, Conan runął twarzą w piasek.

— Heeej, Muduzayo! — wyli widzowie. — Porąb tego przybłędę z Północy na kawałki! Bądź pozdrowiony, nasz Mistrzu Miecza!

Conan, zamroczony bólem i niepewny czy, jego upadek został zaplanowany dla oszukania publiczności, nie do końca wiedział, jak zareagować. Ujrzał nad sobą olbrzymią, mroczną postać czarnego gladiatora, któremu oczy płonęły pod okapem ciężkiego hełmu. Zobaczył, jak tamten unosi miecz ponad głową, na co publiczność wydała gromki, radosny okrzyk.

Niezdarnie uniósł broń, chcąc odparować cios Kushity lub, jeśli nadarzy się okazja, kopnięciem pod kolano zbić z nóg swego niedoszłego mordercę.

Muduzaya uderzył na odlew i przygwoździł miecz Conana płazem do ziemi. Rozbroiwszy przeciwnika, oparł obutą w sandał stopę na łokciu Cymmerianina, unieruchamiając prawą rękę. Tłum szalał.

— Dobrze, przyjacielu, pokazałeś, na co cię stać! — mruknął Conan, oczekując kończącego ciosu. — A teraz już zdejmij tę nogę i pozwól mi udawać zabitego! Zachowuj się, jakbym nie żył.

Rana, choć powierzchowna, jednak krwawiła obficie, toteż w oczach widzów Conan mógł uchodzić za ścierwo dla sępów.

Muduzaya opuścił miecz i przyłożył sztych klingi do piersi pokonanego na tyle blisko, że Cymmerianin poczuł chłód żelaza, które pokrywało się krwią broczącą z otwartej rany.

Następnie Kushita przy wtórze gromkiego ryku gawiedzi uniósł okrwawioną głownię w górę.

— To cię nauczy trzymać język za zębami — syknął.

Conan zorientował się jednak, iż Muduzaya wciąż niepewnie trzyma się na nogach. Mimo to czarnoskóry gladiator starał się zachować jak na mistrza przystało. Cisnął hełm na ziemię i z uniesionym nad głową mieczem okręcił się wolno w miejscu.

Tłum na trybunach wpadł w euforię. Widzowie ożywieni entuzjazmem czym prędzej ruszyli po swe wygrane. Fale ludzi wdarły się hurmem do tuneli wyjściowych. Niektórzy skakali z trybun na piach areny, by spotkać się oko w oko z ocalałymi gladiatorami.

Dwaj słudzy, którzy powrócili po Muduzayę, byli najwyraźniej zaskoczeni wynikiem pojedynku. Nagle ogarnęła ich gromada biegnących, rozkrzyczanych fanatyków igrzysk, którzy

stłoczyli się obok Kushity i beztriosko jęli obsypywać piachem leżące nieruchomo ciało Conana.

W przyplwywie radości podźwignęli na ramiona zwycięzcę, aby obnosić go triumfalnie wokół trupa pokonanego barbarzyńcy. Muduzaya dość niepewnie utrzymywał się na ich barkach.

Znalazł się wszelako poza zasięgiem dwóch wyraźnie zdezorientowanych niewolników, którzy zrezygnowani wkrótce się wycofali.

Conan był zdania, że wielbiciele Muduzai zaopiekują się swym ulubieńcem we właściwy sposób, aż ustanie działanie narkotyku. Sam zaś zamierzał dyskretnie zniknąć z areny, wtopiwszy się narastającą przez cały czas ciżbę widzów.

Nie zdążył się jeszcze dźwignąć z ziemi, gdy ktoś zbliżył się do niego. Czyjeś dłonie zacisnęły się na jego przegubach i kostkach. Otwierając zapiaszczone oczy, Conan ujrzał dwie pochylające się nad nim postacie — młodych, posępnych, czerwono odzianych kapłanów.

Obok nich stała taczka.

— Precz, zbieracze ścierwa! — warknął, starając się nie podnosić głosu. — Chciwy pomioście Seta, zaczekajcie, aż skonam, zanim zrobicie ze mnie mumię! — Podniósł się na nogi i porzuciwszy miecz i hełm, mocno przytknął dłoń da krwawiącej rany.

Kapłani z kostnicy wzruszyli ramionami, odwrócili się i odeszli ze swoją tawką. Tylko kilkoro gapiów okazało zdziwienie nagłym zmartwychwstaniem gladiatora. Aby uniknąć jakichkolwiek pytań, Conan wtopił się w tłum.

Naraz pomyślał o Sathildzie. Jeżeli obserwowała walkę z trybun, musiała sądzić, że jest martwy lub ciężko ranny. Barbarzyńca uniósł wzrok, ale nie zdołał dostrzec przyjaciółki.

Miejsce gdzie widział ją wcześniej, świeciło pustkami. Starając się nadmiernie nie rzucać w oczy, zlustrował trybuny wokół. Bez skutku. Podczas pojedynku był zbyt zaabsorbowany walką, by zauważyć, czy Sathilda pozostała w amfiteatrze.

Tłum zmierzał w kierunku Bramy Bohaterów. Rozentuzjasmowani widzowie spuszczałi z trybun drabinki sznurowe i schodzili po nich na arenę, pragnąc spotkać się z gladiatorami.

Wśród ciżby byli zarówno mężczyźni, jak i kobiety. W nadziei że natknie się wśród nich na Sathildę, Conan jął przeciskać się naprzód.

— Jak na trupa — odezwał się nagle ktoś za jego plecami — wydajesz się bardzo czymś zaaferowany. Umarli powinni być wolni od trosk śmiertelników.

Głos brzmiał zmysłowo i głęboko. Rudowłosa kobieta uśmiechnęła się do Cymmerianina.

Conan próbował zbyć ją posępnym spojrzeniem. Skoro jednak raz rzucił na nią okiem, nie był

w stanie oderwać wzroku, tak była urodziwa. Żółte pantalony i skąpa bluzka, uszyte z cieniutkiego jedwabiu, opinały krągłe kształty równie ciasno jak druga skóra. Twarz, pokryta lekkim makijażem i okolona barwionymi henną, utrefionymi misternie włosami, wyglądała jak piękna maska ze świątyni Ishtar. Odwieczna i bezwiekowa, prezentowała siebie samą jak kosztowny bibelot, mimo iż w dość skromnym, skąpym opakowaniu.

— Nie jesteś jednak aż tak martwy... Czyżbym wyczuwała oznaki życia? — Kobieta podeszła bliżej, lustrując Conana od stóp do głów.

On również przyjrzał się sobie. Był cały spocony, okrwawiony i oblepiony piaskiem. Krew z rany na piersi zaschła już lub lepka krzepła w leniwych strużkach. Potężne ciało osłaniał jedynie spiżowy pas ciężarowca i kilt z metalowych lusek.

— Gustujesz, piękna pani, w nieboszczykach? — zapytał, spoglądając na nią z uśmiechem.

— Bywa, że czasami uda mi się tchnąć w któregoś z nich trochę życia — odparła. — Nie wdając się w szczegóły, przede wszystkim daję im powód do pozostania na tym padole. —

Ująwszy Conana za rękę, przeprowadziła go opierającego się lekko przez Bramę Bohaterów.

— Chodź, musimy opatrzyć rany.

— Jak masz na imię, pani? Wyznaj mi, czy interesujesz się w ogólności gladiatorami, czy tylko tymi, co przegrywają?

— Jestem Babeth. A spośród wszystkich mistrzów areny najmniej spodziewałam się ujrzeć pokonanego Conana Zabójcę. Chyba, że sam do tego dopuścił.

— Zatem obserwowałaś mnie uważnie.

Pozwoliła, by objął ją ramieniem, i poprowadziła go w głąb tunelu.

— Przywilejem stygijskich szlachcianek, jeżeli naturalnie mają dość wolnego czasu, jest wybrać sobie spośród gladiatorów jednego wojownika, obsypywać go honorami, wielbić i rozślawiać jego imię. — Conan poczuł, że Babeth szykuje się, by powiedzieć coś naprawdę istotnego. Jej ciało otoczone muskularnym ramieniem barbarzyńcy zeszywniało na chwilę. —

Mogą zachęcać go na wiele różnych sposobów. Na przykład, rzucić mu mieszek złota podczas pierwszego występu.

— Uhm — pokiwał głową. Nie miał teraz mieszka przy sobie. Sakiewka była bezpiecznie ukryta w chacie, gdzie mieszkał z Sathildą. — To trochę tak jak z opieką nad rasowym koniem wyścigowym. Powiedz mi, Babeth, co zamożni i szlachetni mężowie stygijskich szlachcianek

sądzą o zainteresowaniach, jakie ich żony żywią wobec wojowników areny?

Babeth uśmiechnęła się i mocniej przytuliła do jego ramienia.

— Mój mąż nie interesuje się w ogóle tymi sprawami. Jest koryntiańskim kupcem. Niedawno wyruszył z karawaną na długą wyprawę do swego rodzinnego kraju. To zachęca mnie do szukania rozrywek gdzie indziej.

— Rozumiem — mruknął Conan z braku innego komentarza.

Szli właśnie przez ogród. W cieniu drzew spacerowały inne objęte czule pary. Niektórym z gladiatorów towarzyszyły aż dwie wierne i zapatrzone w nich wielbicielki, a większość wojowników hojnie raczyła się winem roznoszonym w skórzanych bukłakach i glinianych flaszach.

Do łaźni przylegał pawilon, gdzie mieścili się przebieralnia i apteka. Stały tu stoły, ławy do masażu i wanny z ciepłą i zimną wodą, a niewolnicy wprawnie nacierali zbolale ciała maściami i olejkami nabieranymi z kamiennych słoików. Sala szybko zapełniła się atletami oraz ich gośćmi, podobnie jak sąsiadująca z nią gorąca łaźnia. Conan miał nadzieję, że Sathildą będzie tam czekać na niego. Dziewczyny nigdzie jednak nie było widać, władca Babeth natomiast nie dawała mu nawet chwili na zastanowienie.

— Usiądź na tej ławie, a ja przyniosę wodę z dodatkiem świerkowej żywicy. To złagodzi ból, oczyści ranę i zapobiegnie infekcji. — Ruszyła w stronę niewolników, by wydać im niezbędne polecenia, i po chwili wróciła z miską pełną aromatycznego płynu. — Dalejże, połóż się, zmyj z ciebie brud. — Delikatne dłonie miękko masowały mu mostek i bok, rozcierając ciepłe, powodujące lekkie swędzenie lekarstwo. — Setowi nich będą dzięki, rana nie jest głęboka.

Babeth cierpliwie ścierała piasek i zaschniętą krew, nie zważając że plami przy tym swe jedwabne strojne odzienie.

— Ejże, ta blacha nie jest ci już potrzebna — powiedziała, wskazując na kilt z lusek. —

Zdejmijmy tę żalostną namiastkę stroju. Tylko nam przeszkadza.

Delikatnie, z czułością przecierała skórę wzdłuż brzegów rany, jakby domyślała się, iż sprawia mu to piekielny ból. Kiedy długa, płytka rana została starannie oczyszczona i przemyta, Babeth obłożyła ją zręcznie kataplazmem z ziół i z wprawą obandażowała.

— No, teraz powinieneś szybko dojść do siebie.

— Jak widzę, uczyniłaś mnie mumią tylko połowicznie — mruknął Conan, spoglądając na bandażę opasujące jego pierś, bark i talię.

— Nawet i nie połowicznie — roześmiała się. — A teraz połóż się na brzuchu. Po walce musisz

być cały obolały. Na pewno wszystkie mięśnie i ścięgna mocno ci doskwierają. Mam tu olejek leczniczy ze wschodniego Shemu. Słodko pachnie, prawda?

Gdy usiadła na nim okrakiem i wzięła się do dzieła, Cymmerianin zauważył, że w całym budynku zapanowała swobodna, radosna atmosfera. Od strony łaźni dobiegały głośnie pluski i piskliwy kobiecy śmiech, któremu wtórowały ochryple męskie głosy. W ubieralni większość ław zajęta była przez atletów i flirtujące z nimi dziewczęta. Tu i ówdzie dawało się dostrzec splecione w miłosnych uściskach ciała. Wszyscy, zarówno mężczyźni, jak i kobiety, paradowali bez odzienia, niemal chlubiąc się bezwstydną nagością.

— Nie lepiej ci? A teraz odwróć się. Z całą pewnością i w innych miejscach odczuwasz ból, który trzeba złagodzić. Tym olejkiem można smarować całe ciało. Wzmacnia mięśnie i odmładza.

— Conanie, jesteś ranny?

Sathilda znienacka przerwała pieśczośliwe zabiegi Babeth.

— Nie sądziłam, że będziesz jeszcze dzisiaj walczył — tłumaczyła się, podchodząc bliżej —

toteż opuściłam amfiteatr wcześniej. Wyszłam z lordem Alcestiasem i jego świtą. Ale kiedy ujrzałam twoje imię obok innych, stwierdziłam, że muszę wrócić.

Rozluźniając dłonie na gładkich od olejków biodrach Cymmerianina, Babeth odwróciła się i spojrziała uważnie na Sathildę.

— Jesteś akrobatką, zgadza się? Nic dziwnego, że Alcestias ma na ciebie oko. Lubi chude cudzoziemki.

— Nie byłam w jego willi ani nawet w lektyce — zaproponowała Sathilda. — Za bardzo się denerwowałam... Conanie, nic ci nie jest?

— Nie odniósł poważniejszych obrażeń — odrzekła szlachcianka i poderwawszy się na równe nogi, zastąpiła akrobatce drogę. — Opatrzyłam już jego rany. Teraz potrzebny mu odpoczynek.

Ciepła, kojąca kąpiel również by nie zaszkodziła.

— Babeth, Sathildo — jęknął Conan. Wstał z ławy i gwoli przyzwoitości wciągnął na biodra metalowy kilt. — Dziękuję wam obu, że tak się o mnie troszczycie. Jeżeli chodzi o ścisłość, jestem bardzo znużony i chciałbym jak najszybciej udać się w jakieś spokojne, ustronne miejsce, aby trochę odpocząć. — Z rezygnacją rozejrzał się po sali, gdzie orgia rozszalała się w najlepsze. — Dość mam tego gwaru i oblędu. Jeżeli jednak los rannych naprawdę bliski jest waszym sercom, wydaje mi się, że jest coś, co mogłybyście uczynić.

Wzrok Cymmerianina spoczął na muskularnej postaci siedzącej na ławie pod drzwiami. Był to Muduzaya, przyniesiony tu przez swych wielbicieli. Mistrz Miecza spoczywał bezwładnie, patrząc tępo spod półprzymkniętych powiek, podczas gdy obnażone hurysy delikatnie muskały jego ciemne ciało. Po dłuższej chwili dziewczęta oddaliły się, uznawszy że gladiator jest pijany.

— Nasz druh, Mistrz Miecza, nie doszedł jeszcze do siebie po dawce środków odurzających, które mu podano przed walką — rzekł Conan, podchodząc do bezradnego, otępiełego Kushity.

— To musiała być iście końska dawka. Powinniśmy zabrać go stąd i dopilnować, by wydobrzeł.

Zabierzemy go do chat cyrkowców. Bardolph i Luddhew powinni wiedzieć, co z tym fantem począć.

„MIŁOŚCIWY WŁADCO!”

Zgodnie ze starym obyczajem, pogrzeb odbył się w dzień po igrzyskach. Zwłoki zamordowanego Halbarda, rzekomą ofiarę wypadku podczas ćwiczeń, umieszczono w tej samej niszy co ciała nowych zawodników, Sarkada i Callixa. Ci dwaj mniej znani wojownicy zaznali pośmiertnie zaszczytów, jakich w inny sposób mogliby nigdy nie dostąpić.

Żałobnicy zebrani w cieniu pod zachodnim murem amfiteatru nie byli zbyt liczni.

Szlochająca rodzina, Memtep ze świątynnymi posługaczami, kilku zbieraczy zakładów i kilka płaczek regularnie pojawiających się na każdym pogrzebie stali zgromadzeni przed arkadą, która miała się za chwilę zappełnić.

Spóźniony Conan z garstką gladiatorów wywołał drobne zamieszanie, głównie dlatego, że towarzyszyła mu Sathilda prowadząca na złotej smyczy swoją czarną jak noc panterę.

Również i sam Conan wzbudzał zainteresowanie. Barbarzyńca zauważył, że przyjmujący zakłady bacznie przyglądali się bandażom i szacowali rozmiary jego obrażeń. Inni gladiatorzy także nie wyglądali szczególnie zdrowo. Poprzednią noc spędzili bowiem na hulankach i pijatykach. Muduzaya trzymał się z trudem na nogach, a mimo to, sarkając ile wlezie, bacznie wodził wokół wzrokiem, poszukując zdrajcy odpowiedzialnego za podanie mu środków odurzających.

— Gdzie Zagar? — spytał szeptem Conan, lustrując posępne zgromadzenie. — Czemu go tu nie ma? Bądź co bądź to on zwerbował Halbarda. I to on nakłaniał go do oddania wczorajszego pojedynku.

— Jeżeli znajdziesz tego śmierdziela — burknął złowieszczo Muduzaya — zostaw go mnie.

Mam kilka pytań, które bardzo chciałbym mu zadać.

Za ogrodzeniem odziany na szaro kapłan Seta nieprzerwanie i niezamordowanie mamrotał po starostygijsku jakąś modlitwę. Mumia Halbarda z ozdobną mosiężną rękojeścią miecza wystającą spomiędzy bandaży na piersiach została właśnie wciągnięta na linach. Sądząc po łatwości, z jaką transportowało ją dwóch stojących na rusztowaniach robotników, Conan uznał, że musieli usunąć sporo z wnętrzości nieboszczyka.

W robotnikach Cymmerianin rozpoznał posługaczy, którzy wcześniej dokonywali przeróbek na arenie. Nagle zauważył, że jeden z zuchwalców szykuje się, by oddać mocz do koryta z zaprawą, której miano użyć do budowy grobu Halbarda, i powstrzymał go przed profanacją złowrogim, piorunującym spojrzeniem. Mężczyzna czym prędzej oddalił się, mamrocząc pod nosem smętnie, że „uryna pomaga związać cement”.

Kiedy wszystkie trzy mumie ustawiono już pionowo wewnątrz niszy i ułożono przed nimi parawan z gałęzi i trzciny, robotnicy zaczęli pokrywać drewnianą zasłonę cementem. Na wysokości głowy każdego z bohaterów umieszczono, wykonaną wedle odlewu z twarzy trupa, maskę pośmiertną. Później specjaliści rzemieślnicy mieli dopisać jeszcze na tablicy imię zmarłego i dodać ozdobne płaskorzeźby w postaci skrzyżowanych mieczy i zwiniętych w pierścień węży. Grobowiec Halbarda znajdował się jednakże zbyt wysoko ponad poziomem ulicy, by można mu się było uważniej przyjrzeć. Ginał wśród setki nisz poświęconych innym poległym bohaterom.

Spośród wszystkich uczestników pochówku jedynym przedstawicielem wyższych sfer był korpulentny, brodaty Udolphus. Stojąc w pewnym oddaleniu wraz ze swą niedostępną strażą, pozdrowił Conana i innych znajomych z lekkim, cynicznym uśmiechem. Szlachcic wyglądał dość świeżo. Najwyraźniej uciechy poprzedniego wieczora nie wykroczyły poza ustalony poziom jego wytrzymałości.

— No i mamy na murze nagrobnym trzy kolejne pośmiertne maski — zauważył spokojnie. —

Kolejne trzy żywoty zostały skruszone kamieniem młyńskim wielkiej maszyny o nazwie Imperium Cyrku służącej do nabijania kabzy pewnym osobom.

— Kolejne trzy nieudane próby osiągnięcia sławy i dobrobytu — zawtórowała brodaczkowi Sathilda, gładząc kark pantery.

— Halbard miał sławę i odniósł w swym życiu wiele zwycięstw — zaprotestował Muduzaya.

— Ale sukcesy nie przynosiły mu szczęścia... Wręcz przeciwnie.

— Często tak bywa w przypadku zwycięskich gladiatorów. — Udolphus rzucił Kushicie znaczące spojrzenie. — Umiejętności, które dają im sławę, jednocześnie stają się przekleństwem i źli ludzie często usiłują wykorzystać je w nieczym celu.

— Ciekawe, w jaką kabałę wplątał się Halbard? — rzucił Conan. — I z jakimi ludźmi zadarł?

Podejrzewam, że chodziło o jakieś związane z areną oszustwa.

— Ci specjaliści od zakładów nie pisną słowem — odparł Muduzaya, wskazując na oddalających się pospiesznie mężczyzn. — Udają, że o niczym nie widzą, a gdybym próbował wydusić z nich coś siłą, zapewne odbiloby się to na moich notowaniach.

— Ktoś na pewno coś wie — burknął Conan, zerkając pogardliwie na Udolphusa. — Trzeba się tylko dowiedzieć kto.

Przyboczni wielmoży gwałtownie postąpili naprzód, ale Udolphus pohamował ich łagodnym

uśmiechem.

— Tym, kto mógłby posiadać użyteczne dla ciebie informacje — zasugerował — jest twój młody przyjaciel, Dath. Chłopak ma wierne mu oczy i uszy w każdej oberży i zaułku Luxuru, dzięki wszystkim tym młodym ulicznikom, którzy uważają go za swego przywódcę.

— Świetna myśl — potaknął Conan. — Zapytam go.

Rozpoczęła się ostatnia część ceremonii, rytualne zaśpiewy i bicie się w piersi, po zakończeniu której większość gladiatorów, za namową Conana, udała się do swych chat.

Muduzaya, wciąż osłabiony po zatruciu, postanowił uczynić to samo.

Tymczasem Udolphus, osobliwie żwawy jak na tę wczesną porę, odprowadził Conana i Sathildę na stronę.

— Posłuchajcie, nie zamierzam wracać do łoża, by przeleżeć w nim do południa. Mamy przecież nowy dzień. Muszę tylko zmienić przyodziewek. Jeśli zechcecie udać się ze mną, by obejrzeć mą willę i spożyć późne śniadanie, będziecie mile widzianymi gośćmi. Towarzystwo waszej... trójki będzie dla mnie zaszczytem. — To rzekłszy wskazał na panterę. Wymieniwszy spojrzenia, barbarzyńca i akrobatka uznali propozycję za kuszącą. Conan nie czuł się zagrożony ani przez szlachcica, ani przez jego przybocznych i wiedział, że Sathilda też potrafi zadbać o siebie. A skoro była z nimi Qwamba, mało mogło im zagrozić.

Udolphus poprowadził swych gości alejką wijącą się kretą dokoła cyrkowego wzgórza. Za Bramą Skazańców ruszyli w dół, pomiędzy kutymi parkanami eleganckich posiadłości.

Niespodziewanie brodacz zatrzymał się. Jeden ze strażników, wyjąwszy klucz, otworzył niepozorną, wąską furtkę.

Znaleźli się w mieniącym się różnymi odcieniami zieleni ogrodzie z wielką, ozdobną fontanną. Wokoło umieszczone były marmurowe ławy i zdobione mozaiką stoły, a złocone drzwi prowadziły z tarasu do wytwornej jadalni. Na widok bezcennych dzieł sztuki z odległych krain przybyszom aż zapało dech w piersiach.

Jadalnia mieściła się w jednym ze skrzydeł pałacyku, którego dwa piętra wznosiły się dumnie nad ogrodem. Same złote kraty w oknach były, zdaniem Conana, cenniejsze niż zawartość skarbców wielu zamożnych państw.

Udolphus zaprowadził gości do saloniku równie wytwornej jak jadalnia, lecz o nieco mniej oficjalnym charakterze. Dając gościom znak, by rozsiedli się na wyłożonych miękkimi aksamitnymi poduchami sofach, wielmoża zdjął brudną pelerynę i podał jednemu ze służących. Qwamba przeciągnęła się i położyła na skórze zebry przed alabastrowym kominkiem.

— Nareszcie mogę się odprężyć i być sobą — gospodarz sięgnął pod jedwabną tunikę i wyjął grubą wyściółkę nadającą jego płaskiemu brzuchowi wygląd krągłości. Następnie, stanawszy przed polerowanym zwierciadłem, zdjął gęstą, kosmatą czarną brodę i perukę, po czym odlepił sumiaste wąsy, które maskowały rysy jego twarzy. Odłożył to wszystko na stolik i odwrócił się do gości. Ujrzeni wówczas oblicze Koryntiańczyka, okolone jasnymi kędzierzawymi włosami.

Twarz ta należała ni mniej, ni więcej tylko do Commodorusa, osławionego tyrana Luxuru.

Pantera musiała wyczuć niepokój swej pani, uniosła czarny leb i zawarczała groźnie. Po kilku chwilach pełnej konsternacji ciszy Conan zabrał głos:

— Pozwól, panie, że spróbuję to jakoś uporządkować. Odwiedzasz w przebraniu najgorsze spelunki i najbardziej zakazane miejsca swego królestwa. Tam usiłujesz zapoznać się z przybywającymi do stolicy szumowinami różnych narodowości, zadajesz się z biedotą i najróżniejszymi mętami i knujesz spiski przeciwko samemu sobie.

Commodorus uśmiechnął się rozbrajająco.

— Czyż jest lepszy sposób, by dowiedzieć się, jak się mają sprawy w państwie? Nie wystarczają mi upiększone doniesienia szpiegów Memtepa i wszelkich płaszczących się, cierpiących na przerost ambicji lizusów.

Głos zabrała Sathilda:

— Czy nie lękasz się, panie, że ktoś mógłby usłuchać waszych utyskiwań i zawiązać spisek mający na celu obalenie tyrana? A może natychmiast każesz zatrzymać takich wichrzycieli i twoi siepacze wtrącają ich czym prędzej do lochu?

— Nic podobnego. — Odwróciwszy się, Commodorus wszedł na chwilę za drewniany parawan, aby się przebrać. Wkrótce wyłonił się stamtąd w czystej, sięgającej do kolan todze. —

Droga niewiasto, nie wyobrażaj sobie, że kilku niezadowolonych szepczących po oberżach może zagrozić mym rządowi. Wiele jest źródeł mej potęgi: miłość ludu, sprytne i silne sojusze oraz ogromne zasoby państwa, których wy, cudzoziemcy, możecie się jedynie domyślać. —

Zaśmiał się ukazując silne, białe zęby. — Ale chodźcie, wszakże obiecałem wam śniadanie.

Zwykle jadam w altanie, na świeżym powietrzu.

Odprawiwszy gwardzistów i wydawszy polecenia służącemu w turbanie i długiej szacie, który pojawił się w progu, gospodarz wyprowadził Conana i Sathildę. Szli przez ogromną galerię, wspięli się po spiralnych schodach, mijając korytarze o lśniących jak lustra posadzkach i urządzone z ogromnym przepychem komnaty. Wreszcie, wydostawszy się spod rozłożystej

kryształowej kopuły, której przyciemniane szybki oprawiono w polerowane srebrne ramy, znaleźli się na tarasie po części osłoniętym dachem, po części porośniętym winoroślą, gdzie ustawione były miękkie sofy i fotele. Czekał tam już na nich stół uginający się pod ciężarem owoców, egzotycznych serów, ostro przyprawionego i smażonego mięsiwa. Na zaproszenie tyrana zasiedli do posiłku, ciesząc oczy rozpościerającym się przed nimi widokiem Luxuru.

Qwamba rozciągnęła się leniwie. Rozgniatała łapą surowe jajka i wylizywała je łapczywie z polerowanych kafelków posadzki.

— Oto moja domena. — Commodorus, opierając się o rzeźbioną kamienną balustradę dachu, wskazał rozległe miasto, skrzące się i mieniące w jasnych promieniach słońca. — A tu, tuż obok nas znajduje się jej serce. — Zamaszystym, choć eleganckim gestem ogarnął masywne mury Imperium Cyrku, oddalone od nich zaledwie o rzut kamieniem. — Może nie jest to dla was oczywiste, ale pod wieloma względami ta budowla jest opoką mej władzy. Dzięki temu, że wzniosłem Cyrk i od blisko sześciu lat go udoskonalam, znajduję się tu, gdzie się znajduję.

Sathilda, wbijając białe zęby w ciastko z miodem, zapytała naiwnie:

— To prawie tyle, ile trwają ustawowo rządy władcy, czy się mylę?

Commodorus uśmiechnął się do niej.

— W Dzień Bast minie siedem lat, odkąd zostałem wybrany tyranem Luxuru. Kadencja tyrana trwa siedem lat. Dla mych poddanych byłem w dniu elekcji kimś nie znanym. Wybrano mnie na to stanowisko głównie ze względu na moje koneksje w środowisku koryntiańskich kupców i dyplomatów. Byłem podówczas zaledwie salonowym pieskiem stygijskich kapłanów, jednym z wielu, przy pomocy których ci zgrzybiali starcy próbowali ugruntować swą pozycję w stolicach obcych państw, pozyskać przewagę polityczną i szerzyć zabobonną religię.

Posługiwali się w tym celu szpiegami, skrytobójcami i członkami sekretnych kultów. —

Pokręcił głową, wspominając z rozbawieniem tamte czasy. — Od tej pory jednak Luxur urósł w siłę, wymiana handlowa z zagranicą została zwielokrotniona, wzmocniliśmy naszą armię i rozszerzyliśmy na południe zasięg obszarów lennych. Zyskałem sobie miano jednego z największych władców Luxuru, a było wśród nich, zapewniam was, wielu królów, książąt i tyranów. Poza tym lud szanuje mnie — wszyscy bez wyjątku, począwszy od wysokich kapłanów po byle nędzarza z rynsztoka — dzięki temu, że każdy może spotkać się ze mną twarzą w twarz na arenie Imperium Cyrku.

— Używasz Cyrku jako narzędzia swej polityki? — spytała ze zdumieniem Sathilda.

— Jak najbardziej. Spójrzcie tylko na kształt amfiteatru. Jest jak tuba, wielki megafon, żywna dolina, w głąb której rzucam nasiona swej popularności. Macie przed sobą największy istniejący instrument władzy... może z wyjątkiem chleba. Tłumy przybywają tu, by zaspokoić swe najniższe, zwierzęce instynkty, dać upust pradawnym żądom. Kiedy stąd jednak

odchodzą, zabierają ze sobą coś więcej: ideę, imię, twarz. Dzięki tej arenie trafiam pod strzechy wszystkich domostw Luxuru. Kapłani, szlachta i kupcy nie będą mieli wyboru; w Dzień Bast muszą ponownie obrać mnie tyranem... tym razem już dożywno.

— Bez wątpienia — zauważył Conan — wygodnie jest móc rzucać przeciwników politycznych lwom na pożarcie.

— Ależ nie, drogi Zabójco — poprawił go Commodorus. — Uważam, że bardziej skuteczne jest publiczne poniżenie wrogów... jak również moich zbyt słabych sprzymierzeńców, takich jak prefekt Bulbulus. Widzieliście wczoraj nasz mały pokaz? — Przerwał i uśmiechnął się, gdy oboje przytaknęli. — Bez wątpienia słyszeliście, jak mówiono, że przed przybyciem do Stygii byłem mistrzem areny, gladiatorem? Cóż — mrugnął porozumiewawczo — nie wiercie we wszystko, co o mnie opowiadają. Byłem tylko katafraktem Królewskiej Straży Koryntiańskiej, więc potrafię dość skutecznie radzić sobie z tymi mieszczuchami. Przemoc wywiera na nich największe wrażenie, ja natomiast potrafię ją właściwie dawkować.

— To prawda — potwierdziła Sathilda z podziwem. — Wczorajsze lwy wywarły na widzach wielkie wrażenie. Chciałabym, żeby moje występy wywoływały tak ogromny aplauz.

— Kiedyś na pewno to nastąpi — rzekł szczerze tyran. — Póki co jednak chcę mieć podziw tłumów wyłącznie dla siebie. Zważywszy na zbliżające się wybory, zmuszony będę podjąć pewne kroki mające zapewnić mi mocną pozycję. Chcę, aby wszyscy mnie poparli, szczególnie wojsko. Na każdych igrzyskach pojawiają się wysocy rangą oficerowie, głośno skandują, biją brawo wraz z innymi lub nakazują to swym konkubinom. Dając popisy odwagi, pozyskałem ich szacunek. A także podziw miejscowych dostojników.

Machnął rękaw kierunku wytwornych willi, od których roilo się na wzgórzu.

— Wielmoże są już znudzeni represjami i narzucaną im przez krótkowzrocznych kapłanów dyscypliną. Żądają dostatku, zagranicznych towarów, a koryntiańska polityka stara się im to zapewnić. Uczyniłem co w mojej mocy, by zakorzeńć w tym kraju ducha mojej ojczyzny. Nie ukrywam, że pomogli mi w tym emigranci, kupcy, rzemieślnicy, inżynierowie i zarządcy przybywający tu w poszukiwaniu pracy bądź w ramach kontaktów handlowych.

— A co z pospólstwem? — zapytała Sathilda. — Czy i ono cię popiera?

Commodorus uśmiechnął się.

— Odkąd Luxur otworzył się na świat, życie stało się wspanialsze. Nowi wyznawcy napływają do świątyn Mitry i Ishtar. Ci sami budowniczoie, którzy pod mym kierownictwem stworzyli Cyrk, wzniesli też akwedukty, nowy system obronny i najwspanialsze w kraju budowle, zarówno prywatne, jak państwowe. Niewątpliwie poprawił się więc los pospólstwa.

Rodowici Stygijczycy nie byliby w stanie stworzyć równie olbrzymich i imponujących cudowności. Stygijska architektura to w gruncie rzeczy stopy kamieni z wydrążonymi w nich

tunelami. Brak jej wdzięku prawdziwej sztuki. — Tyran wzruszył ramionami. — Rzecz jasna, trudno nakłonić miejscowych robotników, aby wykonywali wszystko jak należy, i uchronić się przed ich lenistwem albo skłonnością do kradzieży.

Wzruszył ramionami, jakby ze smutkiem.

— Te drobiazgi zajmowały mnie w ostatnich latach, lecz, jak sądzę po efektach, było warto.

Widzicie, właśnie pospólstwo zyskało najbardziej. Cyrk i tysiące szczegółików codziennego życia zmieniły ich oczekiwania. Nie będą już musieli powracać do surowych, rygorystycznych rządów kapłanów Seta, do pustych dni, jakie niegdyś wiedli. Ofiarowano im szerszy wachlarz doświadczeń, swobodny kontakt z obyczajami innych ludów i wyznawanymi przez nich wartościami. Tego właśnie lud Luxuru łaknie. Zaszli zbyt daleko, by pragnąć powrotu. Teraz mogę być pewien, że poprą mnie i moją formę rządów teokratycznych.

W odpowiedzi na kwiecistą przemowę tyrana Conan chrząknął nerwowo.

— Ale z tego, co widzę, wieś wciąż wierna jest pradawnemu bogu Setowi.

Commodus ze zniecierpliwieniem pokiwał głową.

— Tak, to prawda. Upór i ciemnota świetnie pasują do tych zacofanych wieśniaków. —

Ogorzała od słońca dłonią wykonał szeroki gest w kierunku, gdzie za murami miasta rozciągały się pola. — Każda metropolia musi mieć pod swą władzą ogromną połąć ziem, na których żyją ci nieokrzesani chłopci, choćby z uwagi na pańszczyznę i dziesięcinę. Nie zamierzam tępić ich prymitywnych wierzeń, dopóki będą spokojni i posłuszni. Jeżeli chcą oddawać cześć kotom, węzom czy bocianom, niechaj to czynią. Co prawda, takie obyczaje zdają się śmieszne każdemu, kto kiedykolwiek zetknął się z naszymi hyboryjskimi bogami w ich ludzkich postaciach. — Zaśmiał się gromko, coś sobie przypomniawszy. — W początkach istnienia Cyrku mieliśmy pewne problemy... Niektórzy kapłani sprzeciwiali się zabijaniu na arenie zwierząt. Uważali, że to świętokradztwo. Na szczęście rozsądek przeważył. Obecnie Luxurczycy przywykli już do śmierci swoich świętych zwierząt z rąk śmiertelników i wątpliwe, by kiedykolwiek znów wrócili do dawnych zabobonów. Dziecinne przesady zawsze ugną się przed nowoczesnymi, oświeconymi ideami.

Tak więc — kończył Commodus — zmiany w metropolii nie muszą równać się zmianom na wsi. Kapłani Seta zawsze będą mieli w Luxurze swoje miejsce. Zasadnicza natura miasta pozostaje nie naruszona. Wiecie, na czym ona polega, nieprawdaż?

Widząc pytające spojrzenie Sathildy, tyran wyjaśniał rzeczowo dalej:

— Miasto jest umieralnią. Gnębieni powodziami, głodem czy zwykłą biedą, mieszkańcy wsi przybywają tu, aby powoli dokonać żywota. Spodziewają się naturalnie zbić fortunę lub przynajmniej wyblagać zapomogę z wielkich spichlerzy, do których latami przysyłali

dziesięcinę. Koniec końców jednak wszyscy oni umierają z przyczyn, których łatwo się domyślić. — Zabija ich nędza, choroby, przemoc, udział w wojnach, obrzędach rytualnych, ciężkie roboty. Giną podczas występu w Cyrku, a jeśli mieli mniej szczęścia w wyniku przeludnienia i epidemii szalejących w dzielnicy portowej.

Zjawiają się tu setkami i tysiącami... mieszkańcy stygijskich wsi, szukający miejsca w ciasnych murach, w których w normalnych okolicznościach nie osiedliliby się nawet tysiąc rodzin! Czy wszystkim im wydaje się, że zdołają się przystosować? Kilku szczęśliwców wygryzie innych i zajmie ich miejsce. Niektórzy zdobędą nawet sławę i zaszczyty. Ale — i to jest regułą — wszyscy oni umrą. Tak było zawsze. — Tyran rozłożył ręce.

Po tak posępnej przemowie ani Conan, ani Sathilda nie mieli już ochoty na jakikolwiek komentarz. Commodorus sięgnął po dojrzały owoc, odgryzł duży kęs, po czym podjął swój monolog.

— Nie trzeba się smucić, nie jest już tak źle, jak było. Zanim rozpocząłem rządy, kapłani Seta wypuszczali nocami na ulice wygłodniałe lamparty i pytony. Nieszczęśnicy, dla których zabrakło schronienia, zostawali pożarci, stając się przy tym ofiarami składanymi bóstwu. Po długich dyskusjach z kapłanami położyłem kres temu obyczajowi. — Commodorus wyrzucił

ogryzek za balustradę. — Tak mi przyszło teraz do głowy.... Co sądzicie o tym nowym zapaśniku, Xotharze zwanym Dusicielem? Podczas ostatniego występu spisał się znakomicie.

— Nie spotkałem go nigdy wcześniej — przyznał Conan. — I z pewnością nie chciałbym spotkać go na arenie.

— Został wystawiony do walki przez samego Nekrodiasa — rzucił z niesmakiem Commodorus. — Ów Xothar jest wielkim faworytem kapłanów. Powiadają, że szkolono go do walki wręcz, wykorzystując tajniki sztuki zapaśniczej, opracowane w jakimś klasztorze hen, pośród gór Wschodu. Wszystkie jego zwycięstwa wieńczy święte zabójstwo mające być ofiarą złożoną bogu Setowi, niczym śmierć zadawana przez świątynne pytony. — Tyran wzruszył

ramionami. — Jest szybki, ale rytualny zabójca bywa pod wieloma względami ograniczony. Ja sam jestem niezgorszym zapaśnikiem i sądzę, iż mógłbym go pokonać. A ty? — zwrócił się do Conana. — Dałbyś mu radę?

Conan, urodzony wojownik, zrećcznie unikał zastawianych nań pułapek.

— Mam nadzieję, że nigdy się tego nie dowiem.

— Chciałem cię o coś zapytać. — Commodorus przenosił wzrok z barbarzyńcy na Sathildę. —

Widziałem twój pojedynek, Cymmerianinie. Nie wiem, czy jest w Imperium Cyrku ktoś, kto byłby w stanie sprostać twej szybkości i umiejętnościom. — Uśmiechnął się. — Było dla mnie oczywiste, że wczoraj podczas walki igrałeś z Muduzayą i jego zwycięstwo nastąpiło za twym

przyzwoleniem. — Conan sprawiał wrażenie, jakby chciał coś powiedzieć, ale tyran machnął ręką, nie dając mu dojść do głosu. — Tak, wiem. Nie był w pełni sił; to również było oczywiste.

Zachowałeś się lojalnie wobec przyjaciela. Dostrzegłem to i doceniam. Chciałem wszelako rzec, iż sam zamierzam wziąć czynny udział w nadchodzących igrzyskach. Być może stanę do walki zespołowej wraz z innymi gladiatorami. To ukoronowałoby moją karierę na arenie —

uśmiechnął się pogardliwie — a także uciszyło zjadliwe plotki, jakobym tylko się popisывał.

Wówczas mógłbym raz na zawsze porzucić Cyrk i, jak to sobie dawno obmyśliłem, zająć się nieco bardziej dostojnie sprawowaniem rządów.

Aby jednak znaleźć się pośród gromady zbrojnych gladiatorów i czuć się tam bezpiecznie, będę potrzebował kogoś, kto strzegłby moich pleców. Zręcznego wojownika, na którego mógłbym liczyć, który uchroniłby mnie tak przed przypadkowym ciosem, jak i przed skrytobójczym zamachem, ale jednocześnie takiego, który schodząc z areny nie będzie ostentacyjnie manifestował swego zwycięstwa i nie przyćmi mnie sławą.

Conan bez trudu pojął, o co mu chodziło.

— Uważasz, że ja się do tego nadaję?

Commodus uśmiechnął się.

— W rzeczy samej, Conanie. Nie przyjmij moich słów za afront, ale jesteś cudzoziemcem, lud cię nie zna, nie jesteś związany z żadną walczącą tu frakcją. Prowadzący zakłady nie znają do końca twych możliwości w boju i technik walki. Z własnego wyboru przyjąłeś porażkę i odniosłeś ranę. Obecnie więc, tuszę mógłbyś odegrać dla mnie rolę, o której wspomniałem.

Dodam, iż czekałaby cię za to sowita nagroda.

— Pragniesz, bym strzegł cię na arenie w sposób dla widzów niedostrzegalny. — Conan zamyślił się na chwilę, po czym wzruszył ramionami. — Prawdę mówiąc, nie widzę w twym planie nic niestosownego ani nie znajduję powodu, dla którego nie miałbym się tego podjąć. —

Spojrzał przyjaźnie na Commodusa. — Mimo że jesteś tyranem, nie wydajesz mi się srogi.

Dajesz ludziom to, czego pragną i dzięki czemu się bogacą. Na dodatek nie jesteś bezmyślnym, ślepym sługą boga Seta. O jakiej, wyjaw mi to jeszcze, myślałeś zapłacie?

Wkrótce negocjacje dobiegły końca. Po kilku minutach dobito targu co do ceny i Commodus wręczył Conanowi mieszek z zaliczką.

— Kiedy będę gotów, by zmierzyć się z gladiatorami — rzekł Commodus — dam ci znać. To może się stać podczas najbliższego lub następującego po nim widowiska. Póki co, zajmij się

sobą i lecz swoją ranę. — Uściskał rękę Conana na modłę legionistów, Commodorus rozluźnił palce. — Jeżeli teraz zechcielibyście mi łaskawie wybaczyć... — Ujął dłoń Sathildy, ucałował i delikatnie puścił. — Zbyt długo już zwlekałem dziś ze sprawami wagi państwowej.

Mój sługa wyprowadzi was tylnym wyjściem.

Kilka wieczorów później Conan znów znalazł się w „Barce Rozkoszy”, sącząc tani arrak. Rana zagoiła się już na tyle, że barbarzyńca odważył się wypuścić z przyjaciółmi do niebezpiecznej, jak się nieraz przekonał, dzielnicy nędzy i grzechu. Oberża świeciła pustkami, było bowiem dobrze po zmierzchu. Wtem do izby wkroczyła gromada ulicznych zabijaków, którym towarzyszyło kilku zaprzyjaźnionych z Conanem gladiatorów.

Tłukąc ze zniecierpliwieniem pięściami w deski szynkwasy, zamówili napitek i wnet opróżnili swe naczynia z łupin orzechów z łapczywością ludzi spragnionych po długiej, uciążliwej i wysuszającej gardło robocie. Kilku z przybyszów obnosiło świeże sińce i krwawe pręgi, odzienie innych było poszarpane lub pocięte nożami.

Niebawem do oberży wkroczył Dath, pokrzykując donośnie już od progu:

— Podajże wszystkim kolejkę swojej najlepszej trucizny, Namphecie! Radujcie się poczęstunkiem, chłopcy, i pożegnajcie z kim trzeba, bo już wkrótce możemy przenieść się do centrum miasta!

Usadowiwszy się obok Conana i Sathildy, skinał im głową na powitanie i upił spory łyk swego arraku.

— Nie była to żadna wielka bitwa — rzekł przepaszająco. — Nie prosiłem cię Conanie, byś się do nas przyłączył, bo wiem, żeś jeszcze niezdrów.

— Z kim walczyliście tym razem? — zapytała Sathilda. — Sądzę, żeście zwyciężyli.

— Mielśmy utarczkę ramię w ramię z załogą Straży Miejskiej przeciwko tym draniom spod Wschodniego Muru. Urządziliśmy zasadzkę, by odplacić im za atak. Wygląda, że zdobyliśmy spory pas terytorium, od miejskich murów aż po świątynne wzgórze. — Dath przecesał

palcami rozczochrane włosy. — Jeżeli nie wydarzy się nic złego, od tej pory naszym miejscem spotkań będzie oberża „Pod Srebrnym Trójzębem”.

— Twoi chłopcy przenoszą się wraz z tobą? — zapytał Conan. — Zakładam, że nie są szczególnie związani ze swą rodzinną dzielnicą.

— A komu mogłoby się tu podobać? — Dath omiół wzrokiem nędzne wnętrze. — Tak czy inaczej, nabrzeże kanału wciąż będziemy mieli pod kontrolą. Kontrabanda i handel niewolnikami są zbyt cenne, byśmy mogli je sobie odpuścić. W samym mieście wszelako mamy zamiar zebrać dużo bogatsze plony. Zaproponujemy ochronę handlarzom ulicznym. W

sektorze, który przejąłem, moglibyśmy też nadzorować prace na budowach. Zyski powinny być ogromne.

— Chcesz powiedzieć, że przyczynisz się do budowy świątyń i akweduktów? — roześmiała się Sathilda.

— Ależ tak. Brygadę mam doborową. — Dath z rezerwą wzruszył ramionami. — A pieniądze i tak są kościelne, więc mało ważne, kto je wydaje.

— Może i masz rację. — Conan zgodnie pokiwał głową, by nie dopuścić do kłótni. — Dath, chciałem cię o coś zapytać. Halbard, zanim zginął, skarżył się nam, iż kazano mu poddać walkę.

Odmówił. Wiesz może, kto za tym stał?

Młody człowiek przekrzywił głowę.

— Przyjmujący zakłady ciągle szukają poufnych informacji. Wiem też, że często ustawiają pojedynki. Niechaj niebiosa wesprą gladiatora, który ma u nich zbyt wielkie długi.

Conan skrzywił się.

— Do przegrania walki skłaniał Halbarda Zagara, nasz łowca talentów. Od dnia zabójstwa jakby rozplynął się w powietrzu. Chciałbym wiedzieć, z kim współdziałał. Memtep zaklina się, że nie był jednym z jego eunuchów.

Dath w zamyśleniu pokiwał głową.

— Nie widziałem Zagara. Zapewniam cię jednak, że będę na niego uważał. Informacje, które posiada, mogą okazać się nad wyraz użyteczne.

— Przed pojedyńkiem ze mną ktoś nafaszerował Muduzayę środkami odurzającymi. Nie zabiłem jednak Kushity i zręcznie poddałem walkę. — Conan podrapał się w pierś pod luźnym bandażem. — Niewolnicy, których podejrzewałem, zostali sprzedani i wywiezieni z Luxuru, toteż zabrakło mi punktu zaczepienia.

— Z tego, co słyszałem, takie afery są w Cyrku na porządku dziennym. — Dath sęczył wolno swój napitek. — Istnieje też ewentualność, że Muduzaya sam zaaplikował sobie narkotyk, a zabójcą Halbarda mógł być jakiś zazdrosny małżonek. — Uśmiechnął się. — Zobaczymy, co uda mi się zdziałać. Przez pamięć starych czasów, kiedy obaj byliśmy w trupie Luddhew. —

Odwrócił się do Sathildy. — Mam nadzieję, iż innym artystom wiedzie się tu całkiem dobrze?

Akrobatka rozpromieniła się.

— Luddhew mówi, że nasz ostatni występ przyniósł tyle zysków co sześć spektakli na wiejskich jarmarkach. Najbardziej oplaca się wróżenie i specjalna korzenna mikstura Bardolpha.

Wpływy z zakładów podczas moich występów też są nie najgorsze. Widzowie żądają bardziej ryzykownych popisów, toteż następnym razem będę występować na trapezie nad płachtą pełną żmij.

Conan wzdrygnął się, poirytowany.

— Sathildo, czy to naprawdę konieczne? Jesteś artystką, podobnie jak każda tancerka ze świątyni, a te odrażające mieszczychy nawet tego nie doceniają. Aż za dobrze znam tak zwane cywilizowane ludy; pragną tylko widoku śmierci i cierpienia. Uważaj, żeby ktoś nie podciął ci liny, po której masz stąpać!

— Zawsze sprawdzam swój sprzęt — odparła nieco wyniośle akrobatka. — I nie wtrącam się do twoich występów na arenie. — Potrząsnęła głową. — A zresztą dziedziniec Imperium Cyrku jest brukowany. Upadek na ziemię i tak jest równy śmierci lub kalectwu. Nie ma siatek zabezpieczających. Czy żmije mogą być gorsze od spędzenia reszty życia w rynsztoku jako żebraczka? — Odwróciła się i wówczas dostrzegła pełne zgrozy spojrzenie kochanka.

Złagodniała więc i przyłgnąwszy doń szepnęła: — Nie lękaj się, Conanie. Ci tępi Luxurczycy nie mają pojęcia, które węże są jadowite. A poza tym płótno z gadami zostanie odpowiednio przygotowane. Każę naciągnąć je pod liną, dzięki czemu zarówno ono, jak i węże stanowią będą zabezpieczenie w razie wypadku.

Dath wybuchnął śmiechem.

— Nie lękajcie się, nie pisnę ani słowa. I pamiętajcie, jeśli ktokolwiek z trupy czegoś potrzebuje, jestem obecnie w stanie pomóc. — Podniósłszy się ze stolka, dołączył do swych podwładnych.

Zostali w oberży do późna, jako że od świątecznych igrzysk dzieliły ich jeszcze całe dwa dni.

W drodze powrotnej dosiadła się do rydwana dodatkowa trójka pasażerów. Byli to gladiatorzy, wciąż chęlni na udziałem w niedawnej ulicznej potyczce. Conan czuł

zadowolony z tak liczego towarzystwa. Dodawało mu ono otuchy na myśl o zasadzce, nie pisał więc nawet, gdy przy podjeździe pod górę musieli iść za rydwanem na piechotę.

Na ulicach panowały spokój i cisza, jak gdyby wieść o zwycięstwie bandy Datha ostudziła zapale wszystkich miejscowych zabijaków Przez większą część drogi nic nie zakłóciło ich przejazdu. Dopiero na ostatnim etapie wydarzył się pewien incydent. Zresztą określenie

„wydarzył się” było niezbyt adekwatne do zaistniałej sytuacji Kiedy rydwan minął ostatni zakręt, pasażerowie bowiem dostrzegli leżące na bruku ciało łowcy talentów Zagara. Zwłoki porzucono pod tylnym wejściem na teren Imperium Cyrku.

DZIEŃ BAST

— A więc Zagar zawiódł jednak swoich panów — rzekł Muduzaya. — Najpierw Halbard nie chciał przystać na jego propozycję, a potem ty zrezygnowałeś z łatwego zwycięstwa w wyreżyserowanym pojedynku.

— Z tego, co słyszałem — odrzekł Conan — jednym z przyjmujących zakłady, który z podziwu godnym zapamiętaniem stawiał przeciwko tobie, jest niejaki Sesoster. Powinieneś chyba z nim porozmawiać.

— Musiał wypłacić fortunę. Nic dziwnego, że nie darzył Zagara sympatią. Miał prawo.

Gładiatorzy gawędzili, siedząc w zawężającym się cieniu pod murem areny. Trwało kolejne widowisko. Qwamba, wielka czarna pantera, przejechała właśnie przez środek areny na pozłaczanym wozie, ciągniętym przez umajonych girlandami chłopców. Wokół wirowały jak frygi, tańczyły i podskakiwały odziane w zwiewne muśliny dziewczęta. Widzowie na trybunach niezbyt interesowali się prezentacją. Był to zaledwie przedsmak widowiska, które miało być inauguracją Dnia Bast, tradycyjnego religijnego święta.

— Ten obłudny łowca talentów za życia był nie lada utrapieniem i po śmierci przysparza mi kłopotów — poskarżył się Muduzaya. — Teraz wszyscy, co go znali, boją się mówić. To nie pozwala mi dopełnić zemsty.

— Chyba nieprędko nadarzy ci się po temu okazja — zauważył złośliwie Conan. — Masz, zadaje się, mnóstwo spraw na głowie.

— Cóż — mruknął Mistrz Miecza. — Wpierw musiałem dojść do siebie po otruciu, czyż nie?

No i jest jeszcze Babeth. Jej uzdrawiające krople i masaże ogromnie mi pomogły, ale ta kobieta wymaga, bym poświęcał jej mnóstwo czasu i sił. Teraz już pojmuję, dlaczego mi ją odstąpiłeś.

Niemniej dziękuję — dodał jakby po namyśle.

Gdy objazd Qwamby dobiegł końca, Commodorus wystąpił naprzód w swej loży i zapowiedział pierwszy tego dnia pojedynek. Na arenie nie pojawiły się złocone schody, toteż Conan domniemywał, że tego dnia tyran nie postawi stopy na arenie. Cymmerianin również nie był przewidziany do najbliższych walk, mimo że rana od miecza praktycznie się już zagoiła. Spodziewał się jednak, że przyjdzie mu wziąć udział w potyczce grupowej. Kiedy zagrzmiały trąby, odwrócił wzrok ku Bramie Bohaterów i górującej nad nią trybunie.

— Bądźcie pozdrowieni, obywatele Luxuru — rzekł Commodorus ze swego podwyższenia. —

Witam was w Imperium Cyrku i z radością przyłączam się do was, by cieszyć się tym najbardziej świętym spośród wszystkich uroczystych dni, zgodnie z pradawną tradycją naszej świątyni. Pochwalony niechaj będzie Ojciec Set i jego ziemscy słudzy oraz sędziowie —

recytował tyran z doskonale udawanym zapalem. — Zwracam waszą szczególną uwagę na zmiany, jakie poczyniliśmy w amfiteatrze. Zauważyliście zapewne, że zarówno sektory wschodnie, jak i zachodnie zostały osłonięte dachem i powiększone dzięki dobudowanym balkonom. Spodziewamy się, że podczas następných igrzysk te dodatkowe łoże także będą dostępne dla publiczności. — Skinął rękaw prawo i w lewo. — Oddaję teraz głos rzecznikowi Seta na ziemi, świętobliwemu Nekrodiasowi.

Commodus spiesznie ustąpił miejsca tysemu staremu kapłanowi, który często wraz z nim przyglądał się pojedynkom. Nekrodias, niski, żylasty, mówił modulowanym, oratorskim tonem, który nie wymagał powtórzeń w wykonaniu rozstawionych wokół areny heroldów.

— Przyjaciele i słudzy Seta! Dzisiejsze widowisko nie bez kozery rozpoczyna się wydarzeniem, które, z woli bożej, potwierdzić musi naszą prostą, szczerą wiarę. Podczas tych igrzysk dopełni się surowa boska sprawiedliwość, a stanie się to w sposób niewątpliwe pouczający i ciekawy.

Jak zauważył Conan, arena została po raz kolejny przebudowana. Pośród łańcuchów piasku ziały prostokątne doły. Uczestnicy inauguracyjnego korowodu musieli się nieźle nagimnastykować, aby przejść pomiędzy nimi bezpiecznie, omijając wszelkie pułapki.

Gdy Nekrodias rozpoczął swą przemowę, od Bramy Bohaterów nadjechał chyżo rydwan z niewolnikami i płonącym kociołkiem umieszczonym tuż za woźnicą.

Rydwan zatrzymał się niebezpiecznie blisko krawędzi jamy, po czym woźnica zapalił pochodnię i wrzucił ją do dołu, skąd natychmiast buchnął ogień i kłęby oleistego dymu.

Tłum zaczął szemrać. Na trybunach zapanowało podniecenie, które narastało, w miarę jak woźnica podpalał kolejne doły. .

— Wierni poddani Seta — grzmiał Nekrodias — widzicie przed sobą świętą moc oczyszczającego płomienia! Zapytuję was, co może lepiej zbawić duszę niżli karząca moc ziemskiego cierpienia? I czyż istnieje pewniejsza próba wiary?

Tu, na tę arenę, sprowadziliśmy dziś najbardziej złowrogich, zepsutych i plugawych złoczyńców, czcicieli szatana, kalających czystość naszego imperium. Obywatele! Oto heretycy, fałszywi prorocy ze wschodnich rubieży! Miast klęczeć w świątyniach i sanktuariach prawdziwego boga, woleli oddawać cześć surowym skałom i glazom ich pogańskiej pustyni i odprawiać modły do powietrznych wirów, znaczących drogę złych duchów i dżinów. Zaparli się słusznej wiary naszego imperium, odwracając z pogardą od świętej prawdy. Spośród wszystkich bogów, których czcimy, nie wybrali żadnego, lecz wielbili prymitywne, prastare zło.

Choć słowa tchnęły religijnym uniesieniem, kapłan przemawiał chłodnym jednolitym tonem.

Jak mało kto, potrafił kierować emocjami tłumu. Niemal namacalne fale nienawiści sływały na arenę, niczym lejący się z nieba żar.

I wtedy przez Bramę Skazańców wprowadzono gromadę pospolitych z wyglądu Stygijczyków, może odrobinę bardziej ogorzałych od słońca, odzianych w lachmany, które przydawały im komicznie żalosego wyglądu. Byli to mężczyźni i kobiety, młodzi i starzy.

Szło ich pół setki, jeśli nie więcej. Nie było wśród jeńców małych dzieci, o ile Conan mógł to stwierdzić poprzez zaslonę trzepoczących płomieni i kłęby dymu bijące z prostokątnych jam.

— Zasady są następujące: heretycy będą uzbrojeni w drewniane pałki, podobnie jak gladiatorzy, strażnicy i stróże naszej świątyni. Ci, którzy przekroczą obszar płonących dolów i miną bez szwanku strażę, wyjdą wolni Bramą Bohaterów. Oszczędzeni zostaną także ci, którzy się nawrócą.

Nekrodias jeszcze mówił, gdy do gladiatorów zbliżył się Memtep. Wydawał każdemu z nich wyjęte z worka zaokrąglone drewniane pałki. Podchodząc do Conana, powtórzył to samo co pozostałym:

— Żadnej stali. Jeśli padną na kolana i uczynią znak węża, oszczędź ich.

Na dźwięk trąb gladiatorzy postąpili naprzód. Conan widząc, że najgęściej było od dymu pośrodku areny, pospieszył w tamtą stronę. Zadanie ani trochę mu się nie podobało, ale miał już pewien plan.

W oddali majaczyły sylwetki rzekomych czcicieli diabła, odganianych od bramy przez uzbrojone we włócznie strażę. Nie sposób było stwierdzić, wyznawcami jakiej religii mienili się w rzeczywistości owi nieszczęśnicy, niemniej z pewnością musieli obrazić Najwyższą Świątynię i jej politycznych sojuszników. Niektórzy z młodszych mężczyzn rzucili się naprzód, wymachując pałkami, gotowi walczyć za swą wiarę. Jednakże większość kobiet i starców upuściła broń lub też ciągnęła ją za sobą po piasku.

Gladiatorzy ochoczo ruszyli w ich kierunku, zawsze żądni walki i możliwości wykazania się.

Tym razem Conan pozostał w tyle, kierując się ku najmniej widocznej części areny, spowitej niby zasloną kłębami ciemnego dymu.

Wokoło rozgorzała walka. Conan usłyszał rozpaczliwe krzyki, trzask pałek i od czasu do czasu ciężkie młaśnięcie drewna, dosięgającego ciała i kości. Po jego lewej i prawej stronie heretycy byli spychani do gorejących ogniem jam. Cymmerianin nie zauważył, by los ten spotkał choćby jednego gladiatora, mimo iż pozostawali oni w mniejszości. Próbujących się bronić jeńców powalano na ziemię, a potem mściwi, żądni krwi wojownicy siłą spychali lub skopywali kulących

się wyznawców szatana w głąb ognistych czeluści, z trudem tylko unikając przy tym uduszenia lub poparzeń od bijących w górę płomieni.

Nagle Conan ujrzał, jak zza zasłony dymu wylania się jakaś postać, siwobrody starzec w postrzępionej szacie, przyciskający do piersi pałkę skrzyżowanymi ramionami. Na widok gladiatora mężczyzna odważnie postąpił naprzód. Nie oglądając się na ginących towarzyszy, nie zważając na ich jęki i bojowe okrzyki, ruszył w stronę barbarzyńcy.

Pośród fal żaru i żółtych oparów spojrzenia starca i Cymmerianina spotkały się.

— Zadaż mi cios, dziadku! — zawołał Cymmerianin w mowie Stygijczyków. — Dalejże, uderz mnie w głowę! Ja upadnę, a ty będziesz mógł dotrzeć bezpiecznie do wyjścia.

Mężczyzna, jeżeli nawet go usłyszał, nie dał tego po sobie poznać i wciąż parł naprzód. Nie uniósł pałki do ciosu, po prostu szedł, jakby zamierzał obojętnie minąć gladiatora.

Conan, niepewny czy cudzoziemiec go zrozumiał, przeszedł na powszechnie znany dialekt z południowych pustyń.

— Dalej! — zachęcał. — Uderz mnie najmocniej jak umiesz! Ja upadnę, a ty wyprowadzisz stąd swoich ludzi.

Przesunął się nieznacznie, by zastąpić staremu drogę i uniósł w dłoni pałkę.

— Zamarkuj walkę.

Oczy, gorejące w ogorzałej twarzy, odnalazły wzrok Cymmerianina. Mogło się wydawać, że Stygijczyk uśmiechnął się. Gdy skrzyżował, Conan nie odezwał się już słowem.

Patriarcha zdecydowanym gestem odrzucił pałkę. Zanim barbarzyńca zdążył zorientować się, co się dzieje i powstrzymać starca, ten zbliżył się do skraju najbliższej płonącej jamy i skoczył.

Conan zastygł, osłupiał. Wokół niego rzeź dobiegała końca. Żaden z jeńców nie zdołał

dotrzeć do Bramy Bohaterów i nie było już na arenie heretyków, którzy dzierżyliby w rękach pałki. Ci, co przeżyli, klęczeli na ziemi w pozie wymuszonego poddania. Prawdopodobnie niektórzy wciąż ludzili się, że powrócą do swych dzieci.

Conan oszołomiony rozglądał się po arenie. Żar był ogromny, powietrze gęste od smrodu smoły i spalonych ciał. Niewolnicy zaczęli już gasić płomienie, zasypując doły piaskiem.

Tymczasem nowo nawróconych wyznawców Seta wyprowadzono przez Bramę Bestii.

— Koszmarne widowisko — zauważył Muduzaya, gdy wracali na swoje miejsca, by odpocząć. — Jeżeli o mnie chodzi, nie zabiłem ani jednego z tych nieszczęśników — wyjaśnił

niejako mimochodem, rzucając pałkę na stertę pod murem areny. — Dałem jednemu po uchu i powaliłem na kolana, więc uznano go za nawróconego. To dało początek jego naśladowcom.

— Skąd oni się wzięli? — zapytał półgłosem Conan. — Czy wiedzieli, co ich czeka?

Muuzaya wzruszył ramionami.

— Sądzę, że to Altaquanie z południowo-wschodniej części imperium. Pogańskie plemiona już nieraz były masakrowane na tej arenie.

Conan chrząknął w zamyśleniu. Jeśli siwobrody starzec był Altaquaninem, musiał zrozumieć słowa Conana. Chyba że był głuchy jak pień... Bo niby dlaczego miałby z własnej woli pozbawić się życia?

Cymmerianin, pogrążony w rozmyślaniach, usiadł na stołku, niemal nie zwracając uwagi na posługaczy zmywających sadzę i piach wonną wodą z cebryków. Siedział zadumany, nie zwracając uwagi na kolejne punkty programu igrzysk. Tymczasem na arenie pojawiły się rydwany, artyści, zabito także jakiegoś dzikiego zwierza. Conan zatracił się w rozmyślaniach.

Wspominał krótkie spotkanie, wyraz twarzy starca i jego skok w ogień. Ta decyzja oszołomiła barbarzyńcę bardziej, niż gdyby patriarcha wyrzucił go w głowę drewnianą pałką. Podstawową zasadą, którą wpoił sobie w ciągu wieloletnich wędrówek, było, że człowiek kurczowo trzyma się życia. Cymmerianin wierzył, iż póki dłoń ściska rękojeść miecza, poty jest zawsze nadzieja.

Czemu odważny mężczyzna, zapewne wódz klanu, pełen wigoru i werwy, miałby z rozmysłem targnąć się na własne życie? On, Conan, zaproponował mu drogę ku wolności i tamten bez wątpienia to zrozumiał. Czy zatem jego śmierć była aktem odwagi, czy tchórzostwa, świadectwem najwyższej wiary, czy wyrazem poddania się czarnej rozpacz? Czy może należało uznać ów czyn za próbą położenia kresu rzezi? A jeśli człowiek ten rzucił się w ognistą otchłań z przekonaniem, iż bogowie sowicie go za to po śmierci wynagrodzą?

Conan otrząsnął się z zadumy dopiero podczas popołudniowych walk jeden na jednego.

Heroldowie zapowiedzieli występ Saula Silnorękiego i tłum natychmiast gromko podchwycił jego imię. Osilek stoczył z kimś walkę — chyba z Sistusem — i zabił go.

I nagle spośród wojowników wystąpił uśmiechnięty szeroko Roganthus i przechodząc obok Cymmerianina, poklepał go radośnie po ramieniu. Conan usłyszał, jak Muuzaya wykrzykiwał za przyjacielem ostatnie wskazówki.

— Użyj broni, Roganthusie! Nie pozwól, by cię zamknął w uścisku!

Unosząc obie ręce nad głową w zuchwałym geście, który wywołał aplauz publiczności, siłacz

wyszedł na arenę... i stanął naprzeciw Xothara Dusiciela.

Roganthus wydawał się wyjątkowo pewny siebie. Zakręcił mieczem młynka nad głową, po czym odrzucił broń w piach. Dwaj zapaśnicy pochyleni, zgarbieni krążyli na przemian to w lewo, to w prawo. Roganthus wykonał zwód, usiłując schwycić przeciwnika za kark i w tej samej chwili ramiona Dusiciela opasały mu pierś. Został brutalnie powalony na kolana, odchylił się w tył. I już się więcej nie podniósł.

Cymmerianin jak przez mgłę słyszał szaleńczą owację tłumu. Miał wrażenie, jakby płaszczyzna piasku była membraną olbrzymiego werbla, którą wprawiały w ruch kolejne fale krzyku.

Przy wtórze gromkich oklasków Xothar opuścił arenę. Conan siedział otępiały. I nagle to, co ujrzał, sprawiło, że poderwał się ze stolka i chwycił za broń. Czerwoni kapłani wlekli ciało Roganthesa w kierunku Bramy Umarłych. Conan popędził ku nim z uniesionym mieczem.

Usłyszał, jak Muduzaya i inni wykrzykują jego imię, lecz ich wołania wnet pozostały w tyle.

Biegł w kierunku sług świątyni, przeskakując narożnik jednego, potem drugiego, jeszcze gorącego dołu. Widzowie dostrzegli go, ich wrzaski przybrały na sile.

Kapłani dobrnęli już ze swym brzemieniem do bramy. Za chwilę mieli zniknąć w mrokach tunelu. Conan niemal deptał im po piętach. Dopadł wrót, gdy te właśnie się zamykały. Pchnął je z całej siły i przecisnął się na drugą stronę.

Brama zamknęła się za nim i natychmiast przestał cokolwiek widzieć.

Po jasno oświetlonej słońcem arenie pomieszczenie to przypominało grobowiec. Opodał rozległy się krzyki i tupot stóp. Conan poczuł, jak wpadają na niego odziane w długie szaty postaci. Uniósł miecz. Uderzył klingą i kłykciami w niski sufit, a zaraz potem silne palce wyrwały mu z dłoni rękojeść. Pochwycił napastnika, podźwignął w górę i wtedy właśnie na czasce barbarzyńcy rozbił się gliniany dzban, zalewając mu twarz ciepłą wodą lub, co również możliwe, krwią.

— Przytrzymajcie go! Powalcie na ziemię! Dołóżcie mu jeszcze! — Wokół rozbrzmiewały pełne przerażenia okrzyki. — Oszalał po tej rzezi na arenie!

— Diabły, przekłęci wypychacze mumii! — ryknął Conan w ciemność. — Oddajcie mi Roganthesa! To dumny Bossończyk! Zgodnie z obyczajem powinno się go pochować na rozległej łące, wśród kwiatów i traw, nie zaś owiniętego bandażami wmurowywać w ścianę!

W przypiływie wściekłości Conan odepchnął kilku napastników. Rzucił się naprzód... i uderzył głową w niewidoczny filar. Przed oczami Cymmerianina zatańczyły setki małych, barwnych mroczków.

— Wystarczy! Przytrzymajcie go płasko na ziemi.

Wśród wirujących udarowych plam Conan ujrzał prawdziwy płomień, który przybliżył się do jego twarzy. Poczul też, jak silne palce obmacują mu pulsującą bólem czaszkę.

— Nic mu się nie stało. Wciąż jest przytomny... Zdziwiająca. Jak cię zwa?

Z ogromnym wysiłkiem Conan zdołał zebrać myśli i wyrzucić z siebie dwie krótkie sylaby.

— Świetnie. Teraz leż. Ja jestem Manethos, główny kapłan tutejszej kostnicy. Uspokój się, nie skrzywdzimy twego przyjaciela. Nie zrobimy z nim nic, czego byś sobie nie życzył.

Gdy wirowanie przed jego oczami ustalo, Conan zdołał dostrzec zarysy otaczających go rzeczy i ludzi. Izbę oświetlały stoczki, umieszczone w uchwytych na ścianach. Krótkobrodzi kapłani o zapadniętych oczach, którzy nad nim klęczeli, również ściskali w dłoniach świece. W

słabym blasku płomyków czerwien powłóczystych sakralnych szat wydawała się niemal czarna jak zakrzepła krew.

— Nie mogliście już bardziej skrzywdzić Roganthusa — mruknął Conan. — Ale co ze mną?

Już raz próbowaliście zaciągnąć mnie tutaj, choć wtenczas byłem znacznie dalej od śmierci niżli teraz. Czy i mnie również zamierzacie wypatroszyć?

— Bzdura — uspokoił go Manethos. — Nie zabijemy cię, w ogóle nie zrobimy ci nic złego.

Ani mnie, ani moich akolitów nie interesują żyjący... a przynajmniej nie na tym etapie naszych badań. — W jego głosie zabrzmiało jakby rozgoryczenie. — Służymy wyłącznie umarłym.

— A zatem wypuście mnie? — upewnił się Conan. — Bo, jak powiadają wśród gladiatorów, nikt jeszcze, kto przekroczył tę bramę, nigdy nie powrócił.

— To absolutny nonsens — zaproponował ostro Manethos. — Na całym świecie nie ma chyba bardziej zabobonnej bandy niżli ci twoi gladiatorzy. No dalejże, spróbuj, czy możesz wstać.

Z pomocą kapłanów Conan zdołał się podnieść, lecz natychmiast zachwiał się i zatoczył na Manethosa. Oczy barbarzyńcy bowiem dostrzegły przerażający widok. Na podwyższonej kamiennej płycie leżało ciało Sistusa, młodego gladiatora, którego protegował Dath. Brzegi skóry rozkrojonego przez środek brzucha rozchylone były na boki i przytrzymywane w tej pozycji hakami, mosiężnymi klamrami i drewnianymi zaostrzonymi kóleczkami.

— Czart! Plugawy nekromanta! — Miotającego się Conana otoczyli ze wszystkich stron akolici, co skądinąd wyszło mu na zdrowie, gdyż niechybnie by się przewrócił. — A cóż innego wyczyniasz z tym nieszczęsnym młodzieńcem — chrypiał barbarzyńca — jeśli nie rozkrajasz go i wywlekasz flaki, kawalek po kawalku?

— Cięcie zadał mu twój współtowarzysz, którego zowią Silnorękim — odparł spokojnie Manethos. — Sądząc po efektach, bardziej stosowny byłby przydomek Tępy Miecz. To on zabił chłopaka. My tylko badamy zwłoki i staramy się wyciągnąć możliwie jak najwięcej wniosków, dotyczących ciała i jego budowy, boskiego cudu, który ty i twoi kompani tak lubicie niszczyć i plugawić.

— To, co tu czynicie, jest w najwyższym stopniu nieprzystojne — próbował jeszcze oponować Conan. — Wnętrznosci człowieka są jego osobistą własnością. Macając je, wywlekając i babrząc się w nich naruszacie prywatność.

Manethos wybuchnął śmiechem.

— Podejrzewam, że lepiej uczyniły by to sępy, muchy i gryzonie?

— Tak nakazuje naturalny porządek rzeczy — upierał się Cymmerianin. — Naruszanie spokoju umarłych jest plugawe, ohydne i trąci nekromancją! Wiedza, której z tak odrażającym zapalem poszukujecie, wykracza poza ludzkie zdolności pojmowania i dostępna jest wyłącznie bogom.

— Nonsens — stwierdził krótko Manethos. — Powiedz no, przyjrzałeś się kiedy rozrąbanym przez siebie ciałom?

Odsuwając się, kapłan odsłonił Conanowi rozkrojone zwłoki.

— Spójrz tu, ten organ w samym środku to serce. Bije ono w twojej piersi, póki żyjesz. Działa jak pompa, wtłaczając jeden z humorów — krew — do wszystkich części ciała. Ten worek tutaj to żołądek, zawarte w nim kwasy spalają pokarm, zapewniając ci napęd wewnętrzny.

Wszystkie te narządy współdziałają ze sobą i każdy śmiertelnik pod tym względem wygląda identycznie. Zwierzęta również zbudowane są podobnie.

— Czyżby? — Conan zauważywszy, że ciało młodego Sistusa zostało najwyraźniej odsączone z krwi, a posokę zebrano do miednic i cebrzyków stojących u stóp kamiennej płyty, odwrócił głowę z obrzydzeniem. — I to cała sekretna wiedza, do której tak uparcie dążycie? Co wam ona daje? Może władzę nad umarłymi? Albo zyskanie za pomocą jakichś plugawych rytuałów znanych waszemu bractwu mrocznych wpływów na żyjących?

Manethos skrzywił się i wzruszył ramionami.

— Po pierwsze, wiedza ta umożliwia leczenie i opatrywanie ran, które tobie podobni z taką rozkoszą zadają sobie nawzajem. Po drugie natomiast, podsuwa pomysły różnych sposobów leczenia innego rodzaju chorób, złych humorów i niedyspozycji, od najdawniejszych czasów dotyczących ludzkość. — Potrząsnął okrytą kapturem głową. — Niestety przełożeni świątyni

zakazali nam tych odważnych badań, jak również dokonywania eksperymentów z lekami, mającymi przynieść ulgę żyjącym. Przynajmniej na razie nasza działalność jest ograniczona do tej niewielkiej pracowni w podziemiach areny. Na szczęście mamy tu stałe źródło świeżych zwłok, ważne tylko byśmy na koniec zgodnie z rytuałem starannie je zabandażowali i poświęcili. Jak sam zauważyłeś, jesteśmy mumifikatorami.

— Na mój gust wszystko to jest plugawe i nieczyste — upierał się Conan, dotykając zranionego czoła. — Jeśli nawet wasze piekielne poczynania nie są w pełni tego słowa nekromancją, to z pewnością balansujecie niebezpiecznie na jej krawędzi.

— No i rzecz jasna — przerwał mu Manethos — jest jeszcze inny owoc naszych badań, który może zainteresować cię najbardziej. — Zaprosił gestem Conana wraz z gromadką akolitów, by podążyli za nim. — Mówię o nowych, bardziej skutecznych technikach zabijania i zadawania ran istotom ludzkim. Temu również może służyć wiedza uzyskana dzięki naszym badaniom.

Conan, teraz już zainteresowany, pospieszył za Manethosem. Czerwony kapłan ukląkł przy ciele Roganthusa, spoczywającym na sienniku pod kamienną ścianą krypty.

— Ten człowiek — powiedział — umarł wyjątkowo bolesną śmiercią z rąk niejakiego Xothara, świątynnego zabójcy z naszej wschodniej domeny. Dotąd tylko raz czy dwa widziałem skutki jego morderczego uścisku, ale pewne objawy powtarzają się. Jak sam widzisz, na zwłokach nie ma żadnych ran lub sińców, a język nie wysunął się z ust. To typowe.

W migoczącym świetle Conan przyjrzał się ciału przyjaciela. Mimo iż wydawało się nietknięte, nie mógł powstrzymać dreszczu zgrozy.

— Jak on to zrobił? — zapytał bez ogródek.

— W dość prosty sposób. Xothar nie tyle dławi, ile dusi swoje ofiary.

Długi palec Manethosa zawisł nad szyją trupa.

— Dzięki starannemu treningowi nie łamie on karku, nie miażdży tchawicy ani nie zgniata kości gnykowej ofiary, nie zatyka jej również ust ani nosa, aby pozbawić przeciwnika dostępu powietrza. Swą metodę walki zapożyczył od wielkich świątynnych węży, pytonów i boa dusicieli. — Wykonując obiema dłońmi energiczne gesty, Manethos nachylił się nad zwłokami.

— Dzięki uzyskanej wskutek głębokiej koncentracji nadludzkiej sile Xothar wydusza powietrze z płuc ofiary. Rozpoczyna od nieszkodliwego, lekkiego uderzenia w splot słoneczny.

— Dwoma palcami dotknął ciała we wspomnianym miejscu. — Następnie, wykorzystując narastający ucisk, nie pozwala po prostu ofierze na zaczerpnięcie oddechu. Nie ma miotania się, narastającej paniki ani prób stawiania oporu. Z człowieka wypływa życie. Oto czysta i uświęcona forma zabijania, uznawana przez dawne prawa i przyjmowana jako ofiara dla Wszechmocnego Seta. — Manethos złożył ręce. — Z uwagi na jego niezwykle umiejętności

nazywają tego zapasnika Dusicielem.

Conan wzdrygnął się.

— To, co właśnie opisałeś, Manethosie, wydaje się równie złe i plugawe jak wszystkie czyny, których tu dokonujecie. Śmierć jest dużo lepsza, gdy zadaje się ją po męsku, ciosami miecza.

Wstał od mar, gdzie leżało ciało Roganthusa.

— Zatem... jeżeli faktycznie zamierzasz potraktować z honorem jego doczesne szczątki...

Czerwony kapłan również się podniósł.

— Obiecuję ci, to... Prawo świątyni zresztą zabrania nam czynić coś więcej prócz zabalsamowania ciała, natarcia go wonnościami i owinięcia w bandażę...

— By zmieniło się w smakowity kąsek dla Ojczulka Seta? — Conan smętnie wzruszył

ramionami. — Dobrze więc. Chyba biedak nie miałby nic przeciwko temu. Nie podobalby mu się tylko rodzaj śmierci, jaką umarł. Jeśli tylko obiecacie, że potraktujecie go godnie... —

Rozejrzał się dokoła. — Czy teraz mogę już odejść? Dość mam tych zimnych kamiennych lochów. Na Croma, a cóż to takiego?

Od jakiegoś czasu przez sklepienie krypty dochodziły ich gromkie okrzyki, płynące z areny.

Naraz ściany dosłownie zatrzęsły się, zadrgała kamienna podłoga pod ich stopami, a ze szczelin w suficie posypał się kurz.

— Podskakują na ławkach i tupią nogami — wyjaśnił wyraźnie zrezygnowany Manethos. —

To wyjątkowo kłopotliwe, gdy jednocześnie wrzeszczą i miotają się.

Jeden z akolitów uchylił ciężkie wrota, by wyjrzeć na arenę.

— Wasza Świątobliwość — zwrócił się do Manethosa — znów jesteśmy potrzebni.

— Idźcie więc i przynieście zwłoki tutaj. — Czerwony kapłan podszedł do drugiej, jeszcze pustej kamiennej płyty. W świetle docierającym z dworu zaczął odstawiać na bok cebrzyki i najróżniejsze narzędzia, by zrobić miejsce dla kolejnego nieboszczyka.

— Jeśli chcesz odejść — zwrócił się do Conana — wyjdź wewnętrznymi drzwiami do tunelu.

W ten sposób zaoszczędzisz sobie i moim pomocnikom kłopotów z tą dziczą na trybunach. Po co niepotrzebnie zwracać ich uwagę?

Conan, mimo iż jasne światło niemal zupełnie go oślepiło, stał w otwartych drzwiach, patrząc jak dwaj czerwono odziani akolici wloką w kierunku bramy ciało kolejnego nieszczęśnika.

Gdy ucichł nieco hałas wywołany tupaniem i oklaskami, Conan usłyszał, że widzowie gromko skandują imię „Baphomet”. Cymmerianin był ciekaw, kogo też młody uliczny wojownik pokonał w trzeciej rundzie pojedynków indywidualnych.

Ciało, zgrzytając i szurając, gdy przeciągano je w okrwawionej zbroi przez próg na płóciennych noszach, wydawało się ciężkie i bezwładne. Cymmerianin patrzył, jak z głowy nieszczęśnika zdejmowano pocięty hełm. Twarz, którą ujrzał, była dobrze mu znanym z nocnych hulank obliczem wojowniczego Ignobolda. Spomiędzy warg Conana wyrwało się siarczyste przekleństwo.

— Wasza Świątobliwość, ten jeszcze żyje.

Jeden z akolitów zdjął pocięty napierśnik, odsłaniając szczelinę ziejącą w barku gladiatora, i wskazał palcem na górny fragment głębokiej rany ciętej. Tam właśnie, pośród rozplątanych tkanek i leżącej się krwi pulsowała tętnica.

— Na Mitrę — rzucił Conan, szukając swego miecza — jeżeli go uśmiercicie, posiekam was na kawalki.

— Dość tego! Z drogi, na stół z nim! — Manethos władczy tonem nakazał swym kapłanom, by otoczyli ciało. Conan, schyliwszy się, niemal bez pomocy podźwignął bezwładne ciało i złożył je na kamiennej płycie. Z ust Ignobolda dobył się cichy jęk. Główny kapłan odsunął

Cymmerianina, by lepiej przyjrzeć się pacjentowi.

— Wy dwaj, przynieście igły i nici, a także świeże bandaże i gazę do oczyszczenia rany. Ty tam, przytrzymaj mu głowę. Zevo, miskę z czystą wodą, a żywo! A ty, gladiatorze, dociśnij palcami w tym miejscu, o tak, w dolnej części rany. Ułóż tu rękę, palce tu i tu, nie, nie tak, o właśnie i pchaj. Naciskaj mocniej, właśnie tak. Tak trzymaj, nie zmniejszaj ucisku.

Conan, choć nie przywykł do tak ostrego tonu, robił co w jego mocy, by wypełnić polecenie.

Krew przesączała mu się między palcami, które raz po raz ześlizgiwały się z lepiącej od posoki skóry Ignobolda.

— Co to nam da? — spytał niepewnym tonem Cymmerianin. — Większość jego krwi wsiąkła przecież w piasek areny.

— Chodzi o to, by nie wypuścić zeń tej resztki, jaka w nim pozostała — odparł przez zaciśnięte zęby Manethos. Gdy przyniesiono mu miskę z wodą i gazę, natychmiast zajął się raną, przemywając ją, czyszcząc i badając, rozchyliwszy jej brzegi.

— Głęboka, to prawda, ale może uda się nam coś na to zaradzić. Jak widzisz, kość została przecięta, ale zrośnie się. Trzymaj mocno, gdy będę polewał, teraz trochę zmniejsz napór i daj mi zajrzeć do środka. Wystarczy. Naciśnij tutaj.

Krew nie lała się już zbyt silnie. Ot, sączyła się leniwą strużką, czy to za sprawą nacisku palców barbarzyńcy, czy może dlatego, że nie zostało jej już w ciele zbyt dużo. Tymczasem Manethos odrzucił okrwawioną gazę, wybrał igłę i wprawnie w słabym, migotliwym blasku świec nawlekł nić.

— Cóż to za osobliwy rytuał? — rzucił ostro Conan, który stał się znowu podejrzliwy. —

Zamierzasz sporządzić mu giezło, aby mógł w nim spotkać swoich bogów?

Kapłan bez słowa wyjaśnienia jął zszywać ciało Ignobolda, zręcznie omijając dociskające ranę palce barbarzyńcy. Igła zagłębiała się w ciele, przewlekając nić przez różnobarwne warstwy tkanek. Manethos starannie i mocno połączył równym ścięciem brzegi rany, które nieznacznie się przy tym wybrzuszyły. Conan z mieszaniną zgrozy i zdumienia patrzył, jak kapłan, niczym urodzona szwaczka, kończy jeden ściąg i rozpoczyna tak samo i skrupulatnie drugi. Czuł, że jego własne dłonie zaczynają słabnąć i dygotać, a potem ciemna chmura zaćmiła mu wzrok i wszystko spowila mglista zasłona niepamięci?

„SKOŃCZYŁEM Z ZABIJANIEM”

Jak na nowicjusza wśród gladiatorów, Roganthus miał wystawny pogrzeb. Zgromadziło się mnóstwo ludzi. Oprócz przyjmujących zakłady przyszli miłośnicy cyrku, płaczki odziane w czerń i wszyscy członkowie zespołu Luddhew z wyjątkiem Datha, który, przepraszając za nieobecność, przysłał wieniec laurowy oraz lilie. Znaleźli się tu również liczni zwolennicy Ignobolda. Większość z nich przyjęła ze zdumieniem wieść, iż dochodził on do zdrowia w świątynnej infirmerii. Nie sposób stwierdzić, czyjego zmartwychwstanie bardziej ich rozczarowało czy ucieszyło. Zostali wszelako na pogrzebie, mimo iż ceremonię odprawiono tylko dla dwóch wojowników, Roganthusa i znacznie mniej znanego Sistusa.

Conan zjawił się również. Nie miał już opatrunku na piersi, a jedynie gruby bandaż wokół głowy. Poza tym wydawał się w pełni sił. Wiele osób widziało, jak wdarł się za kapłanami przez Bramę Umarłych, i sporo na ten temat szeptano, on jednak nie wspomniał ani słowem, co tam zaszło. Teraz przyglądali mu się czujnie, zarówno wielbiciele walk, jak i przyjmujący zakłady, którzy, lustrując Cymmerianina od stóp do głów, usiłowali określić jego kondycję fizyczną oraz szansę w kolejnych pojedynkach.

Podczas zamurowywania mumii, pomimo gniewnych spojrzeń cyrkowców, tłum nie potrafił zachować należnego milczenia. Tak wiele było spraw do omówienia — gwałtowny wzrost notowań zapaśnika Xothara, bezprecedensowa ucieczka Ignobolda zza Bramy Śmierci i najważniejsze obecnie wydarzenie, wybór tyrana Luxuru, którym, jak wszystko na to wskazywało, ponownie miał zostać Commodorus. Jego siedmioletnia kadencja dobiegła formalnie końca w święto Bast. Nekrodias jednakże przedłużył okres rządów Commodorusa do zapowiadanego za kilka dni Wielkiego Widowiska.

Szeptano, że stary kapłan ugiął się przed tym co nieuchronne, że ponownie wybrany do władzy tyran będzie pełnił swą funkcję dożywotnio. Obywatele Luxuru zostaną postawieni przed faktem dokonanym.

Tymczasem w przerywanej szmerami ciszy, jaka nastąpiła, gdy kapłan zakończył mowę pogrzebową, zbита w ciasną gromadkę trupa cyrkowców zaczęła oplakiwać przyjaciela.

— Roganthus nie powinien był przyłączać się do gladiatorów — lamentowała Sathilda. — Nie był urodzonym zabójcą... Widzieliście, jak odrzucił miecz, nim stanął przed tym świątynnym mordercą?

Jocasta, jedna z niewielu obecnych, którzy ronili szczere łzy rozpacz, rzuciła z rozgoryczeniem:

— Ostrzegalam go, by nie stawal do walk. Jego ukklad gwiazd byl zly, najgorszy od wielu miesiacy! Ale on mnie nie usluchal. Nie chcial rozczarowac swej publicznosci, po prostu nie znioslby tego.

— Byl prawdziwym artysta — potwierdzil Conan. — Co sie tyczy umiejetnosci zapaśniczych, nie moge powiedziec nic konkretnego, gdyz w jedynym pojedynku, jaki stoczyliśmy, odniosl nieszczęśliwym trafem kontuzje.

— Miesiące rekonwalescencji byly najgorszymi w całym jego życiu — oświadczył Bardolph.

— Utrata podziwu widowni zranila go bardziej aniżeli obrażenia fizyczne. To właśnie, a nie kontuzja, sprawilo, że zaczął nadmiernie pic.

— Racja — potaknela zaplakana Jocasta. — Uwielbial poklask. Tak sie cieszył, gdy w Luxurze przechodnie rozpoznawali go na ulicy, a wielcy tego miasta zapraszali na uczty i przyjęcia.

Można powiedziec, że Imperium Cyrku bylo spełnieniem marzenia jego życia.

— O tak — potwierdzil Conan — chociaz ostatecznie tu właśnie znalazl swój koniec. I nie zdązyl nawet zbyt dlugo plawic sie w glorii chwały. Teraz, gdy juz go nie ma, musimy zadecydowac o naszej własnej przyszłości w Luxurze. Czy stac nas na taką popularność, skoro ostatecznie wszyscy możemy zaplacic za nią głową? Jest niemal pewne, że dalszy pobyt będzie oznaczal śmierć kolejnych członków trupy. — Objal ramieniem Sathildę. — Co do mnie, nie lubię, gdy przymusza sie mnie do dokonywania trudnych wyborów.

— Conanie, widzę, że śmierć drogiego przyjaciela mocno cie poruszyla — rzekl Luddhew ojcowskim tonem, podchodzac do Cymmerianina i obejmujac go serdecznie. — Nie pozwól wszelako, by smutek nazbyt tobą zawladnal. Większości z nas nie grozi takie niebezpieczeństwo jak to, na które narazil sie Roganthus. Występy na tutejszej arenie i drobne interesy w mieście przyniosly nam sowity dochód. Nie obawialbym sie zbyttnio o utratę kolejnych członków naszej trupy. Bądź co bądź jesteśmy zręcznymi artystami.

— Nie dostrzegacie grożacego wam niebezpieczeństwa. — Conan odwrócił sie od mistrza i powiódl wzrokiem po twarzach pozostałych członków trupy. — Ja wszelako miałem okazję być świadkiem wydarzeń na arenie i wiem, co dzieje sie w mieście. Czy moge zachowywac sie, jakby nic sie nie stalo...

— Dajże spokój, Conanie. Jesteś niezastapiony w naszym cyrku — Luddhew znów postapil naprzód, by pocieszyc silacza, choc Cymmerianin cofnal sie przed jego ojcowskim uściskiem.

— Jezeli uważasz, że nie otrzymujesz godziwych zarobków, spróbujemy coś na to zaradzić.

Niemniej jednak — dokonczyl — sądzę, iż będzie po temu pora kiedy indziej, gdy ukoimy nieco

dręczące nas wszystkich ból i cierpienie.

Z kręgu obserwatorów dobiegł głos miotacza noży, Phatuphara.

— Jeśli szukasz gladiatora na swoje miejsce, Conanie, lub zastępcy nieszczęsnego Roganthusa, jestem gotów spróbować. Wiem, że ze swą biegłością w posługiwaniu się nożami dam sobie radę na arenie. Jana i ja... — wskazał na młodą żonę, która obejmowała go czule w pasie — wkrótce powiększymy rodzinę. Takie posunięcie przyniosłoby nam bogactwo i sławę, których potrzebujemy.

— Zapobiegliwy jesteś, Phatupharze! — Luddhew podszedł, by zamienić parę słów z młodym artystą.

Cyrkowcy rozeszli się, przygnębieni po tej ponurej ceremonii. Conan został sam, milczący i spochmurniały. Sathilda zwróciła się doń z nutą szczerego zatroskania w głosie.

— Conanie, wiem, że pogrzeb dobrego przyjaciela to zawsze silny wstrząs. Czulałam jednak, że nie byłeś już sobą, odkąd wbiegłeś za Czerwonymi Kapłanami do ich krypty. Jaki czar tam na ciebie rzucili? Czy znajdujesz się w mocy jakiegoś potężnego zaklęcia?

Cymmerianin przyjrzał się jej bez słowa, Sathilda nie ciągnęła więc już tego tematu.

Kiedy się rozstali, do Conana zbliżył się niewolnik, przysłany, jak sam twierdził, przez Udolphusa. Ruszyli razem na tyły Cyrku i stamtąd na plac budowy przy północnym krańcu amfiteatru, gdzie wznoszono właśnie nowy balkon. Robotnicy krzatali się na rusztowaniach, wlewając szarą kamienistą zaprawę do drewnianych form, które umieszczone zostały na wierzchołkach wysokich kolumn.

Prace nadzorował sam Commodorus. Uśmiechnął się i pomachał Conanowi na powitanie, gdy barbarzyńca, pozostawiając posłańca w tyle, jał wspinać się na górę.

— Spójrz, jak dobrze pomyślany jest ten nowy projekt. — Tyran zamaszystym gestem wskazał uwijających się jak mrówki robotników. — Dzięki temu publiczność w lożach będzie miała lepszy widok, a siedzący poniżej cień. Najlepsze jest to, że używamy obecnie materiałów, które uzyskujemy według prastarej stygijskiej receptury, stosowanej przy murowaniu grobów.

Dzięki niej możemy formować, wylewać i wykańczać nowe elementy budowli w przeciągu zaledwie kilku dni, bez opóźnień, jakie niechybnie wiązałyby się z robotą kamieniarską, transportem i montażem. Osobiście nadzoruję postępy prac, aby zdążyć z przeróbkami na następne igrzyska. — Uśmiechnął się promiennie do Conana. — W ten sposób jeszcze więcej obywateli miasta będzie świadkami mego ponownego wyboru na tyrana.

Czas gra tu zasadniczą rolę — ciągnął. — Chcę bowiem raz jeszcze wystąpić na arenie, aby po raz ostatni olśnić tłumy, zanim obejmę najwyższy urząd. Widowisko, jakie zaplanowaliśmy, będzie zaiste olśniewające, coś czego nigdy dotąd nie prezentowano, możesz mi wierzyć. Nasi

robotnicy będą pracować dzień i noc. Muszą zdążyć na czas. — Wskazał na płaski owal w dole, gdzie nowa ekipa wywoziła taczkami piasek i zrywała deski z podłoża, by zmienić wygląd areny. — Nie muszę chyba dodawać, że liczę na to, iż będziesz strzegł moich pleców, jak to wcześniej uzgodniliśmy. Rana głowy już się chyba zaleczyła, choć nie wiem, co dokładnie przytrafiło ci się wczoraj. Czy będziesz gotów mi służyć?

Conan wysłuchał go z powagą.

— To draśnięcie — rzekł, dotykając bandaża opasującego czoło. — Nic wielkiego. Nie ma się czym przejmować. A rana na piersi też się zagoiła. — Poklepał dłońią świeżą bliznę poniżej pachy. — Niemniej jednak, tyranie, nie potrafię powiedzieć, czy jestem równie pewny jak dawniej swego miejsca na arenie. Mogę nie być w stanie walczyć dla ciebie...

Commodus wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Widzę, że miałeś do czynienia z kapłanami Seta. — Klepnął barbarzyńcę po ramieniu. —

Spodziewałem się tego, gdy ujrzałem, jak wczoraj rzuciłeś się za nimi. Są sprytni, umieją manipulować umysłami prostych ludzi bez uciekania się do pomocy broni czy złota. Niestety, wzgardzili męskimi cnotami i umiejętnościami niezbędnymi w realnym świecie. Dlatego nie są dobrze przygotowani, by stawać przeciw ludziom takim jak ja. — Roześmiał się z dobrotliwym współczuciem. — Odpocznij kilka dni, wróć do formy, a niebawem zapomnisz o ich małodusznych naukach.

Conan zmierzył tyrana wzrokiem.

— Być może, Commodusie. To jednak, co pokazali mi kapłani, wciąż spędza mi sen z powiek. Wiedz, że mogę odmówić zabijania na twój rozkaz.

Tyran znowu zarechotał.

— Bzdura, Conanie. Wynająłem cię, byś mnie chronił, a nie żebyś dla mnie mordował.

Pamiętaj, że zamierzam zagarnąć całą chwałę dla siebie, ty natomiast masz pozostać w moim cieniu. Potrzebny mi adiutant, ktoś dyskretny, nie rzucający się w oczy.

Wiesz, w Luxurze po następnym widowisku wiele się zmieni. Będę wówczas władny dokonywać różnych posunięć przy akceptacji świątyni. Jeżeli zaś kapłani spróbują wysadzić mnie z siodła, wywołam przeciwko nim powstanie. Mam dostatecznie silne poparcie wśród ludu. Nekrodias pozwolił, bym urósł w potęgę. Władza kapłanów dobiega kresu. — Machnął

ręką. — Ale by zrealizować swój plan, muszę utrzymać się przy życiu. A to zależy po części od ciebie, Cymmerianinie. — Spojrzał jowialnie na barbarzyńcę. — Pamiętaj, że dobiliśmy targu.

Mamy umowę.

Conan pokiwał głową.

— Skoro przyjąłem twoje złoto, wypełnię zadanie, które mi zleciłeś.

— Doskonale. — Commodorus pokiwał głową i uśmiechnął się. — Gdy będzie po wszystkim, skończę z areną i ty również, jeżeli tylko zechcesz. Nie oznacza to jednak, że będziesz musiał

porzucić służbę u mnie. Pod moimi rządami znajdzie się mnóstwo możliwości dla silnych, sprytnych wojowników. Twoimi atutami są umiejętności i popularność zdobyta w cyrku.

Będziesz mógł je wykorzystać, gdy już rozstaniesz się ze swymi towarzyszami, co niechybnie wkrótce nastąpi.

Conan spędził resztę dnia na bieganiu z Qwambapo placu ćwiczeń i cichej kontemplacji.

Wieczorem zaś pojechał z Sathildą rydwanem do oberży Nampheta. Tawerna wydała mu się jednak osobiwie pusta, gdyż kompani Datha przestali już do niej zachodzić. Także wino nie rozgrzało barbarzyńcy tak jak zazwyczaj. Spędziwszy w „Barce Rozkoszy” — blisko dwie ponure godziny, wrócili do chaty, by wcześniej udać się na spoczynek.

Następnego ranka Cymmerianin odwiedził Ignobolda w świątynnej infirmerii. Gladiator, chociaż wciąż słaby wskutek utraty krwi, był przytomny i, jak powiedziano Conanowi, zdołał

nawet wypić trochę zupy oraz rozwodnionego wina. Zbliżając się do jego posłania, Cymmerianin zdumiał się widząc, że wojownik oprócz torsu ma również zabandażowane oczy.

— To przez piasek, którym ten lajdak Baphomet cisnął mi w twarz — wyjaśnił ochrypłym głosem Ignobold, wierząc się na sienniku. — Tylko w ten sposób mógł mnie pokonać, za pomocą tchórzliwego podstęp.

— A więc nic nie widzisz? Wypij odrobinę. — Conan podsunął do ust Ignobolda łyżkę bulionu. — Czy kapłani mówią, że odzyskasz wzrok?

— Naturalnie — odparł chory. — Przecież bogowie pozwolili mi żyć, czyż nie? Sądzisz, że zrezygnowaliby z opieki nade mną, zanim zdążę pomścić się za to, co mnie spotkało?

— Wobec tego na pewno wydobrejesz. Doskonale. A teraz pij.

— Tak, Conanie, i zapamiętaj moje słowa. Wrócę na arenę, nim minie połowa lata i stanę się jeszcze potężniejszym mistrzem niż dotychczas.

— Wypij — powtórzył łagodnie Conan. — Powiedz, czy nie sądzisz, że to, iż ocalałeś po odniesieniu tak poważnej rany, było prawdziwym cudem?

— Tak. Boli pieruńsko, ale niezbadane są wyroki boskie. Teraz przy życiu trzyma mnie tylko myśl o wypruciu flaków temu lotrzykowi z rynsztoka, Baphometowi, i odzyskaniu dobrej sławy,

skoro kapłani z twoją pomocą nareperowali moje pokiereszowane ciało. Słyszałem, że brałeś w tym udział, Conanie. Dzięki ci za to. Czy mógłbym prosić cię o jeszcze jedną przysługę?

— Naturalnie, Ignoboldzie. No, wypij jeszcze.

— Nie zabijaj go, Conanie. Zostaw Baphometa dla mnie. Wiem, że proszę o wiele, ale czy byłbyś w stanie uczynić to dla mnie?

— Dopij. Tak. Masz na to moje słowo. Zmęczyleś się, a ja muszę już iść. — Delikatnie poklepał rannego po dłoni. — Odpocznij i nie lękaj się. Nie zabiję Baphometa.

Pozostawiwszy rozgorączkowanego pacjenta samego, Conan pogrążył się w zadumie, lecz nie potrafił odnaleźć w sobie spokoju ducha. Spotkanie z heretykiem na arenie, a potem osobliwe przejścia w krypcie Czerwonych Kapłanów, okupione srogim bólem głowy, wywarły na barbarzyńcy spore wrażenie. Wydawało mu się teraz, że wokół codziennych spraw zwykłych śmiertelników zaciskał się nierozzerwalny węzeł morderczego szaleństwa.

Ta wizja nie dawała Cymmerianinowi spokoju przez następne dni. Nie potrafił zdobyć się na aktywność podczas treningu, zaczął unikać hulaszczej kompanii zaprzyjaźnionych gladiatorów i artystów cyrkowych. Z niechęcią też przyjął wezwanie nadesłane przez najwyższego kapłana Nekrodiasa.

Eunuch, który przyniósł tę wiadomość, zaprowadził Conana do Wielkiej Świątyni Seta, stojącej u podnóża pagórka, na szczycie którego wznosiło się Imperium Cyrku. Minęli tereny Cyrku, potem sady, ogrody i winnice, gdzie drobna zwierzyna prześlizgiwała się wśród zielonego poszycia. Później ich oczom ukazały się namioty i pawilony, niemal niknące pośród bujnej roślinności. Wreszcie eunuch wyprowadził Conana na brukowany miejski bulwar i po szerokich stopniach przywiódł ku głównemu wejściu świątyni.

Masywne kolumny portyku wykute były z pożyłkowanego serpentynu, ozdobionego wzorem delikatnej łuski, mającej nadać im wygląd cielsk ogromnych gadów. W galerii o posadzce gładkiej niczym zwierciadło echo kroków rozchodziło się gromko. Świątynia świeciła pustkami, nie był to bowiem dzień posług, a we wszystkie inne ludność skrzętnie omijała owo miejsce. W głębi, gdzie płonęły węzowate ogniki lampek oliwnych, majaczyła ogromna złota spirala w kształcie szykującego się do skoku węża. Wyglądało, jakby gad miał zamiar zaatakować śmiałka, który wdarłby się tu nieproszony. Klejnoty osadzone w oczodołach posągu były z pewnością zbyt ciężkie, by mógł unieść je jeden człowiek.

To wszystko Conan postrzegał jak przez mgłę, wciąż bowiem pozostawał w stanie sennej zadumy. Podążając za swym przewodnikiem, minął bliźniacze ołtarze, podium złotego bożka, wreszcie wszedł za zawieszoną przy ścianie zasłonę i znalazł się w mniejszej mrocznej komnacie. Wyglądała ona jak prywatne sanktuarium, cicha przystań zwierzchnika świątyni.

— Podejdz, cudzoziemcze, i stań przede mną. Moje oczy nie są tak bystre jak ślepia Ojca Seta, którego przed chwilą ujrzałeś.

Posłuszny tym słowom i bezgłośnym ponagleniom eunucha Conan podążył ku kiwającemu nań blademu, kościstemu palcowi. Obszedł czarny hebanowy fotel z wysokim oparciem i stanął przed Nekrodiasem, który w blasku dwóch świec kreślił coś rysikiem z zęba węża na pergaminowym zwoju. Naczelný kapłan, pochylony nad stołem, zgarbiony, z zawieszoną na szyi szarfą z żółtej wężowej skóry, skończył pisać coś stygijskimi glifami i uniósł wzrok, by odnaleźć spojrzenie Conana. Z bliska arcykapłan wydawał się potwornie stary. Mógł mieć kilkaset lat. W gruncie rzeczy Conan nie wątpił, iż tak jest w istocie. Bądź co bądź święci mężowie parali się naukami dostępnymi wyłącznie bogom. Łysa czaszka wylaniająca się spod kaptura, przeorane bruzdami zmarszczek oblicze, chuda, koścista sylwetka i szare, pozbawione błysku oczy nadawały Nekrodiasowi wygląd świeżo odartej z poźółkłych bandaży mumii.

— A zatem to ciebie nazywają Conanem Zabójcą. Nowo przybyły, ale bacznie obserwowany i już sławny, pomimo ran odniesionych podczas ostatniego występu. — Kapłan wskazał

pobrudzonym inkaustem palcem na bandaż opasujący głowę Conana. — Dzięki swym umiejętnościom i duchowi walki zyskałeś uznanie w wyższych sferach i zakosztowałeś towarzystwa miejscowych dostojników. Ale nie mojego. Aż do dziś.

— Jak na razie nasze spotkanie nie wydaje mi się przyjemnością towarzyską. — Barbarzyńca odzyskał cień dawnego bojowego ducha. — Po co mnie wezwales?

Z lekkim uśmiechem Nekrodias odłożył pióro.

— Podsluchano, jak układałeś się z naszym sprytnym tyranem Commodorusem, czy też, inaczej mówiąc, Udolphusem. Zostałeś przezeń poproszony o wypełnienie pewnego zadania.

Świątynia również ma dla ciebie propozycję i gotów jestem przebić stokrotnie ofertę złożoną przez jakże hojnego władcę.

Conan wzruszył ramionami.

— Przybyłem do Luxuru jako uczciwy wagabunda, nieświadomy intryg i układów panujących wśród tutejszych politycznych frakcji. Za namową Luddhew, mego pracodawcy, i innych członków trupy starałem się być szczery i otwarty wobec mieszkańców Luxuru, dużo bardziej szczery i otwarty, przyznając ze smutkiem, niż twoi krajanie okazali się względem nas.

Teraz zaś, gdy widziałem, jak wiele krwi przelewa się tu dla bezsensownej zabawy, nie mam ochoty babrać się dłużej w waszych plugastwach. I tak dość się już wybrudziłem.

Nekrodias aż uniósł brwi ze zdumienia. Ów grymas, odruchowy bądź wystudiowany, nadał twarzy starca odrażający wyraz.

— Może słuch mnie myli? Czy to naprawdę słowa Conana zwanego Zabójcą, który podobno nigdy nie ma dość walki, a jego miecz nie jest w stanie spocząć w pochwie na dłużej niż kilka

godzin? Czy stoi przede mną ów sławny grabieżca, który spalił setkę zamków i tuzin miast, a mimo to żadna ilość złota ani kobiet nie była w stanie go zadowolić? A może to tylko chępliwy najemnik, któremu brak charakteru, by wypełnić mój rozkaz i zabić Commodorusa, a tym samym zapewnić sobie tron tyrana Luxuru?

Spoglądając beznamiętnie na arcykapłana, Conan westchnął.

— Nie wiem, co słyszałeś o mej przeszłości, Nekrodiasie, ani co mogłeś ujrzeć na mój temat w swej czarodziejskiej szklanej kuli. Nie mam wszelako w zwyczaju mordować ludzi na czyjś rozkaz. Nie jestem mordercą do wynajęcia.

— Dajże pokój, Cymmerianinie, szkoda mi czasu na wysłuchiwanie twych osobliwych fanaberii. Tak się składa, że wiem, iż Manethos, główny balsamista, zamącił ci w głowie swoimi wywodami. To sprytny człek, ma dar przekonywania, ale poglądy, które głosi, nie pozwalają mu osiągnąć wysokiej rangi w naszej hierarchii. Mógł trochę cię omotać, to prawda.

Śmierć przyjaciela to smutne wydarzenie, a rozprawa z tymi patetycznymi idealistami, których nazywamy heretykami, mogła nie być stosownym zajęciem dla człowieka, odczuwającego skruchy.

Tak czy inaczej, nie pozwól, by chwilowy kaprys czy zwątpienie zniweczyły twoją wielką szansę. Nadeszła chwila działania i poświęcenia. Commodorus musi upaść! Moja propozycja niekoniecznie oznacza, że masz go osobiście zabić na arenie. Wystarczy, iż dopuścisz, by przydarzył mu się jakiś wypadek... Bądź co bądź to ciebie wybrał na swego przybocznego.

Możesz przejąć po nim wieniec i szatę tyrana. Bohater–awanturник, taki właśnie jak ty, jest dla nas idealnym figurantem. Od dawna szukaliśmy podobnej osoby.

Conan, który bynajmniej nie żałował, że nie ma gdzie usiąść, wyprostował się przed szerokim stołem.

— To byłaby najpodlejsza z podłych zdrad. Nie układam się z jednym pracodawcą, by zaraz potem sprzedać jego skórę następnemu! Twierdzisz, że Commodorus musi upaść. Próbujesz wzbudzić we mnie lęk wyglądem tej potężnej, prastarej świątyni, wielkich posągów, złotych bogów i okaleczonych, niemych sług, ale ja widziałem w mieście prawdziwą potęgę tyrana. On ma władzę nad ludem.

Słyszałem, jak poddani skandują radośnie jego imię, gdy zjawia się na arenie, i jak reagują, gdy ty na niej stajesz. Widziałem akwedukty i ogromne miejskie bramy, które Commodorus pobudował. Skoro jego upadek jest twoim zdaniem tak pewny, to może po prostu odmów zaprzysiężenia go ponownie na urząd tyrana. Przecież podobno posiadasz najwyższą władzę.

Mógłbyś to uczynić. — Machnął gniewnie ręką. — Co więcej, nawet gdybym był pewien, że on umrze i że uczynisz mnie kolejnym władcą tego miasta, i tak opowiedziałbym się za Commodorusem! On przynajmniej ma pewną wizję dobrobytu tego miasta. Stara się dać jak

najwięcej mieszkańcom, podnieść poziom ich życia. Dąży ku postępowi, a nie powraca do mrocznej epoki Seta!

— Aha! — rzucił triumfalnie Nekrodias. — Tu cię mam! Padłeś ofiarą tych płomiennych mów jak wielu naiwnych głupców, którzy wierzą, iż rządy tyrana mają swój ukryty, wyższy cel. On żeruje na ludzkich pragnieniach, na marzeniu o bogactwie. A Cyrk rozbudowuje, by zaspokoić stale narastającą żądzę krwi! Podczas kolejnych igrzysk ma zamiar zalać cały stadion wodą ze swych cennych akweduktów, by flotylla statków wiosłowych mogła odegrać bitwę morską z prawdziwą bronią i ofiarami. Zginą setki ludzi, a on będzie puszył się i chępił jako zwycięski admirał!

Zrezygnowany Conan wzruszył tylko ramionami.

— Ty również wzięłeś udział w wydarzeniach na arenie, podobnie jak ja. Śmierć stała się siłą życiową Luxuru, krwią przepływającą przez pulsujące serce miasta. Tak powiedział

Commodus. Ale on zamierza z tym skończyć.

Nekrodias wybuchnął śmiechem. Był to ochryply, nieprzyjemny dźwięk.

— Ha, rzucić arenę, niezła myśl... Gdybyż tylko nasz szlachetny tyran mógł sobie na to pozwolić! Zdziwisz się zapewne, ale spośród wszystkich przyjmujących zakłady to Commodus właśnie zgarnia największe zyski ze związanych z areną gier hazardowych i to on ma wszystkich w kieszeni. A gdybym ci powiedział, że to właśnie nasz tyran wpadł na pomysł, by nakarmić twoimi prowincjonalnymi artystami dzikie bestie, i to on regularnie zleca trucie wybranych gladiatorów środkami odurzającymi oraz likwidowanie tych, którzy ośmielają się mu przeciwstawić, choćby przez to, że nie chcą w odpowiednim momencie poddać walki? Czy wspomniał ci, ile pieniędzy z funduszu robót publicznych trafia do jego prywatnego skarbcza? Przeznacza je głównie na łapówki, służące podkopywaniu autorytetu stygijskiego kościoła i szlachetnie urodzonych rodów. A może wiesz, w jaki sposób wykorzystuje zabijaków spod ciemnej gwiazdy do odbierania zaległych płatności, zakładów albo jak nakłada myto na sprowadzane do miasta towary, zarówno te legalne, jak i czarnorynkowe? Czy to pasuje do wizerunku naszego szlachetnego Commodusa?

Conan poczuł nagle, że na jego barkach spoczął ciężar całego Luxuru. Odwrócił się i pomaszerował ku drzwiom.

— Nekrodiasie — rzucił przez ramię. — Nie obchodzi mnie, czy tutejszy tyran jest potworem, diabłem gorszym niż sam Przedwieczny Set! Nie zamierzam brać udziału w twoim spisku ani też nie zamierzam uczestniczyć w jego podstępnych planach. Skończyłem z zabijaniem!

Zaczęło mnie to mierzić!

Mimo iż spotkanie z Nekrodiasem mocno utkwilo Conanowi w pamięci, nie ono jednak wywarło na nim tego dnia największe wrażenie. Gdy bowiem wracał do Cyrku szeroką ulicą biegnącą

wzdłuż portyku świątyni, natknął się na handlarza, wokół którego zgromadził się tłumek na placu targowym. Najpierw rozpoznał głos, a dopiero potem twarz, chociaż sprzedawcę z uwagi na skromne rozmiary trudno było w pierwszej chwili zauważyć pośród gęstniejącej ciżby. W końcu Conan dojrzał jednak Jemaina, swego dawnego przewodnika po Luxurze.

— Cacka i błyskotki! Piękny prezent dla pięknej damy! O pani, może zainteresuje cię wspaniały wisior z najczystsze­go argosańskiego agatu? Czarna lza, co ozdobiłaby śnieżnobiałą pierś? A wy, panie... O przepraszam, tysi­ąckroć przepraszam...

— Stój, Jemainie, nie uciekaj przede mną. — Conan schwycił urwipolcia za połę peleryny, która była zarazem jego kramem, nowej, pięknie tkanej, przeplatanej jasnymi jedwabnymi niciami. Kiedy barbarzyńca puścił chłopaka, przedmioty zawieszona na połach płaszcz od wewnętrznej strony wesolo zabrzęczały. — Zatrzymaj się na chwilę i powiedz, jak ci się wiedzie. Wydaje mi się, że nieźle.

— W zasadzie nieźle. — Chłopak przez cały czas zerkał czujnie na Conana, jakby oszacowywał jego formę. — W ostatnich dniach byłem trochę zajęty.

— Nie wątpię. Najwyraźniej zająłeś się handlem.

— O tak, ma się rozumieć. — Jemain odzyskał rezon i rozchylił swój płaszcz. — Mam tu najwspanialsze cacka i błyskotki. Przepudowne klejnoty, przywiezione z wybrzeża i wprawione przez mistrzów jubilerskich w najczystszej...

— Tak, tak — uciał Conan. — Widzę, że są dobrej jakości. Masz oko do podróbek — dokończył z powagą — jak wówczas, kiedy rozpoznałeś naszego przyjaciela Udolphusa.

Po błysku w oczach Conan zorientował się, że Jemain znów zamierzał dać drapak.

— Nie przejmuj się, Jemain — uspokoił chłopaka, kładąc mu dłoń na ramieniu. —

Rozumiem, dlaczego bałeś się cokolwiek powiedzieć.

Ulicznik zamrugał i spojrzał na Cymmerianina zdeorientowany.

— To oczywiste, Conanie. Wiesz, że kogo jak kogo, ale ciebie bym ostrzegł. Jednak zdemaskowanie osoby tej rangi co nasz tyran mogłoby okazać się zgubne. — Pokręcił głową w zakłopotaniu.

— Jego sakiewka dała początek twojej nowej działalności — zauważył Conan. — To dobrze.

Myślę, że w handlu zajdziesz daleko.

Jemain pokiwał głową skruszony.

— A ty przeżyłeś na arenie aż do teraz, mimo ran. — Na widok bandaża na czole gladiatora zaczął się jękać. — Ale Conanie... ostrzegłbym cię... naprawdę... Zresztą bądź ostrożny. Tylu już zginęło...

— Wiem — odrzekł barbarzyńca, oszczędzając mu trudu tłumaczenia. — Cyrk staje się niebezpiecznym miejscem, zarówno wewnątrz, jak i poza murami. Głęboko w tym siedzę, ale nie potrafię powiedzieć, co się jeszcze wydarzy. — Poklepał chłopaka po plecach, po czym cofnął dłoń. — Postąpiłeś roztropnie oddalając się.

Jemain wzruszył ramionami.

— Byłem zwykłym pionkiem. W grze o wysokie stawki najslabsi są wyjątkowo zagrożeni.

— Wszyscy jesteśmy pionkami — zapewnił go Conan.

Jako prezent dla Sathildy nabył czarny wisior z Agros i to, jak podkreślał Jemain, za rozsądną cenę. Następnie, pożegnawszy się z chłopakiem, wrócił na teren Cyrku.

Następnego wieczoru Conan nie ruszyłby się zapewne na krok z tawerny Nampheta, gdyby w pewnej chwili nie podszedł do niego Muduzaya. Sathilda odmówiła przyjacielowi udziału w wyprawie do opustoszałej oberży, toteż siedział on samotny i zamyślony, popijając ze smakiem arrak, gdy wtem silna dłoń czarnego wojownika zacisnęła się na jego ramieniu.

— Conanie, chyba znalazłem Sesostera! On z pewnością będzie coś wiedział o zabójstwie Halbarda i moim otruciu. Podejrzałem, że zechcesz pójść ze mną. Mam się z nim spotkać niedługo przy północnym krańcu amfiteatru. Chyba wybrał to miejsce z uwagi na dużą ilość bram i przejść.

— Muduzayo — spytał posępnie Conan — czy jesteś pewien, że chcesz tę sprawę dalej dążyć? To już należy do przeszłości. Halbard nie żyje, a ty odzyskałeś siły. Poza tym — dodał, rzucając pełne powagi spojrzenie przyjacielowi — wątpię, czy naprawdę chciałbyś usłyszeć, co on ma ci do powiedzenia.

— Bzdura — burknął Mistrz Miecza. — Nie należy zbyt długo odwlekać zemsty! Ten parszywy pies Sesoster ukrywa się już od wielu dni. W końcu go wywabilem, obiecując słoną sumkę. Posłużyłem się jego służącym, na którego natknąłeś się na bazarze. Naturalnie o tym, czy zasłużył na uncję złota, czy może raczej na stopę stali, zadecyduję, kiedy już się spotkamy.

— Muduzaya pieszczotliwie pogłaskał rękojeść swego miecza.

— W porządku — mruknął Conan, podnosząc się z wahaniem ze swojej beczki. — Możesz potrzebować mojej pomocy, aby wywikłać się z tarapatów. I przyznam, jestem ciekaw, co usłyszysz od tego organizatora zakładów.

To rzekłszy wyszedł za przyjacielem z tawerny. Wsiedli do czekającego na nich rydwanu,

którym dotarli do bramy miejskiej. Spieszyli się, ale nie omieszkali pozostawić pojazdu na specjalnym placu dla rydwanów, mieszczącym się u podnóża wzgórza. Stamtąd, by nie zwracać na siebie uwagi, poszli dalej pieszo.

Kiedy dotarli do amfiteatru, panował tam już dość spory ruch. Niewolnicy przy blasku pochodni szykowali teren dla kolejnego wielkiego widowiska. Całymi grupami kopali rowy i budowali rusztowania, przygotowując się do prac nad zmianą kierunku biegu akweduktów i zalaniem całej areny wodą.

Poza rym wszędzie dokoła trwały roboty konstrukcyjne. Po stronie północnej załogi murarskie wlewały świeży cement do drewnianych form, dzięki którym poszerzone miały zostać balkony widokowe, wedle pomysłu Commodorusa. Kiedy weszli po schodach znajdujących się na tyłach ogromnego rusztowania, Conan i Muduzaya stwierdzili, że na budowie kręcą się nie niewolnicy, lecz brudni, obszarpani ulicznicy. Pracowali przy blasku pochodni trzymanej przez Datha. I nie tyle wylewali cement, ile przegarniali go, by zakryć ciało spoczywające w obszernej formie, zwłoki organizatora zakładów Sesostera, o ile zdążył

się zorientować Conan, zanim gęsta breja zakryła twarz trupa.

— Dopadliście go przed nami — poskarżył się Muduzaya, ruszając w stronę Datha. — To nie było rozważne. Mieliśmy do niego kilka pytań.

— Pytaj do woli, on na pewno nie będzie miał nic przeciw temu. — Dath wzruszył

ramionami. — A jeśli chciałbyś spytać o coś Zagara, to znajdziesz go tam. — Wskazał na prawie całkiem już skamieniałą przyporę. — Ale wątpię, czy którykolwiek z nich powiedziałby coś, o czym mnie nie byłoby wiadomo.

Muduzaya zmarszczył brew. Stopniowo zaczął pojmować.

— A więc to ty jesteś zamieszany w aferę z ustawianiem pojedynków i inne ciemne sprawy, które rozgrywają się w Imperium Cyrku? Ale ty przecież jesteś zwyczajnym gołowąsem!

Młody zabijaka zeszywniał, unosząc wyżej dłoń, w której trzymał pochodnię, drugą zaś znacząco sięgnął do styliska jednego ze swoich toporków.

— Zyskałem sobie miejsce w dużo większej organizacji, aczkolwiek przyznaję, iż osiągnąłem ten sukces, przewodząc bandzie rzezimieszków. — Zerknął na krzątających się nieopodal uliczników. — Mogę śmiało powiedzieć, iż pokazałem im, na co mnie stać. Ostatnio sprzyjało nam szczęście i moim ludziom wiedzie się coraz lepiej. Sukcesy przychodzą stopniowo, ale są nader znaczące. Nasze terytorium sięga obecnie aż do tego miejsca. — Wskazał na otaczające ich mury Imperium Cyrku.

Stając za plecami Muduzayi, Conan odezwał się doń półgłosem:

— Halbarda zapewne także zabili jego ludzie. Albo inna banda, która chciała mu się przypodobać. Nie dość, że walczą i rywalizują między sobą, wszyscy oni zajmują się odbieraniem pieniędzy z zakładów, pełnią w mieście rolę zabójców do wynajęcia oraz opryszków straszących połamaniem gołeni tym, którzy niechętnie sięgają do sakiewek, by uiścić swe długi.

— To prawda — potaknął Dath, uśmiechając się ponuro. — Wszyscy jesteśmy trybikami tej samej wielkiej rzeźniczej maszyny. Wy, gladiatorzy, na arenie — wyjaśnił — i moi chłopcy na ulicach miasta, gdzie praca jest lepiej płatna i trwa zwykle nieco dłużej. A wszystko to dla dobra publicznego, jak mawia nasz wódz Commodorus. Ty zresztą powinieneś wiedzieć to najlepiej. — Dath spojrział znacząco na Conana. — Jest wszakże i twoim pracodawcą, czyż nie?

XIII

WIELKIE WIDOWISKO

Gdy nadszedł dzień wodnego spektaklu, miasto ogarnęła gorączka wyczekiwania. Cały Luxur w ten lub inny sposób brał udział w przygotowaniach tego projektu. Interesowały się nim też rzesze kupców, dyplomatów i dostawców z odległych zakątków Imperium Stygijskiego oraz krain ościennych. Poza robotnikami wynajętymi do modernizacji areny i przebudowy akweduktów, do pracy zaangażowano również dziesiątki flisaków z nabrzeża kanału. Ich łodzie przetransportowano na jaszczach przez miasto i spuszczone na błękitne wody wypełniające arenę Imperium Cyrku. Sprowadzono również skutników i zbrojmistrzów znad brzegów Styksu oraz z odległych zamorskich krain, którzy na miejscu zbudowali okręt tak wielki, że nie dałoby się przeciągnąć go ulicami miasta czy też przecisnąć przez bramy amfiteatru. Owa masywna konstrukcja miała stać się jednostką flagową Commodorusa, wzorowaną na galarze wojennym z wieżyczkami bojowymi, podwójnymi rzędami wiosel i ciężkim spiżowym taranem. Niewolników do obsługi wiosel ściągnięto z nadrzecznych portów. Zwykli chłopcy i służący nie nadawali się do tego zadania, tylko wyszkoleni wioslarze, albowiem znali się oni na sterowaniu okrętem i taranowaniu wrogich jednostek w bitwach morskich. Zamustrowano także w miarę możliwości prawdziwych oficerów marynarki i żeglarzy. To oni mieli stanowić załogę wielkiego okrętu flagowego. Uznano za oczywiste, że flotylla bojowa tyrana musi prezentować się imponująco ze wszystkimi szczegółami, takimi jak bandery, rogi i bębny.

Dla zorganizowania floty przeciwnika również podjęto stosowne kroki, aczkolwiek innej nieco natury. Ściągnięto bowiem do Luxuru najbardziej zatrważających piratów, przemytników i wichrzycieli, jacy znajdowali się akurat za kratkami. Przewieziono ich, by stawili czoło gladiatorom i flotylli tyrana. Flota wroga składała się z małych, szybkich jednostek, a załogę stanowiły wszelkiego rodzaju męty, wyciągnięte na tę okazję z lokalnych więzień. Jako że wśród owych jeńców znajdowała się grupka doskonałych marynarzy i najzjadlejszych wojowników, którzy latami grasowali po rzece — lub morzu, można było nie obawiać się, iż bitwa stanie się jednostronną rzezią. Mimo to, by dodać widowisku pikanterii, do przygotowań wciągnięto importerów dzikich bestii. Na pływaczach Styksu schwytano kilka słodkowodnych rekinów i przewieziono je na barce do stolicy. Te sporych rozmiarów, szybkie drapieżniki, chętnie kosztujące — jeśli nadarzyła się po temu okazja — również i ludzkiego mięsa, miały zostać wpuszczone do wody, by dodać dramatyzmu przebiegowi bitwy morskiej. Oprócz rekinów ożywić miały igrzyska znane bywalcom cyrku gwiazdy, krokodyle i boa dusiciele.

By ujrzeć to niecodzienne widowisko, tłumy zebrały się pod bramami amfiteatru już o zmierzchu dnia poprzedniego. Noc i poranek obywatele Luxuru spędzili na szaleńczych saturnaliach, pijąc, tańcząc i śpiewając sprośne piosenki. Nikt nie oddalał się przy tym od bramy, by nie stracić swego miejsca w kolejce. Trupa Luddhew również dała wcześniejszy występ. Krążąc z dzikimi bestiami wśród rozszalałej ciżby, zwinni akrobaci, jasnowidze i hazardziści oraz sprzedawcy cudownych wywarów byli w stanie zebrać pokaźną sumkę, zanim jeszcze otwarto bramy Cyrku.

Naturalnie, stan gotowości ogłoszono dla całej straży miejskiej. Pomoc w kontrolowaniu tłumy

zaoferowali również pospolici uliczni zabijacy. Pod dowództwem Datha i pomniejszych watażków bandy noszące różnobarwne opaski stworzyły paramilitarne oddziały, które były w stanie szybko i sprawnie nakłonić pospólstwo do posłuszeństwa. W sumie, łącznie z artystami, atletami, ulicznymi kramarzami, drużynami porządkowymi, niewolnikami, administratorami i więźniami na szczycie Świątynnego Wzgórza rankiem w Dniu Reordynacji zebrała się znaczna część ludności Luxuru.

Warunki do oczekiwania były dość niesprzyjające. Większość rynsztoków i rowów ciągnących się od amfiteatru wypełniała woda. Gdy już raz zmieniono bieg akweduktów i gdy spełniły one swe zadanie, nie dało się zatamować lejących się strumieni. Woda płynęła bez przerwy. Pokonując uszczelnione, wzmocnione bramy i przeciekając przez szczeliny w murach, spływała w dół zbocza.

Nie pozwoliła ludziom spać na ulicach i, jak głosiły plotki, spowodowała niewielkie szkody w dzielnicy willowej. Ogólnie rzecz biorąc jednak, straty były minimalne.

Przed południem otwarto wejście na stadion i natychmiast zaczęły się problemy z kontrolowaniem tłumu. Żelazne wrota uchylono na ogromnych łańcuchach tylko do połowy, by wpuszczać ludzi do środka grupkami. Straż miejska miała zadbać o wolny przejazd dla lektyk i rydwanów spóźnionych dostojników. Kiedy stali bywalcy Cyrku zasiedli na trybunach, rozpoczął się szturm na wolne miejsca, nikt bowiem nie wiedział naprawdę, o ile siedzisk powiększono łoża i balkony od czasu ostatnich igrzysk.

Wkrótce amfiteatr wypełnił się po brzegi, kraty zostały opuszczone, a bramy podwójnie zaryglowane. Na ulicy kłębiło się jeszcze około tysiąca wielbicieli mocnych wrażeń, którzy, mimo iż nie dostali się do środka, chcieli być blisko i choćby słuchać tylko rozentuzjasmowanych okrzyków publiczności. Na szczęście, jak zwykle przy tego typu imprezach, w przejściach i tunelach znaleźli się entuzjaści głośno relacjonujący wszystko, co działo się na arenie. Przekazując sobie te informacje, kolejni komentatorzy ubarwiali rozgrywające się w Cyrku wydarzenia dla swych gorliwych słuchaczy.

W gruncie rzeczy słowami trudno byłoby opisać przepych i osobliwości oczekujące na widzów. Cała arena, od jednej balustrady do drugiej zmieniła się w roziskrzone śródlądowe morze ze skałami, rafami i plażami. Dawalo się nawet zauważyć jedną czy dwie ozdobione palmami wysepki. Na ich piaszczystych brzegach wygrzewały się krokodyle, podczas gdy pomiędzy ostrowami chyżo przemykały rekiny. Woda nie była tu zbyt głęboka. Jej powierzchnia pozostawała nieruchoma i spokojna niczym w bezpiecznej lagunie. Od czasu do czasu tylko silniejszy podmuch wiatru tworzył niskie, przetaczające się leniwie fale. Wkrótce jednak gładką toń wzburzyć miały wiosła okrętów. Gotowe do walki floty czekały z postawionymi żaglami i podniesionymi banderami po przeciwnych stronach owalnej niecki.

Conan, przedzierając się z grupą gladiatorów do wejścia, aż zamrugał ze zdumienia.

Migocząca błękitna woda, okręty, barwne kostiumy żeglarzy, którzy wchodzili po trapach na

pokłady swoich jednostek, a przede wszystkim oszalały tłum widzów, wylewających się potężną falą z tuneli i walczących o miejsca w amfiteatrze, wszystko to zupełnie go oszłomiło.

Imperium Cyrku wyglądało teraz zupełnie inaczej, z szerokimi, wysuniętymi nieznacznie do przodu balkonami, zacinającymi dolne sektory.

Gdy podekscytowani widzowie parli naprzód, by zająć upatrzone pozycje, nieomal namacalnie dawała się odczuć nagromadzona w murach potężnej budowli nieujarzmiona energia ludzka.

Conan przecisnął się przez ciżbę przebranych kolorowo wojowników oraz marynarzy. Wielu z nich dodatkowo nosiło półpancerze, co mogło podczas bitwy kosztować życie. Napierśnik lub para nagolenników były wystarczająco ciężkie, by wciągnąć człowieka na dno. Kto wie jednak, czy utonięcie nie stanowiło bardziej miłosiernego rozwiązania, skoro w wodzie roić się miało od rekinów i krokodyli.

Conan pojawił się na arenie prawie nagi, jeśli nie liczyć przepaski biodrowej i sandałów, które z łatwością mógł zrzucić, gdyby w czasie walki zaszła taka potrzeba. W gruncie rzeczy wyglądał znów jak przed laty, gdy jako pirat zwany Amra grasował u wybrzeży Wysp Baracha.

Tym razem wszelako nie miał nawet miecza.

Wypatrzył wreszcie w tłumie człowieka, którego szukał. Commodorus wyłonił się z tunelu w asyście straży przybocznej. W ostatnich dniach tyran był prawie nieuchwytny, może ukrywał się, opracowując nowe plany odzyskania władzy nad Luxurem. Conan miał nadzieję spotkać się z nim i zrezygnować ze zlecenia, ale władca zręcznie unikał Cymmerianina.

— Commodorusie!

Gwardziści zwarli szyki, kiedy jednak stwierdzili, że ich wódz rozpoznał intruza, a ten był na dodatek nie uzbrojony, przepuścili go.

— Conan, jak zawsze na czas! Widzę, że rana na głowie już ci się zagoiła.

Tyran, odziany w togę żeglarza, wydawał się zarazem ożywiony i czujny. Na kędzierzawych jasnych włosach nosił wieniec laurowy i uśmiechał się od ucha do ucha, prezentując śnieżnobiałe zęby.

— Czyż nie zapowiada się wspaniałe widowisko? Nie mogę już się doczekać abordażu.

Naturalnie, ciebie będę mieć cały czas u boku.

— Jeśli chcesz wiedzieć, Commodorusie, w ogóle nie zamierzałem tu przybyć. Pragnąłem oddać ci twoje złoto i odejść stąd — barbarzyńca sięgnął po sakiewkę przytroczoną u pasa —

ale skoro zawierzyłeś mi na tyle, że zażyczyłeś sobie mojej pomocy, uznałem, iż powinieneś

wiedzieć, co ci grozi. Kapłan Nekrodias chciał wynająć mnie, bym cię zabił... Tu i teraz, podczas igrzysk.

— Nekrodias? Chciał mnie zabić? — Tyran roześmiał się w głos. — Ależ Conanie, wcale mnie to nie dziwi. Będę z pewnością łatwym celem i właśnie dlatego tu jesteś, drogi przyjacielu. Nie widzę powodu, bym miał zmienić nasze plany.

— Mam już dość areny i zabijania — odrzekł Conan. — Chcę opuścić Cyrk i Luxur.

— Bzdura, cudzoziemcze! Wiem, że wy, artyści, często kierujecie się humorami. Zechciej wszelako poczekać tu jeszcze chwilę. Mam do załatwienia pewną nie cierpiącą zwłoki sprawę, a wówczas będziemy mogli powrócić do naszej rozmowy. Jestem pewien, że zdołam cię przekonać.

Oddaliwszy się wraz z przybocznymi, Commodorus wszedł do swej prywatnej łoży, zacienionej przez zwieszający się powyżej taras. Gdy ucichły radosne okrzyki i powitania, tyran zabrał głos:

— Obywatele cesarskiego portu, mieszkańcy Luxuru, bądźcie pozdrowieni...

Po kolejnej burzy braw Commodorus podjął przemówienie. Conan tymczasem oddalił się, zamierzając unikać dalszej dyskusji i niezwłocznie opuścić amfiteatr. Pokonanie naporu tłumu okazało się jednak zadaniem nawet ponad siły Cymmerianina. Musiał poczekać, aż przetoczy się główna fala spragnionych igrzysk mieszkańców miasta. Stał więc i rozmyślał. Przypomnił

sobie Manethosa... w ostatnich dniach coś ciągnęło go do kapłana. Nie odszukał go jednak, ponieważ nie chciał narażać jego życia. Conan spojrzął na zalaną wodą arenę. Brama Umarłych została zamknięta i uszczelniona. Na padłych w boju bohaterów nie będą czekać balsamiści, lecz rekiny i krokodyle. Niemniej z pewnością Set laskawie przyjmie tę ofiarę.

Gdzie był teraz Manethos — zastanawiał się barbarzyńca. Raczej wątpliwe, by przebywał

wśród tego potężnego, niespokojnego tłumu. Podążył wzrokiem do oczekującej na rozpoczęcie bitwy floty. Okręt flagowy tyrana wyglądał nader dziwnie, płaskodenna, wykwintnie zdobiona barka rzeczna o wysokich burtach i strzelistych masztach z rozpiętymi żaglami, które jednak tu, na zalanej wodą bezwietrznej arenie, mogły jedynie spowalniać i zmuszać do większego wysiłku wiosłarzy. Taka fregata nie wytrzymałaby dłuższej chwili na wzburzonych falach Morza Vilayet, a co dopiero mówić o Oceanie Zachodnim. Niemniej jednak, ze swymi taranami, artylerią i flotyllą półtuzina mniejszych okręcików mogła na tym stawie odnieść druzgocące zwycięstwo.

Statki pirackie, czekające już wraz z załogą po przeciwnej stronie areny, wyglądały bardziej realistycznie, lecz z pewnością miały mniejsze szanse. Niewolnicy przy wiosłach byli, jak słyszał Conan, poprzykuwani do ław, na których siedzieli. Miało to pozbawić dowódców trzonu sił ofensywnych i prawie na pewno uniemożliwić równorzędną walkę.

Statki, małe, zwrotne jednostki, wydawały się wręcz idealne do działań na otwartym morzu czy na rzece, gdzie zapewne były nie do doścignięcia. Tu jednak, na arenie Imperium Cyrku, przypominały bydło w rzeźni. Ich los wydawał się przesądzony. Conan przewidywał, że piraci zginą niechybnie podczas taranowania ich statków przez większe jednostki lub zostaną wycięci w pień podczas abordażu.

Luxurskie okręty wojenne miały na swych pokładach gladiatorów oraz wprawnych żeglarzy.

Wyszkoleni wioślarze nie byli zakuci w łańcuchy, lecz z powodu braku broni wydawało się wątpliwe, by ochoczo wzięli udział w walce. Tak więc bitwa nie zapowiadała się na łatwą ani tym bardziej krótką. Chodziło przecież o ukazanie Commodorusa w glorii chwały jako dowódcę zwycięskiej floty.

Conan rozmyślał leniwie, uwięziony pośród tłumu, podczas gdy tyran zakończył swoją mowę i oddał głos Nekrodiasowi.

Okręty pirackie obsadzono więźniami. Plotki głosiły, że wśród jeńców znajduje się wielu sławnych morskich rozbójników. Prawdopodobnie byli wśród nich i tacy, których Conan znał

dobrze z czasów, gdy ze swą kochanką, piratką Belit, grasował wzdłuż Czarnego Wybrzeża na pokładzie „Tygrysicy”. Ta myśl tym bardziej odstręczała Cymmerianina od udziału w bitwie.

Przesuwając machinalnie wzrokiem po twarzach odwróconych w stronę rufy wielkiego okrętu flagowego, Conan dostrzegł postać, którą rozpoznał, a przynajmniej tak mu się wydawało. Mężczyzna przypominał kogoś, kogo barbarzyńca widział całkiem niedawno.

Tylko ta gęsta czarna czupryna...

Nagle szczęki Cymmerianina zacisnęły się mocno. To był Xothar. Nie ulegało wątpliwości.

Czemu więc łysy zapaśnik założył perukę? Nie należał do ludzi dbających o powierzchowność, a zresztą peruka z pewnością nie przydawała mu urody. Zatem chodziło o przebranie. Zapaśnik udawał bezbronnego wioślarza, aby bez zwracania na siebie uwagi znaleźć się w pobliżu Commodorusa.

Spośród wszystkich zabójców, z jakimi ostatnio Conan się zetknął, najgroźniejszy był

właśnie ten dusiciel. Skoro potrafił wycisnąć z człowieka życie w przeciągu kilku chwil, mógł zapewne jeszcze szybciej skrócić swojej ofierze kark. Cymmerianin musiał ostrzec Commodorusa.

Tyran tymczasem zapomniał o Conanie lub uznał, że i tak weźmie on udział w bitwie. Zszedł spokojnie ze swej trybuny i skierował się w stronę trapu cesarskiego okrętu flagowego. Władcy

towarzyszyła jak zwykle straż, choć wiadomo było, że przyboczni w hełmach i zbrojach nie wejdą na pokład.

Jedynie potężny wzrost i atletyczna sylwetka pozwoliły Conanowi przedrzeć się przez tłum.

Ludzie, którzy tarasowali mu drogę, byli spychani na bok tak energicznie, że nim zdążyli zakląć i, rozpoznawszy w nim mistrza, poprosić o uścisk dłoni, barbarzyńca znajdował się już daleko przed nimi.

Cymmerianin dotarł wreszcie do trapu. Commodorus tymczasem wszedł właśnie na wysoką rufę okrętu flagowego. Eunuch Memtep na widok Conana skłonił się dwornie i nakazał straży, by przepuściła gladiatora.

Ledwie Conan postąpił do przodu, gdy brutalnie usunięto mu trap spod nóg. A więc chcąc nie chcąc ruszał do boju. Musiał ochronić tyrana Commodorusa. Władca zaś przeszedł właśnie z grupą oficerów wzdłuż rzędów wioślarzy aż na dziób, czego nigdy nie uczyniłby prawdziwy kapitan jednostki bojowej. Gdy tak maszerował, uśmiechając się i pozdrawiając załogę oraz publiczność na trybunach, minął ławkę, na której siedział przygarbiony Xothar.

Zapaśnik nie uniósł oczu. Potrafił zachować roztropność. Kiedy jednak Conan podszedł do Xothara i zmierzył zapaśnika piorunującym spojrzeniem, napotkał zimny wzrok tamtego.

Lśniące od oliwy oblicze Dusiciela rozjaśnił lekki, znaczący uśmieszek. Teraz wszystko było już jasne.

Tymczasem wydano rozkaz, by opuścić pióra wiosel do wody. Rozległy się rytmiczne uderzenia w bęben. Drewno skrzypnęło w dulkach, kiedy ciężki okręt jał przesuwać się naprzód. Równocześnie z drugiego końca areny dobiegł brzęk łańcucha. Niewątpliwie oznaczał on, iż flota piracka także wyruszyła do boju.

Conan przez chwilę zastanawiał się, czy Sathilda będzie obserwować walkę. W ostatnich dniach prawie z dziewczyną nie rozmawiał, ani nie próbował wytłumaczyć jej tego, co czuł.

Akrobatka, mimo iż cieszyła się sukcesami ich cyrku, nie potrafiła jeszcze otrząsnąć się ze smutku z powodu śmierci Roganthusa. Bardziej bliscy jej byli artyści z trupy Luddhew aniżeli posępny barbarzyńca. Dzielila co prawda z Conanem łóżę, a on nadal pomagał przy doglądaniu i karmieniu pantery, coraz więcej czasu poświęcała jednak treningom i przygotowaniom do występów. Uczęszczała też ochoczo na przyjęcia wyprawiane przez bogatych luksuskich dostojników, podczas gdy Cymmerianin wybierał zadumę i samotność.

Mimo to czuł, że Sithildzie na nim zależy. Wydawało mu się, że dostrzegł smukłą sylwetkę kochanki wysoko, w zacienionej łoży należącej do wielbiciela dziewczyny, Alcestiasa. Tak, to była ona. Conan dostrzegł również czarną jak noc plamę. Qwamba i dzisiaj towarzyszyła swej pani.

Sathildzie zapewne trudno byłoby na tę odległość wypatrzeć Cymmerianina, gdyż na pokładzie galara zrobiło się nader tłoczno.

Na dziobie koło tarana zebrali się oficerowie w kapiących od złota strojach. Wyróżniał się wśród nich nadęty, paradujący dziarsko Commodorus. Nieco z tyłu na wieżyczkach strzelniczych szykował się już do walki tuzin procarzy i luczników. Wieże miały konstrukcję szkieletową. Umocniono je grubą, malowaną skórą, lecz ich największym atutem była wysokość. Dla Conana posiadały jeszcze jedną zaletę. Tworzyły zwężenie trudne do przebycia dla śmiałków, którzy spróbowaliby przedostać się ze śródokręcia na dziób. Cymmerianin zajął więc pozycję pośrodku wąskiego przejścia, kilka kroków za Commodorusem, gotów odeprzeć atak Xothara, gdy nadejdzie właściwa pora.

Przenosząc wzrok na okręty wroga stwierdził, że zbliża się równocześnie cała flota.

Największa i najpotężniejsza, zaopatrzona w taran galiota wysforowała się przed pozostałe statki i prula wodę dwakroć szybciej od innych. Kierowała się na cesarski okręt flagowy i najwyraźniej zamierzała go staranować.

Widząc tę jawną zuchwałość nieprzyjaciela, Commodorus odwrócił się i wydał krótki rozkaz drugiemu oficerowi. Bosman kilka razy zadął w gwizdek. Rytm bębna, narzucającego wiosłarzom tempo, stawał się coraz szybszy.

Okręt wyprysnął do przodu, ponad dziobnicą wzbily się kłęby piany.

Conan obejrzał się. Chciał się upewnić, że Xothar nie wstał z ławki i wciąż wiosłuje wraz z pozostałymi. To, co zobaczył, zdumiało jednak Cymmerianina. Inne okręty floty luksuskiej pozostały w tyle, jakby nie nadażały za przywódcą. Nic w tym zresztą dziwnego, okręt flagowy bowiem z podwójnymi rzędami wiosel i doborowymi przy nich niewolnikami, nawet pomimo spowalniających go postawionych żagli, był w stanie rozwinąć większą prędkość niż pozostałe jednostki. Tym sposobem Commodorus dosyć nieroztropnie wysforował się przed resztę floty.

Czując się odrobinę niepewnie, Conan spojrzął na nadciągający statek. Zbliżał się nieubłaganie i teraz, gdy był już niedaleko, Cymmerianin ujrzał coś zdumiewającego. Na pokładzie wroga znajdowali się skuci łańcuchem skazańcy i szumowiny z portowych tawern, wprawni żeglarze, którzy radzili sobie chwacko, mimo iż ich łódź dysponowała tylko pojedynczymi rzędami wiosel. Nigdzie jednak nie było widać gotowych do walki piratów.

Conan dostrzegł tylko dwóch zabijaków w lachmanach, którzy gorliwie wymachiwali batami i pilnowali, by zachowany został rytm dyktowany przez bęben. Może oddział przygotowany do abordażu szykowały się do walki na pokładach innych jednostek floty pirackiej? Ale dlaczego?

Czy samotny statek skazano na zagładę? Czyżby miał za zadanie wybić dziurę w burcie okrętu flagowego albo zgruchotać część jego dziobowych wiosel i samemu dać się staranować?

Podobna akcja z pewnością unieruchomiłaby okręt Commodorusa na krótki czas, lecz szkodę niebawem by naprawiono, a załoga większej jednostki i tak zajęłaby mniejszą, zyskując tym samym jeden statek więcej, co z pewnością przypieczętowałoby zgubę piratów.

I nagle w umyśle Conana pojawiło się dużo prostsze i bardziej złowrogie rozwiązanie. Aż jęknął ze zgrozy i chciał właśnie ostrzec Commodorusa...

Spóźnił się jednak. W tej samej chwili wydano kolejny rozkaz. Bosman zadał w gwizdek.

Tempo wiosłowania zwiększyło się jeszcze bardziej. Skrzypienie drewna i przekleństwa wiosłarzy wzmogły atmosferę napięcia, na trybunach. Masy widzów jęły szemrać i pokrzykiwać w pełnym emocji wyczekiwaniu.

Mknąc z zapierającą dech w piersiach szybkością, okręt flagowy zbliżył się do pirackiej galioty. Nadeszła pora, by wytrawny dowódca umiejętnie pokierował jednostką, czy to przekazując sygnały gestami, czy też wydając zwięzłe rozkazy sternikowi i wiosłarzom siedzącym na rufie. Admirał Commodorus znajdował się ciągle na dziobie, toteż odpowiedzialność za dalsze manewry spadła na pierwszego oficera. Ponieważ jednak statek, który atakowano, nie miał nawet sterników, rezultat łatwy był do przewidzenia. Okręt flagowy pomknął ku dziobnicy jednostki pirackiej i niechybnej zgubie. Zwycięstwo bowiem równało się w tym wypadku porażce. Conan przewidywał, że galiota uszkodzi taran flagowca i unieruchomi okręt.

Znużeni wiosłarze, mimo iż wprawni i zgrani, będą musieli się namęczyć, by uwolnić go od staranowanego wraku. W tym czasie inne jednostki pirackie podpłyną i zaatakują z flank.

Następnie piraci przejdą do abordażu i wedrą się na pokład okrętu flagowego. Jediną szansą było wzięcie flagowca szturmem, sześć mniejszych jednostek przeciwko jednej dużej.

Zahartowani w bojach morscy bandyci, walczący rozpaczliwie o życie, zaatakują z pewnością gladiatorów i oficerów, lekceważąc nie uzbrojonych wiosłarzy. Osłonę z wieżyczek bojowych uniemożliwią trzepoczące, źle postawione żagle.

Walka będzie zażarta, szybka i rozstrzygająca. Płynące z tyłu okręty floty cesarskiej pojawiają się zbyt późno, a może nawet nie zdecydują się przybliżyć i zetrzeć z piratami.

Conan przesunął wzrok ze zwartego klina uformowanego przez jednostki pirackie na luźny, nieporadny szyk flotylli Commodorusa. Nie będzie trzeba chronić tyrana przed zabójczym uściskiem Xothara; Commodorus zostanie zabity lub, co gorsza, poniżony i upokorzony przez wybranych przez siebie przeciwników. Mimo to Cymmerianin odwrócił się, by władcę ostrzec...

I wtedy właśnie dwa okręty zderzyły się ze sobą. Wśród trzasku rozłupywanego i miażdżonego drewna, który towarzyszył potężnemu wstrząsowi, przy wtórze przeraźliwych przeszywających powietrze wrzasków, spiżowy taran przebił kadłub pirackiej galioty i miał wybić gładki otwór, wrył się pod kątem niczym ostroga, rozrąbując deski i otwierając długą postrzępioną dziurę w części dziobowej.

Do wnętrza statku pirackiego natychmiast poczęła wlewać się woda. Tonący wrak pociągnął

szcepiony z nim taranem okręt flagowy, którego dziób niepokojąco się zanurzył. Impet zderzenia sprawił, że oficerowie i gladiatorzy, kręcący się po pokładzie, stracili równowagę, a wioślarze pozlatywali z ławek. Równocześnie na galiotę spadł grad strzał z wieżyczek bojowych, chybiając nadzorców i uśmiercając jedynie kilku wioślarzy. Conan ujrzał wyraz śniadych, nieogolonych twarzy, gdy nadzorcy umykali z pokładu, by czym prędzej schronić się na rufie. Jeńcy nie byli przerażeni, raczej zadowoleni z połowicznego zwycięstwa.

Widzowie na trybunach zamarli, gdy ujrzeli, jak wielki okręt wgryza się w piracki statek, a spiżowa ostroga rozoruje burtę, gruchocząc wiosła i miażdżąc nieszczęsnych wioślarzy wraz z ławeczkami, na których siedzieli. Przed dziobem flagowca spiętrzyła się fala, piana na jej grzbiecie była czerwona od krwi. Gdy zaś w kadłubie pirata wykwitła ziejąca dziura, jasna toń sztucznego morza natychmiast się zaróżowiła.

Na ten widok przez trybunę amfiteatru przeszedł ryk. Wkrótce urósł on w siłę, wzmocniony grzmiącym, bezlitosnym dudnieniem stóp i gromkimi wrzaskami rozentuzjasmowanych widzów, których na widok świeżo przelanej krwi ogarnęło pierwotne szaleństwo. Narastający rejwach był drażniący nawet dla nawykłego do obyczajów areny gladiatora. Najbardziej przerażające w tym hałasie wydawało się, że narastał i powracał w jakimś koszmarnym crescendo. Powietrze aż drgało od wrzasku, a głuchy huk nasilał się z minuty na minutę. Kiedy Conan zapał się o ścianę jednej z wieżyczek bojowych i uniósł wzrok znad przechylnego pokładu, zrozumiał, co się stało.

Pod wpływem uderzeń setek stóp ogarniętej dziką furją publiczności nowa konstrukcja, dobudowana w koronie amfiteatru, nie wytrzymała. Po zachodniej stronie największe z ogromnych kamiennych balkonów przechylały się i wyginały przy wtórze przeraźliwego loskotu, z jakim lawina zsuwa się z rozpadającego się górskiego zbocza. A potem wśród przenikliwych wrzasków przerażonych ludzi, którzy wyskakiwali przez barierki, przepychali się i brutalnie bili między sobą, usiłując wydostać się z pułapki, balkony zapadały się z głuchym łomotem.

Grzmiący ryk spadających kamieni zmieszał się z krzykami zgrozy i bólu.

Kakofonia dźwięków towarzyszących rozsypywaniu się potężnej konstrukcji zlała się w jeden dojmujący odgłos, ogłuszający rumor, który uderzał w taflę sztucznego morza i odbity ulatywał hen, w górę.

Pośród tego rozdzierającego bębenki hałasu fragment zniszczonego balkonu uderzył w trybunę poniżej i rozbiwszy ją płynął w dół niczym potworna kamienna lawina. Gigantyczna fala, która powstała na zalanej wodą arenie, pomknęła ku szcepionym w śmiertelnej walce okrętom.

IGRZYSKA PRZETRWANIA

Tłumy, które nie dostały się do amfiteatru, wyczekiwały na przyległych do budowli uliczkach w atmosferze niepokoju i napięcia. Zbici w zwarte grupki, pochłonięci wyłącznie tym, co działo się na arenie, ludzie dyskutowali o wydarzeniach, rozgrywających się w Imperium Cyrku. Pojadając owoce i placki nabywane u ulicznych kramarzy, podchwytywali dobiegające zza muru wybuchy entuzjazmu i snuli różne domysły w chwilach ciszy. Z uwagi na poczynione zakłady bacznie śledzili treść wykrzykiwanych przez heroldów informacji.

— Commodorus wchodzi na pokład okrętu flagowego — dobiegało ze szczytu trybun i z tuneli wejściowych. Flotylla cesarska wypłynęła w bój. Teraz największy statek piracki atakuje okręt naszego tyrana.

Nagle jednak ryk aplauzu przerodził się w grzmiący huk, aczkolwiek dziwnie stłumiony przez grube mury. Hałas płynący w górę i w dół był tak wielki, że zaczęły drżeć kostki bruku pod stopami.

— Okręt flagowy wbił się taranem w dziób statku pirackiego — dobiegło z trybun. Głos ten niemal utonął w burzy braw. — Zwycięstwo, wspaniały triumf!

Poruszenie było tak wielkie, że tłum zgromadzony wokół amfiteatru również zaczął krzyczeć na całe gardło, mimo iż poza murami nie można było stwierdzić, co właśnie tak gromko oklaskiwano. Ludzie na uliczkach nie odrywali wzroku od budynku Cyrku, ich uszy łaknęły nowych relacji i opisów. Nagle jednak z pełnym trwogi zdumieniem ujrzeli, że cała masywna budowla drży i dygocze na tle nieba, jak gdyby kamienie i wiążąca je zaprawa zmieniły się w trzęsące się z ekscytacji ciało. Głuche odgłosy zdawały się dochodzić z samego wnętrza ziemi.

Jednocześnie przejmujące westchnienie z tysiąca piersi przybrało na sile, stało się jękiem dojmującej zgrozy.

Na oczach zaszokowanych gapiów gigantyczna budowla zaczęła się rozpadać. Murowane fragmenty sklepień runęły na zatłoczony dziedziniec. Z pochyłych tuneli buchnęły chmury kurzu, przesłaniając kaskady kamiennego gruzu sypiące się na głowy widzów. Stale narastające, płynące z wnętrza amfiteatru wstrząsy sprawiały, że rozległy fragment brukowanej nawierzchni pękł i rozleciał się na kawałki wśród chmury pyłu i rozpryskujących się dokoła kamieni.

Tłumy stojące przed bramą ujrzały w chwilę później widok jeszcze bardziej zatrważający.

Szerta gruzów zaczęła nagle poruszać się i falować, jakby w jej wnętrzu budziła się uszpiona dotąd bestia. Ze szczelin w buchającym wciąż kurzem rumowisku wyloniły się czarne macki...

i jęły się rozprzestrzeniać. Szukająca ujścia woda odnalazła dogodne otwory w murach budowli. Zawalenie się trybun niechybnie musiało spowodować uszkodzenie ścian amfiteatru i teraz

rozszalałe jezioro uwięzione w obrębie areny za wszelką cenę usiłowało wydostać się z zamknięcia.

Tłum pojął niebezpieczeństwo. Z przeraźliwym wrzaskiem ludzie rzucili się do ucieczki, ślizgając się i potykając na mokrym już bruku. Ich śladem podążyła rwąca, gniewna struga.

Spienione wody miały swymi ofiarami wewnątrz budowli, ciskały nimi o żelazne bramy, przerzucaly nawet ponad murem. Nieokielzany żywioł wydostał się na ulice, zbijając ludzi z nóg i porywając ze sobą bądź z przeraźliwą siłą popychając nieszczęśników w dół wzgórza.

Ci, co zdołali oprzeć się pierwszej fali, chwytając się drzew, krat w oknach lub płynąc z prądem mniej wartkiego nurtu, mieli okazję ujrzeć widoki, od których krew zastygała w żyłach, a włosy stawały dęba z przerażenia. Oprócz bowiem glazów wyrywanych z murów amfiteatru, woda niosła również i bardziej przerażające szczątki.

Wyplukane z murszejących nisz mumie dawnych gladiatorów były lekkie, wyschłe na wiór, więc utrzymywały się na powierzchni dużo lepiej niż bezwładne, zmasakrowane, zmiażdżone nie do poznania trupy ludzi, którzy znaleźli śmierć pod gruzami. Płynęły również z prądem trudniejsze do zidentyfikowania, choć dobrze zachowane szczątki różnych typów spod ciemnej gwiazdy, w tajemnicy pochowanych ongiś w murach Imperium Cyrku.

Woda jęła splywać rwącymi potokami w dół uliczek, biegnących zboczem Świątynnego Wzgórza. Topiąc po drodze setki pechowych zwolenników krwawej rozrywki, wartka fala zalewała eleganckie wille i otoczone murami ogrody. Powódź wypełniła też wąwozy ulicorskimi drapieźnikami i śmiertelnie niebezpiecznymi gadami, zamieniając je w rysztki śmierci, usłane gruzami i zmasakrowanymi ludzkimi szczątkami.

Źródło owego zabójczego potopu pracowało nieprzerwanie. Miejskie akwedukty, którym zmieniono bieg dla potrzeb wielkiego widowiska, wciąż wyrzygiwały z siebie kaskady wody, starając się wypełnić mury Imperium Cyrku, mimo iż szalejący wśród trybun żywioł robił co w jego mocy, by wyrwać się z wnętrza budowli.

Wielka fala wywołana osuwającymi się blokami kamienia przetoczyła się przez całą arenę.

Unosząc przed sobą statki jak popychane dmuchnięciem okręciki z papieru, w okamgnieniu wywróciła większość ciężko zbrojnych jednostek floty cesarskiej i zatopiła lżejsze galioty pirackie. Flagowiec, największy z nich wszystkich, został brutalnie oderwany od okaleczonego przeciwnika i pchnięty ostro na sterburtę. Znalazłszy się na grzbiecie ogromnej fali, okręt z miażdżącą siłą uderzył o przeciwległą ścianę areny. I zawisł tam, przekrzywiony niczym porzucona, zepsuta zabawka, w płataninie zwisającego żalośnie olinowania i pogruchootanych masztów.

Straty wśród wioślarzy były potworne. Wiosła od sterburty pod wpływem naporu wody uniosły się niczym maczugi tytanów. W chwilę później statek uderzył w mur. Pękające drągi gruchotały kręgosłupy wioślarzy i przebijały ich na wylot niczym włócznie. Fala zmyła większość

gladiatorów za burtę. Oszołomieni bądź nieprzytomni tonęli we wzburzonych odmętach.

Conan, przemoczony i poobijany, choć przed najgorszymi skutkami uderzenia uchroniły go zwisające smętnie szczątki wież bojowych, był najprawdopodobniej jedynym człowiekiem, który ocalał na dziobie flagowca. Rozejrzawszy się wokół, stwierdził, że pośród chaosu szczątków nie dawało się podjąć jakiegokolwiek próby ratunku. Każdy musiał myśleć tylko o sobie. Zerkając na ruinę Cyrku, Conan przez chwilę zastanawiał się, co zrobiliby na jego miejscu kapłan Manethos, po czym ostrożnie ruszył w stronę rufy. Drogę zagroził mu zwalony grotmaszt i leżące pod nim bezwładne ciała. Schwyciwszy się olinowania, Cymmerianin zaczął podciągać się w górę, ku zwieńczeniu muru areny.

W amfiteatrze wciąż rozgrywała się tragedia i nic nie wskazywało, aby miała się wkrótce zakończyć. Balkony przyległe do tego, który się zarwał, zostały osłabione wstrząsami targającymi całą budowlą. Pod naporem tłumu konstrukcje zaczęły przechylać się i obsuwać. W

końcu, czemu Conan przyglądał się w niemym osłupieniu, najbardziej wysunięta ku północy platforma runęła z głuchym łoskotem, zwalając lawinę kamieni na głowy potykających się, przepychających i walczących rozpaczliwie o życie widzów. Większość gruzów została jednak zatrzymana przez odgradzające sektory barierki, część zaś runęła do wody, rozbryzgując dokoła błotnisto–krwawe kaskady. Upadek tego balkonu nie wywołał drugiej wielkiej fali. Wskutek uszkodzeń murów poziom wody wewnątrz amfiteatru zaczął się obniżać. Nie opadł wiele, niemniej chmury wirującego w wodzie piasku, kłębowisko szczątków i ofiar walczących z atakującymi je bestiami stało się widoczne gołym okiem. Wraki statków, niektóre z żywymi jeszcze, przykutymi do ławeczek wioślarzami, wolno dryfowały w stronę dziury ziejącej w uszkodzonym murze, aby zostać wessane w głąb wiru. Wokół panowała szaleńcza panika.

Widzowie na trybunach popychali się, przeciskali, okładali wzajemnie pięściami i deptali po sobie, usiłując wydostać się poza zasięg balkonów i dotrzeć do wyjścia. Dla przerażonej publiczności rozpoczęły się igrzyska przetrwania, dużo bardziej niebezpieczne niż jakiekolwiek widowisko wyprawiane dotąd na tej arenie. Noże spływały krwią, wybijano galki oczne i miażdżono czerepy o twarde kamienie w próżnych próbach zyskania przestrzeni, której nie było. Gdy zadrżał balkon nad Bramą Bohaterów i zwisał groźnie, zrobiło się tak wielkie poruszenie, że w kilka chwil zdeptano i stratowano dziesiątki ludzi. Niektóre z ofiar wepchnięto brutalnie w odmęty. Nieszczęśnicy ci wyli jak szaleni, albowiem sztuczne morze niosło niechybną a okrutną śmierć. Z całą jednak pewnością najwięcej osób zmiażdżono w ostatnim, nie zawalonym dotąd tunelu wyjściowym. Tłum wdarł się tam zwartą falą, przepychając się w głąb przejścia. Z tyłu napierano z taką siłą, że znajdujący się w przedzie nie byli w stanie bezpiecznie wydostać się na zewnątrz. Niebawem też tunel zasłaly sterty zmiażdżonych bezlitośnie ciał.

Conan tymczasem wdrapał się na balustradę areny i siadł na niej okrakiem, próbując uchronić się przed sunącymi niepowstrzymanie ludzkimi masami. Szczęśliwie nikt z widzów nie wpadł na pomysł, by opuścić się po potrzaskanym maszcie do zniszczonego okrętu.

Uciekająca publiczność przepychała się brutalnie i kłębiła w ścisku. Cymmerianin stanął przeto na szczycie muru i pozostał tam, przytrzymując się rozlupanego masztu.

Powiódł wzrokiem po rozległej stromiźnie trybun. Wreszcie dostrzegł to, czego szukał, smukły kobiecy kształt, któremu towarzyszyła wielka, bezkształtna plama mroku. Obie postacie dość rażno przedzierały się przez rozszalały, pierzchający w popłochu motłoch.

Sprawność fizyczna i zwinność dawały Sathildzie sporą przewagę nad tłumem, podobnie jak obecność czarnej pantery, Qwamby. Tylko bowiem widok ogromnej lśniącej bestii mógł sprawić, że ogarnięci paniką ludzie ustępowali dziewczynie z drogi, wrzeszcząc przy tym na całe gardło.

Akrobatka i drapieżnik błyskawicznie przedostali się poza zdradziecki nawis balkonu.

Zamiast schodzić na dół i poszukać wyjścia, najwyraźniej próbowali dostać się na szczyt murów. Barbarzyńca uznał to za roztropne posunięcie.

— Conan, przyjacielu! — dobiegło nagle z dołu. — Podaj mi dłoń, jeśli łaska!

— Commodorus! Myślałem, że zmyło cię za burzę!

Koryntiański dostojnik podciągnął się, podobnie jak wcześniej Conan po olinowaniu statku.

Tyran wydawał się cały i zdrowy, aczkolwiek przemoczony do suchej nitki. Jego krótka tunika zwisała, podarta i zmięta. Wyciągnął rękę, by barbarzyńca pomógł mu wspiąć się na balustradę.

— Wpadłem do wody, gdy pierwsza fala uderzyła w okręt. Bogowie morza muszą darzyć mnie swymi łaskami, z kolejną falą bowiem powróciłem na pokład.

Conan mruknął powątpiewająco pod nosem. Gdyby jakikolwiek morski bóg naprawdę otaczał Commodorusa specjalną opieką, sztuczne morze wyrzuciłoby władcę raczej pomiędzy ludzi.

W tej samej chwili, spoglądając w dół ponad głowę tyrana, barbarzyńca spostrzegł jakieś poruszenie wśród potopionych i pogruchotanych ciał w śródkręciu wraku. Znajoma ogorzała twarz uniosła się, wlepiając wzrok w Cymmerianina, znajoma, potężna postać jęła wyczolgiwać się spośród rumowiska. Xathar nie nosił już peruki, ale wciąż brał udział w grze.

— Wdrap się na górę, Commodorusie. Ten wrak lada chwila może się rozlecieć.

Sztuczne morze wylewało się przez otwory w murze amfiteatru. Poziom wody szybko się obniżał, osuwał się więc także pogruchotany kadłub wielkiego okrętu flagowego. Conan nachylił się i wciągnął dostojnika na balustradę. Tam przytrzymał go silnym ramieniem, by tyran nie runął na popychających się, rozszalałych, ogarniętych paniką widzów.

— Teraz tędy, za mną.

Wspiąwszy się na potrząskany saling masztu, Cymmerianin przeskoczył ponad głowami tłumu i znalazł się na jednym z wielu rzeźbionych kamiennych foteli o wysokich oparciach, stanowiących wysepkę pośród rwącego dziko strumienia zdesperowanych ludzi. Odwrócił się błyskawicznie i pochwycił Commodorusa, gdy ten podobnie jak barbarzyńca przefrunął nad tłumem. Koryntiańczyk, będący w doskonałej kondycji, wykonał skok z łatwością. Conan odetchnął z ulgą, gdyż w chwilę potem maszt pękł z głośnym trzaskiem i ześlizgnąwszy się do wody, znikł z pola widzenia.

— Teraz, tyranie — rzekł Conan — rozkazuj swoim poddanym. Uczyni co w twojej mocy, by położyć kres panice.

— Ale co? — Commodorus, szczerze przygnębiony, przeniósł wzrok z Conana na twarze ludzi kłębiących się wokół, na rozpadający się amfiteatr, na gruzy i ruiny. — Co chcesz, bym uczynił? Mam podźwignąć balkony, które się zawaliły, albo podeprzeć te, które się chwieją?

Wygląda, jakby całe Imperium Cyrku lada chwila miało runąć nam na głowy!

— Chwaliłeś się że lud cię szanuje i kocha — warknął Conan. — Spróbuj uspokoić tych nieszczęśników i odwołać się do ich lojalności. Dajże pokój — dodał po chwili, zniecierpliwiony — czy naprawdę nie masz już ani jednego strażnika lub oficera, któremu mógłbyś wydać rozkazy?

Tyran rozejrzał się. Narastające szaleństwo tłumu zmieniało się z wolna w beznadziejną desperację. Zerknął w dół i niepewnie dotknął ramienia jednego z przepychających się akurat w pobliżu wielmożów. Ten uniósł na chwilę głowę, spojrział na tyrana błędnym wzrokiem i bez słowa parł dalej przed siebie.

— Nie, to nic nie da — oznajmił z rezygnacją Commodorus, kręcąc głową i odwracając się do Conana. — Ty jedyny mi pozostałeś. Powiedz, co mam robić w tej sytuacji?

Cymmerianin parsknął ze złością. Wskazał palcem na rozległy balkon, gdzie prawie nie było już ludzi. Wspinając się pod górę, z dala od groźnych dobudówek i omijając zatarasowane zwałami ciał tunele, mogli się przynajmniej przemieszczać.

— Tędy — rzekł do Commodorusa i przeskoczył na sąsiedni parapet.

— Dokąd mnie prowadzisz? — spytał tyran, zrezygnowany. — To miejsce może lada chwila obrócić się w stertę gruzów. Wygląda, że Stygijczycy nie przyłożyli się do pracy.

— Powiedziałbym raczej, że te mury gniją od ciał, które w nich ukryliście — odparł Conan. —

Tak czy inaczej, naszą jedyną szansą ucieczki jest przedostawanie się z dachu na dach.

Nie miał pojęcia, czy faktycznie jest to możliwe, ale chciał dotrzeć do Sathildy, znajdującej się obecnie gdzieś na górnych trybunach amfiteatru.

— Rozumiem — rzekł Commodorus. — Wydaje mi się, że to równie dobre rozwiązanie jak każde inne. Ale, na Mitrę — jęknął po chwili — tę wędrówkę niełicho czuję w nogach!

Wspinając się z jednego parapetu na drugi, pozostał nieco z tyłu. Conan zwolnił tempo wspinaczki, kolejne strome poziomy bowiem gwałtownie pozbawiały uciekinierów sił.

Cymmerianin czuł, jak sztywnieją mu mięśnie ud i drżą kolana. Skręcił więc pod łagodnym kątem najpierw w prawo, potem w lewo. Nie chciał zanadto zbliżyć się do zatarasowanego wejścia do tunelu, skąd dobiegały przeraźliwe skowyty, przekleństwa i wrzaski.

Gdy znaleźli się w głębszym cieniu zrujnowanego balkonu, mogli na własne oczy przekonać się, w jak fatalnym stanie był cały amfiteatr. Musieli przestępować sterty gruzu, uchylać się przed zmurszałymi, sypiącymi się z góry kamieniami. Czuli, jak podesty pod ich stopami drżą i przesuwać się wskutek niewidocznych podziemnych zaburzeń.

— To woda przecieka do fundamentów Cyrku — wysapał Commodorus, kiedy wreszcie zrównał się z Conanem. — Arena powinna wytrzymać, projekty były dobre, ale wstrząsy musiały spowodować powstanie pęknięć w murach. Nurt wody rozmiękcza ziemię i podmywa fundamenty.

Conan chrząknął tylko i ruszył dalej, czując, że nawis nad ich głowami staje się coraz bardziej niepokojący i nieprzyjazny. W końcu dotarli do skraju rzucanego przez balkon cienia. Pokonali już mniej więcej dwie trzecie wysokości trybun. Grupki ocalańców były tu mniej liczne.

Ogarniętemu paniką tłumowi łatwiej przychodziła ucieczka w dół niż pod górę. Conan dostrzegł Sathildę i Qwambę, biegnące wzdłuż szczytu korony stadionu. Akrobatka dostrzegła kochankę i wielkimi susami zaczęła zbiegać ku niemu. Conan machnął ręką na znak, by się zatrzymała.

— A więc, mój dzielny przyjacielu — zauważył tyran — na naszej drodze ucieczki spotkaliśmy — całkiem przypadkowo — twą oblubienicę! Ale to nic — dodał z filuternym uśmiechem. — Nie potrafię wyobrazić sobie lepszego od ciebie strażnika, może z wyjątkiem tej tam pantery.

Pnąc się uparcie pod górę resztkami sił, dwaj mężczyźni dotarli prawie do załomu północnego muru Cyrku. Tutaj, wysoko ponad rumowiskiem zwałonego balkonu, pośród szczątków kamiennych siedzisk wały się zwłoki tych, którzy zostali stratowani. Niektórzy, poranieni i przerażeni do cna, ale szukający jeszcze w trwodze jakiegoś ratunku, również wybrali schronienie na obrzeżach najwyższych trybun. Poniżej rozpościerało się ogromne rumowisko kamieni, szkielety doprowadzających wodę rynien i ociekające krwią sterty gruzów. Tłumy widzów wciąż jeszcze toczyły tam między sobą zażarty bój o przetrwanie.

Na samym dole zaś także rozgrywał się koszmar. Widać było wyraźnie na wpół zatopione statki, konających ludzi, kłębiące się dziko morskie potwory, plugawe, skażone jezioro,

wylewające się przez niewidzialne szczeliny. Te niezliczone oblicza grozy odnajdywał Conan w spojrzeniach mijanych ludzi, zdezorientowanych, oszołomionych, wpatrujących się tępych wzrokiem w wir śmierci, którym stało się Imperium Cyrku.

Gładiator i tyran wspinali się na najwyższy poziom trybun, gdzie czekały na nich zaniepokojona akrobatka i rozleniwiona czarna bestia. Sathilda rzuciła się w ramiona Conana.

On wszelako, zmęczony i zdyszany, skupił całą swą uwagę na tym, co widać było w dole, u stóp budowli. Na ulicach wokół Imperium Cyrku panowały bowiem niepodzielnie chaos i szaleństwo.

Zalane wodą i mułem, zarzucone najróżniejszymi szczątkami oraz trupami ulice zmieniły się w błotniste, rwące potoki. Płynęły one, podmywając ruiny na wpół zawalonych budynków.

Wille i ogrody, należące do bogatych mieszkańców miasta, zostały zniszczone i splugawione.

Szukali tam ratunku półnaczy ocalańcy, umykający ostatkiem sił przed żarłocznymi krokodylami i żerującymi w płytkich wodach rekinami.

Inna tragedia rozgrywała się tymczasem w mieście, skąd dobiegało echo przeraźliwych wrzasków i krzyków, brzęk tłuczonego szkła, trzask rozłupywanego drewna. W niebiosa były słupy oleistego dymu. Ład i porządek przysły. Tłumy, uciekające w panice z Imperium Cyrku, ogarnął oblęd i wkrótce cały Luxur został owładnięty łupieżczym, niszczycielskim szałem.

Miejscowi dostojnicy i wojskowi w większości poginęli w murach amfiteatru. Ci, co przetrwali, nie mogli ludzić się, że zdołają zapanować nad obląkaną tłuszcą, której nie stać było na udział w widowisku śmierci.

Patrząc w dół, Conan dostrzegł złodziei krzątających się na tarasie jednej z bogatszych willi.

Nieopodal z innego pałacyku wywlekano pękate worki z łupami. Barbarzyńcy wydało się, iż rozpoznał przywódcę rabusiów. Był to jeden z postawnych, brodatych jeńców, których zmuszono do udziału w igrzyskach. Piraci zapewne, gdy tylko się wydostali z areny, czym prędzej pozbyli się krępujących kajdan. Również gladiatorzy, którzy znaleźli się po drugiej stronie murów, z całą pewnością nie wzgardzili łatwymi łupami. Garstka straży miejskiej nie miała szans poradzić sobie z hordami szalejącymi na ulicach Luxuru.

— Wszystko przepadło... wszystko przepadło... — Posępny głos rozlegający się obok Conana należał do Commodusa. — Jak ci wspomniałem, arena była sercem mojej władzy. A teraz to serce zostało unicestwione. — Wskazał na zawalony fragment amfiteatru z niewidoczną wyrwą, przez którą wciąż wylewały się kaskady wody i gdzie rzucali się zdesperowani widzowie, usiłując znaleźć wyjście ze skazanej na zagładę budowli.

Conan uwolnił się z ramion Sathildy.

— Gdybyś przejął władzę, mógłbyś jeszcze wszystko odbudować — stwierdził. —

Niewątpliwie wielu twoich rywali nie żyje.

— Może się okazać, że mieli szczęście — burknął ponuro Commodorus. — Nawet gdybym pozostał przy życiu, nie potrafiłbym stanąć przed ludem z podniesionym czołem po tym, co mnie dziś spotkało. — Machnął ręką, wskazując szalejące dokoła piekło.

— Może i tak — przyznał Conan. — Musimy się jednak stąd wydostać. — Przeszedł wzdłuż zwieńczenia muru, dopóki nie znalazł się naprzeciwko dachu najwyższej pobliskiej willi.

Należała ona przypadkiem właśnie do Commodorusa.

Od pałacyku odgradzała ich jedynie wąska alejka. Mimo to odległość była dość spora. Sad wokół domu musiał wydawać się kuszącym celem nie tylko dla Cymmerianina. Co najmniej dwie osoby próbowały już ratować się w ten sam co barbarzyńca sposób. Poskręcane żałośnie zwłoki leżały teraz twarzą do dołu na bruku uliczki. Kto wie, może jednak trupy te przyniosła woda, pocieszał się Conan.

Zlustrował uważnie odległość dzielącą go od dachu willi. Do szybszego namysłu skłoniły go kolejne silne drgania kamienistego podłoża pod stopami.

Po lewej stronie rozległy się przerażające wrzaski i niesamowite dudnienie, przenikające cały amfiteatr aż do fundamentów. Naruszone, zniszczone skrzydło stadionu rozpekło się wśród gęstych tumanów pyłu niosąc śmierć setkom osób.

— Jeżeli mamy skakać, to lepiej zróbmy to jak najszybciej. — Conan podszedł do miejsca, gdzie z drugiego masztu zwieszał się nad ulicą barwny proporzec. — Co ty na to, Sathildo?

W asyście niespokojnej pantery akrobatka ruszyła za przyjacielem.

— Gdybyśmy mieli porządną rozbieg, pewnie dalibyśmy radę. Nie sądzę jednak...

W tym samym momencie za ich plecami rozległ się posępny chór potępieńczych krzyków zgrozy, a po chwili donośny loskot. Wschodni pas balkonu, ten, z którego niedawno umknęli, w końcu się zawalił. Znajdujący się pod spodem nieszczęśnicy zostali roztarci na miazgę i w okamgnieniu pogrzebani pod kamienną lawiną.

Conan i trójka jego towarzyszy tkwili teraz na skraju stromej, niestabilnej i zmniejszającej się gwałtownie wysepki.

— Qwamba, spokój! Leżeć!

Pantera o zmysłach wyczulonych bardziej niż ludzkie wierciła się niespokojnie i szarpała mocno na smyczy. Przednie łapy oparła na szczycie muru i spojrzała w dół. Sathilda chwyciła za

obrożę. Coraz trudniej było jej opanować zdenerwowaną pupilka.

— Nie trzymaj zbyt mocno — ostrzegł Conan. — Qwamba może zdecydować się skoczyć. Dla ciebie upadek z tej wysokości oznaczałby śmierć.

Nie sposób stwierdzić, czy wielka bestia zrozumiała jego słowa, jej pani jednak zignorowała uwagę barbarzyńcy. Nie minęła sekunda, gdy pantera odbiła się gładko od muru i śmignęła przed siebie. Sathilda, przerzucając nogę nad silnym grzbietem zwierzęcia, schwyciła oburącz zdobioną klejnotami obrożę. W tej samej chwili Qwamba runęła na smukłe drzewce masztu flagowego.

Siła drapieżnika i akrobatyczne umiejętności dokonały niemożliwego. Odbiwszy się od sprężystego masztu, czarna bestia z jeźdźcem na grzbiecie przecięła powietrze.

Ze skoordynowanych ruchów i gracji ich lotu można było wywnioskować, że kobieta i olbrzymia pantera wspólnie ćwiczyły, a nawet razem sypiały. Potężne łapy opadły bezgłośnie na taras na dachu willi Commodorusa. Sathilda przeturlała się po płytkach posadzki i zwinnie poderwała na nogi, cała i zdrowa.

— Świetnie! — zawołał Conan — Weź to, na wypadek gdyby nam się nie udało! — Sięgnął do pasa, odwiązał rzemyk i cisnął mieszek dziewczynie. Sathilda próbowała go schwycić, ale zbyt ciężka sakiewka z brzękiem spadła na kamienną podłogę u stóp akrobatki.

— Nie skacz, Conanie! — odrzyknęła, podnosząc mieszek. — Znajdź inną drogę. Ta odległość jest dla was nie do pokonania! My z Qwambą postaramy się odszukać resztę trupy...

Jeśli ktokolwiek jeszcze żyje. Dołączysz do nas później.

— Zatem... bywaj! — Conan uniósł rękę w pożegnalnym geście.

— Zaiste, wruszające — mruknął stojący obok barbarzyńcy Commodorus. — Wiesz, że mogłaby wynieść z mojej willi tyle złota, ile zdoła udźwignąć.

— Jeśli do tej pory twoich skarbów nie złupili złodzieje. A może właśnie plądrują dom? —

Conan odprowadzał wzrokiem oddalającą się kobietę. — Przy Qwambie nie powinno jej spotkać nic złego. — Odwrócił się do tyrana. — A teraz przydałoby się znaleźć inną drogę ucieczki. Może po tych stertach gruzu. Jeżeli cała woda spłynie z areny, będziemy mogli tamtędy przejść...

Odwrócił się, by rzucić okiem na rumowisko, które było ongiś Imperium Cyrku, i stanął

nagle jak wryty. Zbliżała się ku nim bowiem znajoma postać, pokonując jeden poziom za drugim gładko i bez wysiłku.

— Xothar Dusiciel — rzucił Commodorus nieco zaskoczony. — A więc ty również przeżyłeś dzisiejsze wielkie igrzyska, teraz zaś przybywasz, bez wątpienia, by odebrać swój laur zwycięstwa. — Uniósł dłoń do czoła, ale naturalnie wieńca od dawna nie miał już na głowie.

— Strzeż się, Commodorusie — rzekł półgłosem Conan.

— O co ci... ach, już pojmuję. — Przenosząc wzrok z Conana na ogorzałego, krępego zapaśnika, który, z lekko ugiętymi kolanami odpoczywał w bezruchu, tyran uśmiechnął się. —

Jako wojownik świątyni należysz do ludzi Nekrodiasa. Ten tu Conan wyznał, że kapłani Seta namawiali go do zamachu na moją osobę, lecz honor nakazał mu mnie chronić. Tak więc domniemywam, iż to właśnie tobie przypadł w udziale pewien niespotykany zaszczyt. —

Zaśmiał się w głos. — I co, Xotharze? Co na to powiesz? Czy to prawda?

Sądząc po złośliwym uśmiešku malującym się na lśniących od oliwy ustach zapaśnika, można było przypuszczać, że Xothar zrozumiał sens uwagi Commodorusa. Conan nie usłyszał

jednak, by z ust wojownika ze Wschodu padło choć słowo odpowiedzi, czy to po stygijsku, czy w jakimkolwiek innym języku.

— Commodorusie — powtórzył ostrzegawczo barbarzyńca. — Pilnuj się. Zejdź na dół po tym zwałowisku i sprawdź, czy można by się jakoś tamtędy wydostać. — Wskazał ręką na zrujnowany fragment murów, wyrwę ziejącą o kilka kroków dalej, skąd od czasu do czasu dochodziły jeszcze wstrząsy, którym towarzyszył i potężny huk. — Ja zostanę z Xotharem.

Przysięgam, że już nigdy nie będzie ci zagrażał. Cymmerianin odwrócił się do zapaśnika i odezwał do niego tymi słowy:

— Xotharze, odstęp. Nie chcę nikogo zabijać, ciebie również to dotyczy.

— Nie będziesz musiał. — Commodorus, wyminawszy Conana, postąpił naprzód, by stanąć przed świątynnym wojownikiem. — No, śmiałku, naprawdę tak pragniesz walki? Jestem bardziej niż gotów!

— Wstrzymaj się, Commodorusie! — Conan położył dłoń na ramieniu tyrana. — To najszybszy i najbardziej skuteczny zabójca, jakiego widziałem. Ja mógłbym go pokonać, ale, szczerze mówiąc, wolałbym tego nie próbować...

— A ja? — warknął arogancko Commodorus, piorunując gladiatora wzrokiem. — Czyż nie jestem zapaśnikiem, żołnierzem, wprawnym wojownikiem areny? Wydaje ci się, że może mnie pokonać byle zelota czy szkolony przez świątobliwych kapłanów akolita? Wątpisz, że byłbym w stanie ukrećić mu leb jak kurczakowi? Odstąp, bo przysięgam, że korci mnie, by i tobie pokazać, co jestem wart!

Gniewnie odtrącił dłoń Conana.

— Commodorusie, jesteś... lub raczej byłeś władcą i znów możesz nim zostać! — Conan nie rezygnował. — Ja jestem wojownikiem. Zapłaciłeś mi, bym cię chronił...

— Tak, i teraz, Cymmerianinie, płacę ci, byś odstąpił i nie czynił nic. Powiadam, daj mi własnoręcznie rozprawić się z tym gruboszyim osiłkiem! — Bezceremonialnie odepchnął

barbarzyńcę na bok. — Oto moja szansa. Chcę odzyskać swój honor. Pokonam faworyta świątyni. Czy nie widzisz, że to wszystko — machnął ręką, wskazując rumowisko dokoła — to spisek uknuty przez Zakon Seta, by znieść mnie z urzędu? Ale ja nie dam się i pokonam ich mistrza! — Mrugnął porozumiewawczo do Conana. — A kiedy powrócę do władzy, odbuduję Imperium Cyrku, jeszcze większe i wspanialsze niż ten amfiteatr!

Odwróciwszy się, stanął naprzeciw Xothara. Dusiciel, sądząc po diabolicznym uśmiechu, w pełni pojmował sytuację. Czekał, aż tyran uczyni pierwszy ruch.

Commodorus utracił władzę i potęgę, pozostała mu jednak odwaga. Zrzucił z siebie mokrą, lepiącą się do ciała togę. Tylko w przepasce biodrowej przyjął pozycję zapaśniczą, z całej siły wpierając stopy w kamienną posadzkę trybuny.

Po chwili skoczył naprzód i schwycił Xothara za naoliwioną szyję. Wykonując skręt całym ciałem, spróbował przerzucić przeciwnika przez biodro.

Niższy, krępy mężczyzna niespiesznie ugiął jeszcze bardziej kolana. Mogło się wydawać, że jego stopy wrosły w podłoże. W odpowiedzi na manewr tyrana, dusiciel lekko tylko przesunął

się w bok. Szybkim, niemal niedostrzegalnym ruchem przyciągnął do siebie napastnika, po czym podciął mu nogi. Gdy Commodorus się zachwiał, Xothar naparł nań i przewrócił.

Tyran powoli osuwał się na kamienie, Xothar bowiem, klęcząc tuż obok, kontrolował jego upadek. Grube, naoliwone, lśniące ramiona wojownika oplotły niczym dwa pytony tors ofiary.

Commodorus desperacko usiłował rozluźnić uścisk przeciwnika, odpychając go i okładając pięściami muskularne cielsko. Chwył zapaśnika był silny i ciasny. Uniesiona ku górze twarz tyrana poszarzała, oczy wywróciły się dziko, ukazując przekrwione białka.

— Commodorusie!

Conan czekał na znak, zaproszenie do interwencji. Gdyby tylko zażyczył sobie tego Commodorus, barbarzyńca natychmiast, wkroczyłby do akcji.

Tyran jednak próbował samodzielnie uwolnić się z opasujących mu pierś żelaznych objęć wroga.

Nagle granitowe bloki zadrżały i osunęły się lekko pod ich stopami. Xothar jednak pozostał

niewzruszony. Usta Commodorusa rozwarły się szeroko, lecz nie wypłynęły z nich żadne słowa, nawet najłżejszy oddech, ciało zwiotczało, a oczy zaszyły bielmem.

Po dłuższej chwili Xothar zwolnił uścisk. Przewrócił trupa na plecy, wyprostował mu nogi i ułożył na piersi skrzyżowane w nadgarstkach ręce, jak nakazywał rytuał składania ofiar Setowi.

— Dość już — rzekł Conan do zapaśnika. — Twoje dzieło skończone i moje również. Ja pójdę w swoją stronę, ty w swoją. Nie pragnę nikogo zabijać.

Dusiciel, uśmiechając się błogo, zdawał się akceptować to rozwiązanie.

Conan odwrócił się i ruszył w stronę zapadniętego, postrzępionego skraju murów.

Zastanawiał się, czy miałby szansę zejść po zwałowisku gruzów na arenę. Kamienie wciąż drgały pod stopami, a uszy świdrował przejmujący loskot, barbarzyńca nie usłyszał więc sprężystych, miękkich kroków za swoimi plecami. Nagle poczuł, jak mocarne ramię oplata mu szyję.

— Psie! Jesteś niemy, a jednak równie zakłamanym jak tania nierządnicą z rynsztoka! —

Wyswobodziwszy się z uchwytu zapaśnika, odepchnął go szybkim, bolesnym ciosem w bark.

— Powiadam ci, nie musisz ze mną walczyć! Nie chcę mieć więcej do czynienia z tobą, twoimi panami ani z ich wrogami, których tak się lękasz!

Zapaśnik odpowiedział lekkim wzruszeniem ramion i z szybkością atakującej kobry wyrzucił przed siebie jedną rękę. Wczepiwszy palce w gęste włosy Conana, szarpnął silnie, zamierzając przyciągnąć gladiatora do ziemi.

— Ach! Przeklęta świątynna ropucho, rozumiesz, co do ciebie mówię, czy nie? —

Cymmerianin zamachnął się potężnie, usiłując dosięgnąć pięścią głowy Xothara. Zapaśnik jednak odchylił się i cios, miał trafić w skroń, musnął mu jedynie naprężone jak postronki mięśnie szyi. Conan natychmiast poprawił swój błąd i wbił łokieć w zgięcie ramienia zapaśnika. Pozbawione czucia palce Xothara puściły gęstą czuprynę barbarzyńcy.

— Wiem, co się stało — ciągnął Conan, odsuwając się i przyjmując postawę do walki. — Ten łysy czerep, Nekrodias, sądzi, że ponieważ zaproponował mi władanie Luxurem, będę chciał zająć miejsce Commodorusa! Wiedz, że nie mam takich ambicji. Nie chcę zostać nowym tyranem. Opuszczę Luxur. I tak zamierzałem to zrobić!

Nie spuszczając Conana z oka, krępy, uśmiechający się wciąż zapaśnik rozmasowywał przez

chwile obolałą szyję. I nagle rzucił się naprzód, rozłożywszy szeroko ręce, by opasać nimi tors Cymmerianina.

Conan wymierzył Dusicielowi kilka solidnych ciosów. Trafił w kość policzkową, ucho, skroń, usta i nasadę karku. Przez cały czas wycofywał się jednocześnie, próbując znaleźć się poza zasięgiem morderczych rąk wroga.

Xothar parł naprzód, a uśmiech wykrzywił mu porozbijane wargi.

Conan trafił zapaśnika powyżej oka i był pewien, że połamał sobie przy tym kostki wszystkich palców. Następne uderzenie wymierzył w naprężony brzuch. Poczł, jakby trafił w ogromną pełną piwa beczkę. Kolejnymi ciosami dosięgnął szczęki, podbródka, piersi, mostka i płaskiego nosa, na krótką chwilę zmazując z ust zabójcy głupkowaty uśmieszek. Jednak nawet kopnięcie kolaniem w krocze nie odniosło większego efektu. Cymmerianin zaczął się zastanawiać, czy jego przeciwnik jest mężczyzną w pełnym tego słowa znaczeniu.

I znowu zapaśnik skoczył. Conan miał już wymierzyć cios pięścią w mocno umięśnioną szyję, gdy wtem poczuł, że kamienna półka pod jego stopami drży i zaczyna się przechylać. Sandał zsunął mu się z nogi, kolano i goleń otarły się boleśnie o twardą kamienną krawędź.

Jednocześnie barbarzyńca poczuł, że grube, muskularne ramiona zamknęły się wokół jego pasa.

— Przeklęty gad! — warknął, ale zaraz zamilkł, poczuł bowiem, że uścisk Dusiciela staje się coraz silniejszy.

Xothar cierpliwie zacieśniał uchwyt, czekając, aż wycisnie z trzewi Cymmerianina resztkę powietrza. W tym też celu napierał bardziej na żołądek niż na klatkę piersiową. Poobijany świątynny wojownik nie był w stanie unieść wroga, jak wcześniej uczynił to z łżejszym Commodorem, więc własnym ciężarem przewrócił go na kamienie i unieruchomił. Zastygl tak z głową przy brzuchu i kolaniem przy szyi barbarzyńcy.

Conan kopał wściekle, wierzgał i starał się trafić w miejsce, gdzie, jak wiedział, musiała znajdować się głowa jego przeciwnika. Zapaśnik jednak odsuwał się i uchylał, przywierając do swej ofiary niczym matka do dziecka podczas burzliwej nocy.

Wreszcie Conanowi zaczęło brakować powietrza. Otworzył szeroko usta i przyciągnął głowę do klatki piersiowej, usiłując zaczerpnąć choć odrobinę tchu. Zaczęło robić mu się czarno przed oczami.

A więc taki uścisk poczuł na swoim ciele Roganthus. On i ilu jeszcze przed nim? Conan domyślał się, iż był to element planu Xothara — zwabić przeciwnika na niestabilne mury, gdzie prędzej czy później musiał on stracić równowagę. Zabójca był gotów dopiąć swego, nawet jeśli miał zapłacić sukces poważnymi obrażeniami.

Zużyte powietrze zaczęło kwaśnieć Conanowi w płucach. Otworzył usta, zakrztusił się, czknął, lecz tym razem nie zdołał już złapać tchu. Wężowy uścisk zacieśniał się coraz bardziej, zmieniając jasność w mrok nocy, bezlitośnie gasząc słońce.

Naraz posadzka pod plecami barbarzyńcy zadrżała i zapadła się. Poczul, że uderza w coś głową, po czym zaczął spadać.

Duszący uścisk rozluźnił się.

Conan leciał, toczył się, wymachując gorączkowo rękami. Otworzywszy szeroko usta, zaczął chwytać łapczywie powietrze i kasłać suchym jak pieprz pyłem, słodkim, dławiącym kurzem!

Miał teraz wolne ręce. Mógł chwytać, drapać, czepiał się postrzępionych, szorstkich ruin.

Wessany w nurt grzechoczących, osypujących się gruzów, jął rozpaczliwie przedzierać się ku powierzchni. Osuwał się jednak raz po raz, trafiany kamiennymi odłamkami.

Wtem zupełnie niespodziewanie Cymerianin przestał spadać, chociaż kamyki dokoła niego wciąż sypały się jak lawina. Odgarnął leżące mu na drodze odłamki i wolno, z mozolem wyczolgał się na górę.

Naraz gdzieś w pobliżu rozległo się westchnienie... jęk, ochryply, przeciągły wydech.

Xothar leżał na wznak uwięziony pośród gruzów. Na jego piersi spoczywała wielka granitowa płyta, która zakleszczyła się pośród innych, równie masywnych odłamków.

Głowa zapaśnika, obsypana kurzem i zalana krwią, spoczywała odwrócona na postrzępionej kamiennej poduszce, oczy i usta były szeroko otwarte.

Conan spojrzal na przeciwnika beznamiętnym wzrokiem, jakim Manethos mógłby obrzucić trupa, z którego zamierzał zrobić mumię. Kamienna płyta o postrzępionych brzegach była zdecydowanie zbyt ciężka, by ją podnieść. W każdej chwili też mogła ześlizgnąć się dalej, pozbawiając Xothara twarzy.

Zapaśnik uniósł wzrok. W jego oczach malował się śmiertelny strach. Xothar spróbował zaczerpnąć tchu. Bezskutecznie.

Mały strumyczek kurzu osypał się na twarz leżącego, pokrywając ją cieniutką warstewką bieli. Kiedy Conan otarł pył, ujrzał bladą, nieruchomą maskę śmierci.

Cymmerianin odwrócił się i rozpoczął powolne schodzenie w dół rumowiska, ku kompletnie zniszczonej arenie.

„NIECH ŻYJE TYRAN!”

Conan nie odszedł daleko, gdy natknął się na Muduzayę, który wczepił się w wiosło jednego ze statków i został zmyty poza arenę. Kushitę ocalił zwyczaj stawania do walki niemal zupełnie bez odzienia. Niemalą też rolę odegrała zwinność, z jaką unikał groźnych krokodylich szczęk.

Choć na ulicach szalało bezprawie, a mieszkańcy miasta żywili szczególną nieufność oraz niechęć wobec niedobitków ze świąty Commodorusa, obaj mężczyźni nie mieli większych problemów z wygodnym urządzeniem się.

W Luxurze przynajmniej przez kilka pierwszych dni nie brakowało jedła ani napitku, podobnie jak bogactw, które tylko czekały, by znaleźli się dla nich nowi właściciele.

Conan dowiedział się, że większość trupy Luddhew przeżyła katastrofę w amfiteatrze.

Cyrkowcy obozowali na terenach świątynnych jako strażnicy tamtejszej menażerii. Ich siedziba na szczycie wzgórza uchodziła powszechnie za zapowietrzoną z uwagi na śmierć w murach Cyrku niezliczonych mas ludzi oraz powódź, która nawet po zablokowaniu akweduktów srodze dała się we znaki okolicznym budowłom.

Conan nie wątpił wszelako, że artyści już niebawem znowu znajdą publiczność, spragnioną ich wspaniałych, różnorodnych umiejętności.

— Muduzayo — rzekł któregoś ranka, leżąc w sali jadalnej wytwornej bezpieczeństwa willi, którą uczynili swym domem. — Dużo wody upłynęło, odkąd po raz ostatni byłem w Kush.

Powiedz mi, czy drzewa wciąż uginają się tam pod ciężarem dzikich papug? I czy antylopy uganiają się nadal całymi stadami po stepie?

— W rzeczy samej, Conanie — potwierdził jego przyjaciel. — Gdy o tym mówimy, zaczyna mnie ogarniać tęsknota za rodzinnymi stronami.

— Pomyślałem sobie, że dawno już nie trafiły mi się porządne łowy. Chciałbym znaleźć się choć na pewien czas z dala od miast, kapłanów i tyranów, by móc znów żyć pośród natury. Czy nie miałbyś ochoty wybrać się na południe?

— Właśnie o tym myślałem — potaknął były Mistrz Miecza. — Ale co z twą przyjaciółką i jej udomowioną panterą? Spodziewałem się, że którejs nocy ujrzę tę drapieżną bestię śliniącą mi się na twarz, podczas gdy ślicznotka, Sathilda, nachylać się będzie nad twym posłaniem.

— Nie, Muduzayo — mruknął Conan, kręcąc głową. — Zdaje mi się, że już pora zerwać z cyrkowym życiem. Pewien jestem, że Sathilda nie zdecydowałaby się porzucić trupy dla awanturniczej tułaczki. Lepiej niech zostanie, jak jest.

Po tej rozmowie nie zabawili już w mieście długo. W Luxurze wybuchły trwające dwa tygodnie zamieszki. Fala nienawiści nie ominęła również cudzoziemców. Bądź co bądź, czyż wielka katastrofa, jaka dotknęła miasto, nie była rezultatem przyjęcia bezbożnych cudzoziemskich obyczajów? I czyż ostatnia rzeź na arenie nie była omenem, symbolicznym znakiem triumfu i pomsty prastarych stygijskich bóstw?

Na koniec, kiedy zgasły już płomienie, a znenawidzonych Koryntiańczyków wygnano ze stolicy, srogiego przywódcę buntu ogłoszono tyranem Luxuru. Był to młody zuchwalec imieniem Dath, który, zjednoczywszy ulicznych zabijaków, rzezimieszków i rabusiów, przywrócił w mieście porządek i zaskarbił sobie zaufanie mądrego, starego Nekrodiasa, najwyższego kapłana Świątyni Seta.

Kiedy już rozpoczął swą siedmioletnią kadencję, Dath pierwszym dekretem nakazał zrównać z ziemią plugawe ruiny Imperium Cyrku. W miejscu gdzie znajdował się amfiteatr, postanowiono wznieść grobowiec, w którym złożone miały zostać doczesne szczątki ofiar owych tragicznych igrzysk.

W ten sposób prastare miasto Luxur powróciło do życia, a jego mieszkańcy ponownie oddali się pod opiekę sprawiedliwych stygijskich bóstw.